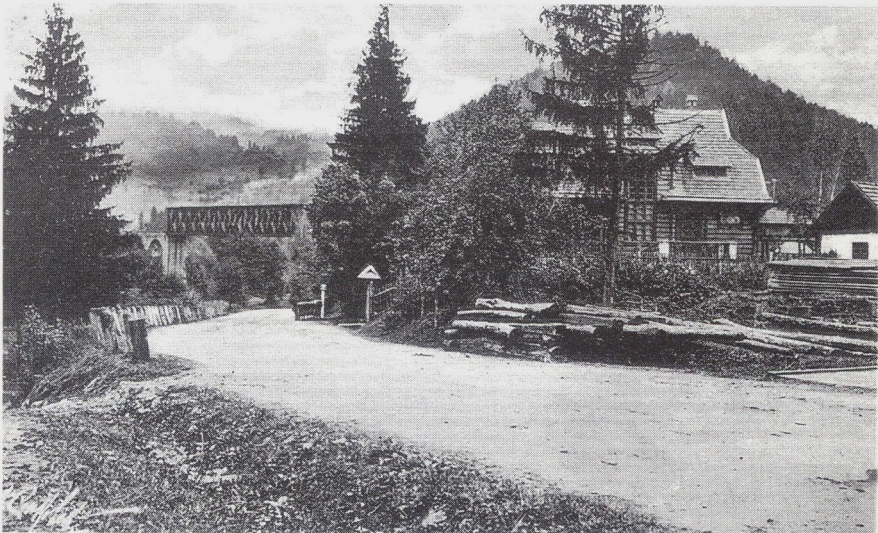


ISSN 1427-2016

Gdzie szum Prutu...

TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH
BIULETYN INFORMACYJNY ODDZIAŁU MIŁOŚNIKÓW KOŁOMYI „POKUCIE”
ROK XI WROCŁAW NR 2 (30) 2000



SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	1
WIERSZ	
Tadeusz Olejnik: Szum Prutu z Wrocławia	2
HISTORIA	
Natalia Czerkas-Kropp, Jan Kropp: Dzieje miasta Kołomyi (6)	3
Ks. Stanisław Turkowski: Życie religijne w Horodence 1942-45	11
Józef Gwozda: Wspomnienia poborowego z 1941 roku (3) ..	24
Michał Grynberg: Sprawiedliwi wśród narodów świata – Janina i Karol Krzeszowcowie	29
Zbigniew Mucha: Bitwa o Bitków	30
WYBITNI KOŁOMYJANIE	
Bożena Andrzejczek: Adam Kozłowski – działacz emigracyjny	33
KOŁOMYJANIE 1919-1939: Krawcy damscy	34
ŻOŁNIERZE	35
LISTA REPRESJONOWANYCH	36
POKUCIE	
Zbigniew Abram: Obertyn-obertyniacy	38
WYBITNI POKUCIANIE	
Maria Rotter-Szczepanowska, Wojciech Wachniewski: Ottynijscy marynarze	42
HUCULSZCZYŻNA	
Marceli Turkawski: Pierwszy dzień wycieczki z Kołomyi do Żabiego	48
DWORY POKUCIA	56
Roman Łysakowski: Kobylec	57
WSPOMNIENIA	
Józef Pustelak: Kronika I Drużyny Męskiej w Ottynii (3)	62
Adam Król: Kołomyjskie czasy	65
Tadeusz Olejnik: Młodość u stóp Gorganów	68
Ruta Wermuth: Spotkałam Ludzi... ..	73
Mieczysław Błaszczuk: Moje spotkania i rozmowy ..	74
MOJA SZKOŁA, MOJA KLASA	
Roman Lewicki: Album wspomnień (2)	75
Z albumu	81
KOŁOMYJANA	82
BAŁAK	82
CYMES	83
LITERATURA KOŁOMYJSKA	83
SPROSTOWANIA	84
LISTY DO REDAKCJI	85
CI, CO ODESZLI	87
INFORMACJE	88
LISTA OFIARODAWCÓW	90

Na okładce: Jaremcze, pocztówka.

Foto: M. Seńkowski, Żabie 1925.

„Gdzie szum Prutu...”

jesień – zima 2 (30)2000
Biuletyn Oddziału Miłośników
Kołomyi „Pokucie”
przy TML i KPW
we Wrocławiu

adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich,
Oddział Miłośników Kołomyi
„Pokucie”
ul. Rуска 32/33,
50-079 Wrocław 3
z dopiskiem: „Gdzie szum Prutu”

redakcja:

Bożena Krupska (redaktor naczelny),
Zbigniew Dobrucki (konsultant),
Danuta Krupska

Redakcja zastrzega sobie
w publikowanych tekstach
prawo dokonywania skrótów
oraz zmian stylistyczno-
językowych i faktograficznych.
Materiały oryginalne odsyłamy
(zdjęcia, dokumenty),
rękopisów nie zwracamy.

Nazwa i numer konta:

TML i KPW Oddział Miłośników
Kołomyi „Pokucie”,
ul. Rуска 32/33,
50-079 Wrocław
PKO B.P. IV OW-w
10205255-420390-270-1-111

przepisywanie komputerowe:

Anna Marcinkian

skład komputerowy:

Studio TArt
tel. (071) 372 04 60

druk:

Drukarnia REPRO
ul. Kwiska 11a
54-114 Wrocław
tel. (071) 351 04 48

od redakcji

Czas szybko mknie do przodu i tak znaleźliśmy się u progu nowego tysiąclecia. Kończący się wiek to życie naszych Dziadków, młodość Rodziców i nasze dzieciństwo, to okres który obdarzył nas również dużym bagażem przeżyć i doświadczeń, nie zawsze dobrych.

Ciężkiego bagażu przeżyć nie pozbedziemy się, ale niech zostaną z nami jasne promyki wspomnień – zabawy z kolegami na podwórku i ulicy, wyprawy nad Prut, szkoła św. Jadwigi lub Konopnickiej, a może gimnazjum im. KKJ przy Mickiewicza lub Zakład Sióstr Urszulanek, pierwsze przyjaźnie i sympatie.

Wspominanie jest łączeniem treści przeżytej z wrażeniami nowego, obecnego życia. Przeszłość jest zawsze związana z terażniejszością. Ta właśnie przeszłość połączyła nas w Rodzinę Kołomyjską, pielęgnującą dawne tradycje.

Życzymy Sobie, aby tak pozostało również w nadchodzącym XXI wieku, byśmy zdrowi i w dobrym nastroju potęsknili czasem za starym domem.

Bo ...

*choć tu jest mój dom
i wszystko do czego serce łgnie
przecież odwracam wzrok
i mówię że*

*ciemne ulice
i niebo bez gwiazd
i ludzie pochmurni
i zieleń zgaszona
wołają mnie
tęsknię za najpiękniejszym z miast*

(Halina Poświatowska ,
Wiersze Wybrane,
Wydawnictwo Literackie
Kraków 1980r.)

Danuta Krupska

wiersz

TADEUSZ OLEJNIK „TADOL”

Kunice, 26.12.1999r.

Szum Prutu z Wrocławia¹

Z pokoju, w którym najczęściej przebywam
Przez okno patrzę na wschód
Wówczas chwile rozterki przeżywam
Ogarnia mnie boleść i chłód

Staje przede mną w zielonej szacie
To znowu złotem się mieni
Przychodzi na myśl ognisko w chacie
Piec pełen chleba gdzieś w sieni

Wtem deszcz rzęsisty spada znienacka
Z szyb okna zmyje bród
Na myśl przychodzą błogie przecucia
Ze ujrzą jeszcze swój gród

Widzę Ottynię i Kołomyję
A wiatr mi śpiewa piosnkę jak z nut
Czy jeszcze chwili takiej dożyję
Bym ujrział Delatyn i Prut

Na razie szum Prutu słyszę z Wrocławia
Z ulicy Ruskiej trzydzieści trzy
Biuletyn ludzkie wspomnienia wylawia
Z niejednych oczu wyciska łzy

Coraz ciekawszą pochłaniam lekturę
Wdzięczny Redakcji, że brak mi słów
Niech przypomina Kresów kulturę
Której stolicą był polski Lwów.

¹ Skrót tytułu pochodzi od redakcji. W oryginale: *Na razie szum Prutu słyszę z Wrocławia.*

historia

NATALIA CZERKAS-KROPP

JAN KROPP

Lwów, lata 30. XX w.

Dzieje miasta Kołomyi (6)

Rozdział IV

Dalsze przywileje jako dowody opieki królów. cd.

W dwa lata później wydaje król Kazimierz Jagiellończyk polecenie, w którym zainteresowani są przede wszystkim sfery kupieckie lwowskie, którym kupcy kołomyjscy, haliacy, stryjscy a nawet kamienieccy, wyrządzali znaczne szkody przez rozmyślne omijanie składu Lwowskiego.¹

Dokument królewski wyszczególnia miejscowości wyżej wspomniane i zaznacza że kupcy z tamtych stron wyżej wymienionych żalą się na lwowskich kupców iż jadąc na targi roczne do Przemyśla, Jarosławia, Rzeszowa, Bełżca i innych miast i miasteczek położonych poza Lwowem w celach handlowych dlatego objeżdżają skład lwowski, ponieważ oni ich nie przepuszczają z towarami nabytymi lub przeznaczonymi na zbyt, lecz im towary zatrzymują i zawracają. Wszyscy ci kupcy wnoszą prośbę do króla, ażeby było im wolno, gdy do Lwowa przyjadą i opłacą należne cło, wyjeżdżać do dalszych miast leżących poza Lwowem z towarami, tak w celu wymiany towaru jak i dla zdobywania pieniędzy bez przeszkód w jakiegokolwiek bądź formie a przede wszystkim aresztowania.²

Nieporozumienia handlowe musiały trwać od dość dawna, gdy w te stosunki wkracza aż król. A więc wskutek skarg kupców ze stron karpackich, zarządał król nakazem urzędowym wytłumaczenia się Lwowian z nieodpowiedniego postępowania, którzy dostarczyli w imieniu wszystkich mieszkańców Lwowa wyjaśnienie następujące. Posiadają prawa i przywileje na tego rodzaju postępowanie, ponieważ handlarzy jacykolwiek, mają zawsze tylko w składzie lwowskim towar składać i tam pozostawiać.³

¹ Dod. źr. Nr. XIII

² Dod. źr. Nr. XIII. ... petiveruntque, quod cum in Leopolim venirent, solutis Leopoliensibus theloneis, libere sit eis duntaxat cum mercimoniis per civitatem Leopoliensem ad loca spe mercandi proficisci et aliis merci moniis pro pecuniis vel in commercio comparatis per civitatem Leopoliensem ad propria et alia loca redire et re meare absque aliquo impedimento et arresto ...

³ Ibidem ... consules civitatis Leopoloensis ... responderunt, se iura et privilegia habere super huiusmodi prohibicione varium, quodque omnes mercancie mullibi nisi in generali Leopoliensi deposito deberent deponi et ibi permanere ...

Król Kazimierz Jagiellończyk, wobec takiego wyjaśnienia, pragnąc wszystkich zachować przy ich nabytych prawach, czy to mieszkańców miast albo też miasteczek, postanawia po rozważeniu rajców i mieszkańców miasta Lwowa zachować i nadal przy posiadaniu generalnego składu handlowego, na istnienie którego przedłożyli zezwolenie. Zezwolenie to otrzymali Lwowianie od królowej Jadwigi, żony króla Władysława Jagiełły i zaopatrzone jest ono wielką pieczęcią królewską, o treści następującej.⁴

Od królowej Jadwigi obywatele otrzymali wówczas nie skład zwyczajnym jaki posiadali mieszczanie w innych miastach, lecz po wszystkie czasy generalny skład soli i wszystkich towarów jakie tylko istnieją. W tym składzie wszyscy kupcy mają towary składać i sprzedawać a nie dalej wozić, ponieważ on po to został założony, ażeby kupcy zjeżdżali się z wszystkich stron z towarami i tam sprzedawali ludziom przyjeżdżającym na zakupy. Do tego zwyczaju istniejącego od dawna, mają kupcy stosować się bez przymusu.⁵

Gdyby zaś kupcy pomijali drogi wyznaczone i objeżdżali je lub składali towary w innych miejscach a Lwów pomijali, to przekroczenia będą zawsze ścigane. Król Kazimierz Jagiellończyk mając na względzie powyższy przywilej Jadwigi zachował nadal prawa Lwowianom, a zażalenie wspomnianych co do krzywdzenia ich przez Lwowian nie uwzględnił. Nakazał natomiast, ażeby kupcy ze wszystkich miast, miasteczek, wsi i mieszkańcy jakichkolwiek okolic nie pomijali Lwowa a zwłaszcza Haliczanie, Kołomyjanie i Stryjanie, tylko tam przeprowadzali wszelkie transakcje handlowe. Przypominam ażeby nie udawali się do miast handlowych znajdujących się poza Lwowem zanim nie zdążą towaru we Lwowie na sprzedaż, tak samo mają postępować, gdy będą powracać z targów przemyskich, jarosławskich, rzeszowskich, belzkich lub innych.⁶

Powyższe postanowienie mające dla kupców lwowskich miejsce uprzywilejowane, w stosunku do kupców innych miast na Rusi, zapewnia Kazimierz Jagiellończyk jeszcze dalszemu obostrzeniu.

Na wypadek gdyby kupcy, ludzie inni czy to obcy, przekraczali określone postanowienia, to mają rajcy i obywatele lwowscy takich z towarami zatrzymywać i zabierać wszystek towar na własność miasta.⁷ Konfiskata przemycanych towarów, bez opłat we Lwowie, - jak wynika z przywileju - zarządzona była od dawnych czasów, na którą i król również udziela zezwolenia oraz wszystkie pisma poprzednio otrzymane i swoje zatwierdza.⁸

⁴ Dod. źr. Nr. XIII. ... decrevimus dictos consules et cives Leopolienses privilegie et munimenta eorum ... super huius modi generali deposito et prohibicione varium coram maiestate nostra prodecenta. Tandem ... privilegium serenissime domine Heduegis Regine Polonie ... maiori appenso sigillo ratificatum, ... produxerunt ...

⁵ Ibidem, ... non alibi nisi in Leopoli deponi debent et permanere, non ... ultra perducii ...

⁶ Dod. źr. Nr. XIII. ... non pertranseant ... ad loca anteriora, videlicet Premisliam, Jaroslaw, Rzeszow, Belz seu queris alia loca sed merces ... in Leopoli deponant et vendant ...

⁷ Ibidem, ... extunc indulsumus dictis consulibus et civibus Leopoliensibus talem cum bonis ubique in regno nostro arrestare, ... arrestataque bona pro usu civitatis nostre Leopoliensis publico conservent.

⁸ Ibidem.

Podczas sporządzania pisma we Lwowie, przebywali rajcy miasta Kamieńca, w jakiej sprawie to niewiadome, przypuszczając by należało, że zamierzali skorzystać z okazji pobytu króla, ażeby otrzymać pewne nadania dla swoich obywateli. Jeśli zaś nie mieli zamiaru przedkładania swoich próśb królowi to pobyt ich we Lwowie mógł być związany ze sprawami handlowymi, politycznymi lub miejskimi. Rajcy kamienieccy chcąc okazać królowi gotowość podszeregowania się do obowiązujących postanowień, dobrowolnie oświadczają, że nigdy nie przekraczali przedtem postanowień, dotyczących generalnego składu handlowego lwowskiego, i zapewniają, iż będą zawsze czynić tak samo.⁹

Przywilej pergaminowy jest zaopatrzony pieczęcią królewską, przywieszoną na kręconym sznurku jedwabnym, koloru białego, czerwonego i czarnego, zachowany w Arch. m. Lwowa. Jest on dany we Lwowie 5 kwietnia 1460 roku, w obecności arcybiskupa Lwowskiego Grzegorza, biskupa kamienieckiego Mikołaja, oraz panów świeckich; Stanisława z Ostroga wojewody kaliskiego, Derśława z Rytwany wojewody sieradzkiego, Andrzeja Odrowąża ze Sprawy wojew. lwowskiego, wobec kasztelanów: Piotra z Szamotuł poznańskiego, Michała z Buczacza kamienieckiego, Mikołaja z Zakrzowa wiślickiego, Jana z Knihinicz halickiego, Mikołaja Gologórskiego podkomorzego, Grzegorza Strumiły chorążego lwowskiego, Stanisława z Chodcza starosty halickiego i innych godnych.

Przywilej sporządzony przez Jan z Brzezia, podkanclerza państwa i archidiakona gnieźnieńskiego, doktora dwojga praw, protonotarjusza apostolskiego i sędziego pałacu papieskiego.¹⁰

Kazimierz Jagiellończyk znajdując się z wojskiem pod Kołomyją, w związku z wypadkami politycznymi pomiędzy Wołoszczyzną a Turcją, załatwia sprawy nader pilne – związane z potrzebą zdobycia większej ilości pieniędzy.¹¹ W obozie pod miastem otrzymuje król 1450 złotych węgierskich od Jakóba /de Dambno/ ówczesnego kasztelana i starosty krakowskiego, który utrzymuje zabezpieczenie na taką sumę na mieście Sieradzu i innych.

W tym samym czasie lub nieco wcześniej, wysłał król gońców, w związku z ogólną mobilizacją w celu niesienia pomocy wojewodzie wołoskiemu, ażeby zawiadomili powiaty o tem przy pomocy „wici”. Kołomyja w XV. wieku, była częścią składową ziemi halickiej i stanowiła odrębny powiat, na który goniec dostarczył dwie wici.¹²

Przypuszczając by należało, że jedno zawiadomienie przeznaczone było na miasto, a drugie na powiat kołomyjski.

Pod tym samym rokiem, znajdujemy wymienione miasta, które mają obowiązek trzymania placówek wojskowych, pociągające za sobą znaczne

⁹ Dod. źr. Nr. XIII. ... Constituti insuper protunc coram nostra maiestate consules civitatis Camenecensis suo tocius communitatis nominibus recognoverunt, quod numquam contra depositum generale Leopoliensis ... fecissent et ... unquam facere vellent et excedere ...

¹⁰ Ibidem – ustęp końcowy.

¹¹ Matric. R.P.S. I. Nr.1800.-1450fl. Hung. Super castro et oppidis Siradia, Schadek et Vartha cum villis inscribit. ...

¹² Matr.R.P.Sum I. nr. 1812 ... terra Haliciensis cum districtu eodem 2, ac Colomyensi2, Trebovliensi2, ...

nakłady pieniężne danych miast. W liczbie miast tych jest wyszczególniona Kołomyja i Śniatyn.¹³

Do wyprawy tak w roku 1485, jak ustawicznej obrony kraju, potrzebował król pieniądze, które zabezpieczał na dobrach królewskich. Jeszcze nie odetchnęli spokojnem życiem obywatele kr. miasta Kołomyi a nowy najazd turecko-tatarski na kraj domagał się nowych wzmagań i niepowodzeń, przede wszystkim mocno dokuczliwych dla miejscowości położonych na rubieżach połudn.-wsch. państwa. Do lat niepowodzeń zaliczyć należy najazd nieprzyjacielski w 1490 r.¹⁴ który odczuł król Kazimierz - z powodu dostatecznej siły obronnej kraju i miasta z tej przyczyny musiały dostarczyć potrzebnych funduszy toteż miasta dostawały się drogą zastawu w ręce możnej szlachty, która uciskała mieszczan powinnościami i wysokimi podatkami.¹⁵

Król zapisuje 100 grzywien braciom z Buczacza na Kołomyi, Michałowi, Stanisławowi i Janowi.

Za zasługi w wyprawach przeciw Turkom i Tatarom, otrzymuje Rafał z Jarosławia od króla 1000 grzywien na dobrach Zofji z Żurawicy, żony Jana z Oporowa wojewody Brzeskiego, za niespełnienie powinności lennej w wyprawie odbytej pod Kołomyją,¹⁶ i dwóch dalszych. Pierwszą dowodził król osobiście z Kołomyi, drugą w Międzybożu /Myedziboze/ lub w okolicach a trzecią spod Czarnego Ostrowa /Czarniostrow/.

U schyłku XV wieku miejscowości położone w pasie granicznym południowo-wschodnim wiele cierpiały, bądź to napadane były przez nieprzyjaciół, bądź to musiały przechodzić zniszczenia wojenne. Takiemu losowi ulegali i mieszkańcy Kołomyi oraz – śmiało można podszeregować – ludność Pokucia. Wprawdzie doznane cierpienia oraz zubożenia mieszczan kołomyjskich, były uwzględniane przez dziedzica, który w swoim osobistym jak i Państwa interesie dbał o dźwignięcie się ich z każdej cięższej opresji. To były okresy w których miasto nie otrzymywało żadnych łask i opieki. Pod koniec dopiero XV.w. stan ten zmienia się i w 1493 roku, 13 lutego król – ówczesny dziedzic miasta – pomny na liczne zniszczenia nieprzyjacielskie, uwalnia mieszczan od wszystkich ciężarów i podatków z wyjątkiem poboru opłat od czopowego, na 5 lat.¹⁷

Za rządów nowego dziedzica, króla Jana Olbrachta, nadane zwolnienia od częściowych ciężarów na okres pięcioletni, nie wykorzystali kołomyjanie w pełni, a już doznali w 1497 roku nowego najazdu, turecko-tatarskiego wspólnie z hospodarem mołdawskim. W relacji danej posłom przez Jana Olbrachta jest mowa, że gospodarz z wojskiem mołdawskim, tureckim i tatarskim zniszczył Kołomyję i wojska dopuszczały się okrucieństw oraz rabunków. Wkrótce wojska

¹³ Ibidem, dtto nr. 1812 ... stationes ... Halicz, Colomyja, Sniatyn, ...

¹⁴ Ibidem, dtto nr. 2091 ... in expeditionibus contra Turcos et Tartaros circa Colomya ...

¹⁵ Matr. R:P.S. I. nr. 2167

¹⁶ Ibidem, dtto nr. 2091 – pro servitiis in expeditionibus contra Turcos et Tartaros circa Colomya, Myedziboze et Czarniostrow, ... Prochaska A, Materjały archiwalne nr. 210 – wymienia wyprawy primam in qua nos personaliter fuimus circa Colomya, aliam cum illustrissimo filio nostro domini Johanne

¹⁷ Matr.R.P.S. II. nr. 120 Colomia damna a hostibus passis libertatem ab omnibus oneribus et exactionibus, ... ad quinque annos concedit.

nieprzyjacielskie zostały odparte, którym dużo zdobyczy pochodzącej z grabieży odebrano, prócz rzeczy zrabowanych innych o których nadmienila osoba która była świadkiem w tym czasie owych pustoszeń.¹⁸

Rok 1497 jesienią był fatalny nie tylko dla mieszkańców miasta Kołomyi lecz i dla całego Pokucia. Wyprawa wojenna króla Olbrachta do Mołdawii na hospodara Stefana III oraz oblężenie Suczawy nie powiodło się a król w dodatku podczas odwrotu ponosi klęskę i pozostawia otwartą drogę do ziemi pokuckiej gospodarowi. Wobec powyższego stanu politycznego, bez przeszkód wojska mołdawskie posiłkowane przez turecko-tatarskie, dostały się na Pokucie aż po Halicz. Prócz ogromnego spustoszenia, jakie miało wówczas miejsce, w całym terytorjum mordowali mieszkańców bez wyjątku i objuczeni dobytkiem wycofali się pod naporem odsieczy wojsk królewskich które zdołały też odzyskać częściowo łupy.¹⁹

Jak wielkie spustoszenia i ubytek ludności nastąpił w Kołomyi, można by spodziewać się, gdy weźmiemy pod uwagę położenie centralne oraz dominujące miasta na Pokuciu stanowiące bazę wypadową wojsk do miejsc odleglejszych wokół. Tak miasto – jak i Pokucie, przeżywa ustawicznie ciężkie momenty dziejowe i zniszczenia wojenne różnorodne. Rok 1498-my był to nowy łańcuch strat materialnych kołmyjan, gdyż Stefan III ponowił; najazd na Pokucie i spart się na Wisłoku,²⁰ procz tego najazd Turków na długi okres czasu mieszczan w upadku pozostawił. Po tym roku następuje stan polityczny wyczekujący, ponieważ pod koniec życia król Olbracht prowadzi wojnę z Krzyżakami i sprawę Pokucia załatwia polubownie przy pomocy dyplomatycznej.²¹

Prawdopodobnie Kołomyja wraz z częścią Pokucia była od 1497 lub 1498 aż do zakończenia sądu polubownego w przemocy hospodara, a nawet od 1502r. jest ustanowiony starosta mołdawski i takiż sam w Śniatynie, celem obrony kraju zajętego po linię rzeki Prutu. Ziemia ta została odebrana w roku 1504-tym po śmierci hospodara Stefana III.²² Kołomyja z częścią Pokucia od tego czasu jest znowu przy Koronie.

Takie losy przechodzi Kołomyja raz spokojniejsze, drugi raz gwałtowniejsze w latach przełomowych z piętnastego na szesnasty wiek, pod panowaniem Jana Olbrachta i następnie Aleksandra, nie doświadczywszy od nich prawie żadnej opieki. W okresie rządów Olbrachta, Kołomyja jest – niemal bez przerwy pod przewagą Mołdawii, za Aleksandra zaś aż do zgonu króla, nie znajdujemy żadnych śladów polepszenia, mimo że w jego czasach została odzyskana dla korony i nie była niepokojoną przez następcę Stefana, Bogdana III. – który

¹⁸ Lewicki An. *Król Jan Olbracht o klęsce bukowińskiej w r. 1497* /Kw. hist. II Lwów 1893/

¹⁹ Jorga, *Acte si Fragmente*, III. s. 66 *sexus utriusque iuvenemque conditionem humanam sine defectu immanissime seviturum est* – por. Nistor, *Die Mdd. Ausprüche auf Pokutien* s. 56-8 *passim* /Arch. f. Österr. Geschichte, B.CI./

²⁰ Nistor, *C.c.* s. 58 i n.-

²¹ Nistor w pracy swojej zaznacza, że hospodar Stefan III w czasie sądu polubownego, korzystając z bezkrólewia w Polsce, osadzał swoich ludzi itd. w ten sposób ugruntował na Pokuciu swoje wpływy. Nistor twierdzenia powyższe nie poparł dowodami źródłowymi wyczerpująco.

²² Nistor, *Ibidem*, s. 64-72. Sprawę zajęcia Pokucia z Kołomyją i Śniatynem zajmuje się wyczerpująco, lecz raz określa okupowane ziemie po Kołomyję drugi raz po Halicz.

ustosunkował się do Polski z początku rządów swoich przyjaźnie.²³ Od 1506 roku, zmienia swoje polityczne nastroje i zostaje zdecydowanym wrogiem, z chwilą wstąpienia na tron Zygmunta I, który zawiódł nadzieje i plany gospodarza.

Bogdan spodziewając się po śmierci Aleksandra w następcy jego zmianę dla siebie niekorzystną, już podczas zgonu Aleksandra w czasie bezkrólewia /po 19.VIII.1506/ najechał na Pokucie – prawdopodobnie zajął terytorjum po Kołomyję i osadził starostę – lecz wnet wycofał się.²⁴ Pod koniec panowania króla Aleksandra /1505/ tenże gospodarz wypadł na Pokucie, mszcząc się za odmowną relację w sprawie małżeńskiej z królową Elżbietą. Został on wkrótce odparty, siłą 4000-cy ludzi wysłanych z rozkazu królewskiego.²⁵

Zmienne koleje, zniszczenia powodowane przez najazdy gospodarów mołdawskich a następnie i konsekwencje wojenne przy odzyskaniu Pokucia, odbijały się bardzo ujemnie na rozwoju Kołomyi – stolicy Pokucia.

Polepszenie znaczniejsze zaznali obywatele miasta od czasu wstąpienia na tron króla Zygmunta I, władcy w sile wieku, który otaczał silną ręką i opieką ziemie oraz mieszkańców. Toteż w początkach panowania usiłuje, roszczenia gospodarów do Pokucia dyplomatycznie zlikwidować przy pomocy brata swego króla węgierskiego i czeskiego, Władysława. Następnie naprawia przynajmniej w części straty mieszczan kołomyjskich, nadając im zwolnienia od wszelkich poborów i ceł na okres dziesięcioletni w celu podźwignięcia się po najazdach turecko-tatarskich i wołoskich. Pismo uwalniające obowiązywało od kwietnia 1508 roku, do tegoż miesiąca r. 1518.²⁶

Zaledwie jeden rok cieszyli się mieszkańcy wolnością, albowiem w kwietniu 1509 roku, gospodar Bogdan III ponawia najazd na ziemie polskie i dociera aż pod Lwów,²⁷ wprawdzie inwazja jego trwała przez kilka dni zapewne, lecz wojska zdołały uwieść ze sobą wielką ilość zdobyczy w złocie i srebrze oraz część ludności. W odwecie Mikołaj Kakieniecki w październiku nad Dniestrem, zwycięża Bogdana III i ziemia pokucka ostatecznie została z powrotem zupełnie oswobodzona. W tym okresie walk, tzn. od kwietnia do 10 października 1509 roku, przeżyli mieszkańcy miasta Kołomyi kłęski oraz niepowodzenia, które wielce niekorzystnie odbiły się na całokształcie rozwoju miasta.²⁸

Z Bogdanem III ugoda pokojowa została doprowadzona do końca dopiero 17 stycznia 1510 roku, w której gospodar zobowiązał się odesłać ludzi z dobytkiem, uprowadzonych w 1509 roku z Pokucia.²⁹

Następuje okres krótki spokojniejszy w którym król normuje w królewskim mieście Kołomyi sprawę wyjątkową. Przebywając w Brześciu Litewskim dnia 3

²³ Nistor L.c.s. 72-4 upomnąć należy, że Bogdan III starał się o rękę królowny polskiej siostry króla Aleksandra Elżbiety, zabiegi jego małżeńskie początkowo przychylnie przyjmowane u dworu królewskiego za Aleksandra zostały z chwilą objęcia rządów przez Zymg. I. definitywnie odrzucone.

²⁴ Hor II. cz.2 nr. 442. – Nistor L.c. str. 78

²⁵ Kromer Cronika, s. 455

²⁶ Matr.R.Pol. Sum. IV₂ nr. 8733 Oppidani de Colomya ... damna passi ab omnibus exactionibus et teloneis ad 10 annos liberantur.

²⁷ Nistor L.c. s. 80-1,

²⁸ Waigel L., Rys.m. Prołom, s.17.-

²⁹ Tamże; - ob. Nistor l.c. str. 84 i w.

września 1511 r., w wygotowanym dokumencie wyraża król swoją zgodę na wykupienie miasta Kołomyi i grodu warownego Śniatyna od krewnych byłych starostów Buczaczkich, braciom z Chodcza Ottonowi wojewodzie podolskiemu i Rafałowi. Wymienieni bracia Otto i Rafał z Chodcza mieli wykupić starostwo w Kołomyi i Śniatynie z rąk Beaty Prokopa z Gwoźdźca, Anny żony Jana Gołogórskiego, córki Dawida z Buczacza oraz Anny Fredrusch Herburt z Knihinicz i Jadwigi żony Marcina z Kamieńca podkomorzego sanockiego a także z rąk córki Katarzyny, Piotra Oleskiego z Buczacza żony.³⁰

Zapewne były pomiędzy spadkobiercami ze strony Buczaczkich a następcami na starostwa wspomniane, nieporozumienia i kwestja sporne, kiedy król wydaje w tej samej sprawie po raz drugi rozporządzenie dla wojewody podolskiego Otty z Chodcza, starosty halickiego oraz Rafała – brata rodzonego, na wykup w posiadłości należących do miast królewskich, starostwa kołomyjskiego i śniatyńskiego, z prawem trzymania tych dobr aż do śmierci. Pismo królewskie wystawione zostało na zjeździe generalnym w Krakowie dnia 25 lutego 1512 roku.³¹

Ponadto w roku 1511 w lecie nastąpił najazd hordy tatarskiej na Polskę³² który zapewne i nie oszczędził i ziem pokuckich co mogło też walnie przyczynić się do postanowień króla Zygmunta Starego, iż zdecydował się oddać do rąk możliwym panom z Chodcza starostwo kołomyjskie i gród Śniatyn ze starostwem, z tem ażeby mieli starannie nad pomyślniejszym rozwojem tych starostw pod względem gospodarczym oraz bronili mieszkańców przed napadami wrogów. Zadanie starosty w tych czasach nie było zbyt łatwe, o ile chodzi o obronę ziem przed nieprzyjacielem. Wobec częstych pustoszeń miasta Kołomyi oraz okolic, ubożało mieszczaństwo i włościanie do tego stopnia, że nie było w stanie wyrównywać w okresach spokojniejszych wyrządzonych licznych spustoszeń przez nieprzyjaciół, gdy chodziło o naprawę wałów oraz uzupełnianie uszczerbków w materiale obronnym. Dlatego obowiązek prac około zamku i wałów został też rozłożony i na mieszkańców wiejskich. Od jak dawna, nie sposób określić natomiast król dokumentem z dnia 13 grudnia 1517 roku, zwalnia od wszelkich powinności i prac dla zamków w Kołomyi i Haliczu, mieszkańców wsi Przerowa na lat 15 – tzn. aż do roku 1532.³³ Jako przyczynę zwolnienia wieśniaków aż na okres piętnastoletni, podaje król zniszczenia spowodowane częstymi najazdami nieprzyjaciół. Jeżeli wieś Przerów położona na linii od Kołomyi w stronę Halicza została zniszczona tak dalece, że mieszkańcy otrzymali zwolnienia od ciężarów na 15 lat, to miasto Kołomyja – jako stolica Pokucia – znacznie więcej w tych samych czasach ucierpiało. Brak dowodów źródłowych dotyczących tego miasta, dostatecznie jest wyjaśniony zniszczeniami wojennymi.

³⁰ M.R.P.S. IV₂ nr. 1033, Consensus exemendi castrum Szmyatyn et opiidum Colomya de manibus ... Ottae palatino Podoliae et Raphaeli de Chodecz, fratribus germanis datur.

³¹ M.R.P.S. LV₂ nr. 10201, Ottae palatino Podoliae capitaneo Haliciensis et Raphaeli germanis de Chodecz castrum Snyatin cum oppido Colomya et villis de manibus ... exemere consensus datur cum possessione ad vitam utriusque eorum.

³² Nistor o.c. s. 89-90.

³³ M.R.P.S. IV₂ nr. 11349 Libertas a stationibus et laboribus ad arces Haliciensem et Colomiensem ad 15 annos datur incolis villae Przerow ... ob. crebras incursiones hostium.

Zubożenie mieszczan miasta Kołomyi, od początku XVI wieku już jest widoczne, a mieszczanie zmuszeni są wskutek tego uchylać się od współpracy około naprawy wału otaczającego zamek oraz młyna królewskiego. Powołują się na uzyskane wolności od dawna, które im zniszczył pożar miasta, wniecony przez Turków.³⁴ Przy pomocy komisji, którą wyznaczył król Zygmunt Stary pismem z dnia 19 lutego 1517 roku stwierdzającej przy pomocy zaprzysiężonych świadków w mieście, że mieszczanie ongiś taki przywilej posiadali i nadal im to zwolnienie król potwierdza.³⁵ Czy rzeczywiście sprawa tak się przedstawiała, sprawdzić dziś już nie można, gdyż żadne wzmianki w tej sprawie nie znalazły się. Natomiast być mógł pewien związek z potwierdzonymi przywilejami 5-cioma, które przedłożyli królowi Zygmuntowi w Krakowie na zjeździe generalnem dnia 7 kwietnia 1517 wójt, burmistrz i kilku rajców w imieniu mieszczan i pospólstwa kołomyjskiego, z prośbą ażeby transsumował król w jeden przywilej.³⁶ Niezależnie od potwierzonego przywileju mógł sam Wajgel mylnie sprawę interpretować ponieważ przywileju transsumpcyjnego Zygmunta Starego nie znał i powołuje się na dokument istniejący jeszcze w drugiej połowie XIX wieku, w archiwum kołomyjskiem. Nie zamieścił Wajgel dokumentu Zygmunta Starego zatwierzonego w Krakowie 7 kwietnia 1517 r. i tylko zaznaczył, że król w 1523 r. 11.III. na prośbę mieszczan kołomyjskich przywileje Władysława Jagiełły z 4 października 1424 roku, Władysława Jagiellończyka z 3 lipca 1443 /dwa/, Kazimierza Jagiellończyka z 20 sierpnia 1448 i 6 kwietnia 1460, „ściąga w nienaruszalności wszelkich paktów i ugód, jakie z wojewodą mołdawskim zawarł”.³⁷

Jest to inny przywilej, w którym Zygmunt ściąga 5 poprzednich przywilejów w jeden dnia 31.III.1523 roku. A jak się okazuje w potwierdzeniu wcześniejszem i późniejszym, jest wzmianka o ugodach czyli mowach jakkolwiek są różnice. W przywileju potwierdzającym z dnia 7.IV.1517 roku dokumenty Władysława Jagiełły z 4.X.1424 r. i Kazimierza Jagiellończyka z 6.IV.1460 które znalazły się też i w potwierdzającym przywileju Zygmunta Starego z dnia 31.III.1523 roku. Zaś trzy następne a to: Kazimierza Jagiellończyka z 16.III.1456, Władysława Warneńczyka z 3.VII.1443 i Jana Czyżowskiego z 15.VI.1444 roku, nie powtarzają się mimo, że występuje przywilej Władysława Warneńczyka z datą 3.VII.1443, to w potwierdzeniu wcześniejszem jest zezwolenie na założenie woskowni – a w późniejszym, na targ mięsny. Ponieważ nie posiadamy przywileju późniejszego, z 31.III.1523r. chociażby w odpisie lecz w rejestrze w *Matricularum* celem porównania treści z przywilejem wcześniejszym z 7.IV.1517 tegoż samego króla, nie możemy podać faktycznego stanu. Zaznaczyć tylko

³⁴ Wajgel, l.c. s. 17 wspomina o możliwej pomyłce mieszczan i mylnem interpretowaniu słów „ab omnibus stationibus” ... zawartych w przywileju Wład. Wareń z 3.VII.1443 roku. Natomiast nie ma wzmianek i pracach około zamku lub młyna.

³⁵ Ibidem, detto. Już Wajgel poddał w wątpliwość istnienie takowego przywileju, a w rzeczywistości mogła to być uczynione przez mieszczan w nieświadomości lub wskutek zadawnienia.

³⁶ Wajgel, l.c. str. 17-18; Dod. źr. Nr.

³⁷ Wajgel, l.c. 17-8; - M.R.P.S. IV, nr. 4195

należy, że wzmianki zamierzonej u Wajgla o przywileju późniejszym z r. 1523 nie można wiele zrozumieć.³⁸

Powracając do przywileju króla Zygmunta Starego, danego w Krakowie 7 kwietnia 1517 r. zaznaczyć należy zawartą tamże treść, a to ze względu że król w przywileju z roku 1517 jak z 1523 postawił analogiczny postulat odnoszący się do spraw gospodarów mołdawskich z Polską.³⁹ Przede wszystkim obywatele miasta sami poczynili starania celem potwierdzenia przywilejów z lat 1424, 1443, 1444, 1456 i 1460, dotyczących się spraw ściśle miejskich w XV wieku, - o czym pod odpowiednimi latami już wyżej była mowa. Przywileje, król ujmując w całość, zaopatruje swoją pieczęcią i zaznacza, że gdyby w tych posiadłościach Mołdawianie lub sam gospodar mołdawski przebywał albo też chronili się pod opiekę króla, to mają mieszczanie zawsze udzielać chronienia oraz pomocy. Rozporządzenia zaś i umowy królewskie zawarte w poprzednich czasach z hospodarem mołdawskim i Mołdawianami, mają zawsze szanować.

Staraniem mieszczan, którzy zapewne o to czynili starania, zezwala król dnia 25 września 1520 r. kołomyjanom, odbywać targi roczne – jeden po Wniebowstąpieniu Pańskim w piątek i drugi w zimie przed dniem św. Mikołaja /przed 6 grudnia/. Targi tygodniowe, na które już przedtem mieszczanie otrzymali przywilej, i nadal Kołomyjanie mają przestrzegać.⁴⁰

Na zjeździe generalnym, dnia 20 grudnia 1521 roku w Piotrkowie, wydaje król Zygmunt Stary ordynację, mocą której ustanawia szereg komór celnych państwowych na Pokuciu – w licznych miejscowościach – oraz w Kołomyi i Śniatynie.⁴¹

W roku 1523, tzn. sześć lat po staraniach przez mieszczan kołomyjskich o zatwierdzenie 5-ciu przywilejów, starali się oni o potwierdzenie dalsze i w powyższym roku.



³⁸ Tamże. -

³⁹ Dod.źródł.Nr.VII. - ... quomodo cor am nobis constituti personaliter viri advocatus, proconsul et nonnulli consules suo et tocius communitatis oppidi nostri Colomiensis nominibus exhibuerunt originaliter literas et privilegicivilia sua inferius, petens eas in unum nostrum privilegium transsumi, nostreque maiestatis munimine roborari tenoris subsequens: - w tem miejscu następuje treść 5-ciu dokumentów i w dalszym ciągu pisze kr.Zygm. - ... no Sigismundus Rex ... literas omnes ... in unum privilegium nostrum transsumi et reduci decrevimus ... presertim ... contractibus ... cum Woywoda et Molduis ... factis

⁴⁰ M.R.P.S. IV₁ nr 3431. - ... Mtas Regia conxesit oppidanis Colomiensibus in terris Podoliae 2 fora annua /septimanale prius conssum in robore conservando/: ... Określenie mylne położenia Kołomyi „in terris Podoliae”, użyte zostało zapewne przez omyłkę pisarza.

⁴¹ M.R.P.S. IV₁ nr. 13050. -

Życie religijne w Horodence 1942 – 1945

Praca duszpasterska Kościoła zmierza zawsze do umocnienia i ożywienia wiary Ludu Bożego we wszystkich okolicznościach i uwarunkowaniach geopolitycznych, społecznych, narodowych i kulturowych. Powiązania religii z kulturą środowiska są bardzo wielkie wszędzie, a szczególnie dają się zauważyć w naszej polskiej historii i na naszych ziemiach. Poszczególne regiony Polski nadawały i nadal nadają nadal swoisty charakter tejże religijności i stanowią o jej dynamizmie w życiu jednostkowym i zbiorowym. Kościół pełni swoje posłannictwo wśród ludzi wierzących poprzez głoszenie Słowa Bożego czyli ewangelizację, przez posługę sakramentalną oraz pracę pastoralno-charytatywną i społeczną. Od stopnia przyjęcia owoców tej działalności przez wiernych, zależy poziom ich życia, wiary, nadziei chrześcijańskiej i społecznej miłości. To są dostrzegalne znamiona życia chrześcijańskiego w każdych sytuacjach dziejowych.

Tak była prowadzona praca duszpasterska Kościoła w archidiecezji lwowskiej w okresie międzywojennym i w tym kierunku szła ona również w trudnych czasach wojny i okupacji 1939-1945. Podobnie jak miasto Lwów, które było siedzibą trzech metropolii katolickich: łacińskiej, ormiańskiej i unickiej, Horodenka była miastem o trzech parafiach katolickich: rzymsko-katolickiej, ormiańsko-katolickiej i grecko-katolickiej. Życie religijne i praca duszpasterska skupiały się przy kościołach i wspólnotach parafialnych tych trzech obrządków.¹

¹ Zob. Ks. Stanisław Turkowski: *Trochę informacji o przeszłości miasta i ziemi horodeńskiej*. Wrocław 1998. mps



Horodenka, kościół parafialny pw. Wniebowzięcia NMP i Św. Rocha

Duszpasterstwo w parafii łacińskiej sprawowali księża: **Michał Sobejko** proboszcz od roku 1926, a w czasie okupacji dziekan dekanatu horodeńskiego.² Mgr **Władysław Semańczyk** w latach 1939-1942 wikariusz, **Stanisław Turkowski**, wikariusz w latach 1942-1945, **Michał Olejarz**, katecheta szkół w latach 1936-1939, który po wybuchu wojny wyjechał za granicę.

Proboszczem parafii ormiańsko-katolickiej był ks. **Kazimierz Roszko** pochodzący ze starej ormiańskiej rodziny lwowskiej.

Duszpasterzował w Horodence w latach 1936-1945.³

Katolicy Ormianie zamieszkujący południowo-wschodnie tereny Rzeczypospolitej, a głównie w Archidiecezji Lwowskiej, mający własne struktury kościelne, są uważani bardzo słusznie za „najwierniejszą z naszych mniejszości narodowych”. Oni też wydali spośród siebie wielu ludzi nauki i kultury oraz wybitnych polskich patriotów. Wystarczy wspomnieć tylko jednego z największych arcybiskupów Kościoła w Polsce XX wieku, ostatniego metropolitę tego obrządku we Lwowie Księdza Arcybiskupa Józefa Teodorowicza zmarłego w grudniu 1938r. Ten wielki mąż stanu, uczony i arcybiskup pochodził właśnie z powiatu horodeńskiego.

Ks. Kazimierz Roszko, ostatni proboszcz ormiański w Horodence był jednym z działaczy mocno zaangażowanych w prace konspiracyjne w okresie II wojny

² Ks. Stanisław Turkowski: *Ks. Kanonik Michał Sobejko proboszcz i dziekan w Horodence w latach 1926-1945*. Wrocław 1998. mps

³ Tadeusz Kukiz: *Madonny Kresowe*, Wrocław 1997, s. 43

światowej, jako kapelan Armii Krajowej. Po wyjeździe na Ziemię Zachodnie w 1945 roku, osiadł w Gliwicach jako rektor niewielkiego kościoła pod wezw. Trójcy Św. w którym umieścił m.in. dwa cenne obrazy, będące przedmiotem kultu ludności ormiańskiej, a także i wiernych pozostałych dwóch obrządków katolickich: łacińskiego i unickiego. Są to: łaskami stynący obraz Matki Boskiej Łysieckiej oraz Zabytkowy obraz Św. Kajetana, patrona parafii ormiańskiej w Horodence.⁴

Ks. Roszko w późniejszych latach wyjechał za granicę i zmarł w Kanadzie.

Pisząc o kapłanach sprawujących misję duszpasterską w Archidiecezji Lwowskiej należy wspomnieć jeszcze tych, którzy wywodzili się z tego terenu. Byli to:

Ks. **Rafał Kiernicki** franciszkanin, urodzony w Kułaczkowcach parafia Gwoździec 3.V.1912r. Postać znana we Lwowie, więzień sowieckich łagrów, po powrocie z zsyłki proboszcz parafii katedralnej we Lwowie, a 2.III.1991r. biskup sufragan archidiecezji lwowskiej ob. łacińskiego.⁵ Zmarł we Lwowie 23.XI.1995r.

Ks. mgr **Jan Tomaszewski** ur. w 1906r. w Głuszkowie parafia Horodenka, wyświęcony na kapłana w roku 1934, proboszcz parafii św. Piotra i Pawła we Lwowie /Sygniówka/, po ekspatriacji rektor Diecezjalnego Seminarium Duchownego w Nysie, diec. opolska.⁶ Zmarły w Opolu w latach 70-tych.

Z parafii horodeńskiej wywodzą się również księża:

Józef Moskal, proboszcz parafii w Baszni Dolnej, archidiecezja lubaczowska, dr **Krzysztof Staniecki**, profesor Seminarium Duchownego w Opolu oraz mgr **Tadeusz Skibiński**, proboszcz parafii w Przemkowie, diecezja gorzowska.

Pracę duszpasterską w Horodence wśród ludności obrządku grecko-katolickiego prowadzili w tym czasie:

Ks. **Roman Wynnyczuk** jako proboszcz oraz jego syn Jarosław, jako wikariusz. W tej pracy dla dobra wszystkich wierzących w Horodence, istniała tak pomiędzy duszpasterzami, jak i wiernymi harmonia i wzajemna życzliwość, przejawiająca się m.in. w udziale wiernych tych obrządków w różnych uroczystościach kościelnych, takich jak np.: odpusty doroczne, Boże Ciało w Kościele łacińskim, a Jordan czyli Pamiątka Chrztu Pańskiego w Kościele unickim. Najczęstsze spotkania wiernych wszystkich trzech obrządków miały miejsce podczas pogrzebów, ze względu na mieszane małżeństwa.

W niniejszym przedłożeniu ograniczę się jedynie do próby zilustrowania duszpasterstwa w parafii łacińskiej, skupiającej się wokół pięknego, obszernego i okazałego kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia N.M.P. i Św. Rocha o wspaniałym wystroju barokowym z XVIII w.⁷ Tam bowiem zostałem skierowany

⁴ T. Kukiz, dz. cyt.

⁵ Ks. Stanisław Turkowski: *Lwów i Archidiecezja Lwowska po latach wspomniane*. Wrocław 1998. mps opr. s. 164

⁶ Bp Wincenty Urban: *Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945*, Wrocław 1983, s. 21 n

⁷ Zob.: Ks. S. Turkowski: *Trochę informacji ...* s. 4

do pracy bezpośrednio po święceniach kapłańskich otrzymanych we Lwowie w 1942r.⁸

Ta wspólnota parafialna w okresie II wojny światowej na skutek migracji ludnościowej, jaka tutaj szczególnie miała miejsce, a więc: uciekinierów z różnych stron Polski we wrześniu 1939r., odpływ części mieszkańców do Rumunii w tym czasie, deportacje do ZSRR w roku 1940, aresztowania i więzienia oraz mordy dokonywane przez UPA, ulegała przeobrażeniom znacznie szerszym, niż inne podobne środowiska w owych czasach, co musiało rzutować na kształt religijności i styl duszpasterstwa. Te problemy musiały mieć wpływ niekiedy zasadniczy na podejmowane środki pastoralne w konkretnych sytuacjach, odnośnie do poszczególnych osób i rodzin. Jednak zasadniczy trzon ukształtowany przez pokolenia i zakorzenioną od wieków tradycję pozostał niezmienny i tworzył swoiste oblicze życia religijnego.

Do parafii rz. kat. w Horodence należało oprócz miasta powiatowego kilkanaście wiosek z dwoma kościołami filialnymi: w Jasienowie Polnym odl. 5 km i Potoczyskach odl. 12 km oraz kaplicą dworską w Oknie odl. 6 km. Cała wspólnota parafialna liczyła według danych z 1939r. 4405 wiernych.⁹

Dekanat horodeński tworzyło 13 parafii. Były to: Chocimierz, Czernelica, Gwoździec, Horodenka, Michalcze, Obertyn, Śniatyn, Żuków, Bohorodczyn, Dżurków, Kamionki Wielkie, Soroki, Woronów.¹⁰ Te nazwy niekiedy o znaczeniu historycznym, jak np. Obertyn, Michalcze i sama Horodenka, mówią wiele.

Tok działalności duszpasterskiej w całym dekanacie, a zwłaszcza w mieście Horodenka nadawał rok liturgiczny i związane z nim praktyki religijne uświęcone wielowiekowym zwyczajem Kościoła powszechnego, a także tradycją miejscową. Ośrodkiem życia religijnego w Kościele jest Eucharystia sprawowana codziennie we wszystkich kościołach, a szczególnie w niedziele i święta przy udziale wiernych. Msze św. były odprawiane w Horodence dwie w każdą niedzielę: prymaria o godzinie 9-tej z tzw. homilią czyli rozważaniem treści biblijnych czytań oraz suma o godz. 11-tej z kazaniem katechizmowym, będącym pouczeniem o podstawowych prawdach wiary i zasadach moralności chrześcijańskiej. Oprócz tego w każdą niedzielę był wyjazd do kościoła filialnego w Jasienowie Polnym, celem odprawienia Najśw. Ofiary oraz na zmianę co drugą niedzielę do kościoła filialnego w Potoczyskach lub kaplicy w Oknie. Ze względu na prace nakazane przez okupantów zwłaszcza sowieckiego w niedziele i święta, Ks. Arcybiskup Metropolita Lwowski Bolesław Twardowski na mocy przywileju udzielonego przez Stolicę Apostolską biskupom na czas wojny /Durante bello/ zezwolił na odprawianie Mszy św. w godzinach popołudniowych i wieczornych, co było czymś wyjątkowym w owych czasach.¹¹

⁸ Skierowanie do pracy jako wikariusz parafii i katecheta szkół w Horodence, pismo Kurii Metropolitalnej o. łac. we Lwowie z dn. 27.VII.1942r. L.dz. 2122 podpisane przez Arcybiskupa Metropolite Bolesława Twardowskiego i kanclerza Ks. Zygmunta Hałuniewicza

⁹ Schematismus Archidioecesis Leopoliensis rit.lat.Leopoli 1939 s. 64

¹⁰ Dz. cyt. S. 64-66

¹¹ Bp Wincenty Urban: *Archidiecezja Lwowska w latach 1939-1945 w: Życie religijne w Polsce pod okupacją 1939-1945. Metropolie wileńska i lwowska, zakony.* Praca zbiorowa pod red. Ks. Zygmunta Zielińskiego, Wyd. „Unia” Katowice 1992, s. 112

W niedziele i święta odprawiano w Horodence nieszpory, podczas których zwyczajem diecezjalnym przeprowadzano katechizację dorosłych w obecności dzieci i młodzieży. Ten krótki wykład katechizmowy był ceniony szczególnie przez rodziców, którzy mieli możliwość stwierdzić zarówno poziom własnej wiedzy religijnej, jak również przekonać się o znajomości prawd wiary swoich dzieci.

Roraty w Adwencie były odprawiane wczesnym rankiem o godz. 6-tej, Gorzkie Żale i Droga Krzyżowa w Wielkim Poście oraz nabożeństwa majowe, czerwcowe i październikowe, licznie frekwentowane przez dorosłych, młodzież i dzieci.

Do ciekawszych zwyczajów miejscowych należy zaliczyć wyjazd kapłana na pasterkę do Jasienowa Polnego w noc wigilijną. Jadącemu saniami księdzu towarzyszyli młodzieńcy na koniach z płonącymi pochodniami. Był to widok atrakcyjny dla mieszkańców, którzy przyglądali się temu z dużym zaciekawieniem. Ten zwyczaj stosowano również i w czasie wojny.

Odpust parafialny w dniu św. Rocha 16 sierpnia gromadził liczne rzesze wiernych wszystkich trzech obrządków, jak to było w zwyczaju, co podkreślam ze szczególną uwagą, gdyż rzuca pełniejsze światło na ówczesne stosunki wyznaniowe mimo dramatycznych wydarzeń jakie miały miejsce w tamtych czasach i o których mówią liczne wspomnienia drukowane i pamiętniki pisane.¹²

Gdy w latach 1943-1945 w związku z nasilającymi się zbrodniami UPA i opuszczeniem swych domostw przez ludność wiejską, polską oczywiście, do Horodenki przybyło kilku kapłanów z okolicy, praca duszpasterska w tej parafii została bardziej usprawniona. Na plebanii rzymsko-katolickiej znaleźli gościnę księża: Aureli Fuchs proboszcz z Czernelicy, Michał Jurków proboszcz z Michalcza oraz ks. Edward Kopeć wikariusz z Tłumacza. Na plebanii ormiańskiej zamieszkał ks. Zygmunt Staniszewski proboszcz z Woronowa. Przez kilka miesięcy w Horodence przebywał również ks. Stanisław Kaściński proboszcz z Obertyna. Dzięki tym kapłanom obsługa pastoralna w końcowym okresie wojny mogła zostać znacznie powiększona. Podejmowali bowiem ci księża szereg inicjatyw, które zyskiwały sympatyczne przyjęcie ze strony wiernych.

Rekolekcje adwentowe i wielkopostne prowadzone przez zapraszanych kaznodziejów z dekanatu horodeńskiego i Kołomyi były zawsze licznie uczęszczane i kończyły się ogólnym uczestnictwem w sakramencie pojednania.

Wśród zachowanych tekstów kazań i homilii wówczas przeze mnie przygotowywanych na każdą niedzielę i święto oraz przemówień okolicznościowych zachowało się niewiele po tylu latach. Dla dokumentacji tej strony pracy w środowisku i warunkach okupacyjnych pozwoliłem sobie dołączyć kilka wypowiedzi własnych.¹³ Niestety nie mogę przytoczyć treści mego kazania

¹² Zob. relacje o mordach UPA podczas II wojny światowej: Ks. Józef Anczarski: *Kronikarskie zapisy z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej 1939-1946*, Kraków 1996; Stanisław Bizuń: *Historia krzyżem pisana*, Lublin 1994; Ks. Wacław Szetelnicki: *Zapomniany bohater Ks. Stanisław Frankl*, Roma 1983; Ks. Bp Wincenty Urban: *Droga krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach 1939-1945*, Wrocław 1983; Ponadto: *Semper fidelis, Na Rubieży i inne*

¹³ Zob. w aneksach: Ks. S. Turkowski - *Chrystus Król* – egzorta wygłoszona do młodzieży w kościele parafialnym w Horodence 25.X.1942r. mps 3 str., Ks. S. Turkowski: *Nastrój duchowo-modlitewny w dniu Święta Zmarłych* kazanie wygłoszone na cmentarzu w Horodence 1.XI.1942r. mps 6 str.

wyłoszonego 9 maja 1945r. z okazji zakończenia wojny światowej, o czym wspomina jeden z moich uczniów ¹⁴ ani też zaimprovizowane przemówienie podczas Mszy św. odprawionej na dworcu kolejowym Horodenka-Miasto tuż przed wyjazdem naszego transportu ekspatriacyjnego w pamiętnym dniu 26 lipca 1945r.



Ks. arcybiskup Józef Bilczewski w Horodence, 1915/16

W działalności duszpasterskiej Kościoła jak wiadomo, wielką i niezastąpioną rolę pełni katechizacja pojmowana jako nauczanie i wychowywanie religijne w domu, szkole i kościele. Trzeba przyznać, że ogół rodziców katolickich w tych trudnych i niebezpiecznych czasach wykazał znaczną troskę o życie religijne swoich dzieci i młodzieży nie tylko poprzez dopilnowanie uczestnictwa w religijnych praktykach ale przede wszystkim przez własny przykład oraz chrześcijańską atmosferę w domu. Lekcje religii w wymiarze 2 godzin tygodniowo powróciły do szkoły po wyparciu Sowietów przez wojska niemieckie. Od 1 września 1942r. uzyskałem pełny etat nauczyciela religii w szkole koedukacyjnej powszechnej w Horodence i w Jasienowie Polnym. Nauczanie odbywało się w ramach normalnego rozkładu zajęć szkolnych i było prowadzone wedle programu

¹⁴ Zob. *List Henryka Bryła do autora nt. kazania w dniu zakończenia wojny 9.V.1945r.*, arch. własne

z okresu międzywojennego. Dotkliwie dawał się odczuć brak podręczników, których nie wolno było drukować. Posługiwano się więc nielicznymi egzemplarzami katechizmów, biblii oraz tych jakie pozostawały w rodzinach, prywatnych zbiorach i bibliotece parafialnej. Młodzież i dziatwa, zwłaszcza przygotowująca się do I Komunii Św. wymieniała je pomiędzy sobą. Zasadniczą treść lekcji religii stanowiły wykłady księdza katechety, notowane w zeszytach. Dopełnieniem katechezy szkolnej była jak już wspomniano praktyka niedzielnych kazań katechetycznych na prymarii tzn. pierwszej Mszy św. w niedziele i święta oraz katecheza dorosłych w czasie niesporów niedzielnych.

Ważnym wydarzeniem w życiu parafialnym była Pierwsza Komunia Św. dzieci szkolnych zasadniczo z klasy trzeciej. W pracy przygotowawczej oprócz księdza katechety uczestniczyły również siostry zakonne ze Zgromadzenia Rodziny Maryi oraz Pani Maria Niemińska nauczycielka, która od szeregu lat wydatnie i niezwykle ofiarnie wspierała tę dziedzinę pracy Kościoła w Horodence. Jej wkład w to przygotowanie zarówno dydaktyczne, jak i przede wszystkim wychowawcze, do dziś z uznaniem i wdzięcznością wspominają jej dawni uczniowie i uczennice.

15

Niech mi będzie wolno tutaj przytoczyć imienny wykaz dzieci z klasy IIIa i IIIb z roku szkolnego 1943/44 sporządzony własnoręcznie przez Panią Niemińską:

Klasa IIIa

1. Bednarczyk Mieczysław
2. Bełej Maria
3. Berezowska Józefa
4. Bijowski Stanisław
5. Dernes Maria
6. Hanaj Zofia
7. Hołyńska Jadwiga
8. Januszkiewicz Zygmunt
9. Jaworska Wanda
10. Kobusiak Emilia
11. Kobusiak Zdzisław
12. Krzeczowska Zdzisława
13. Kwiatkowska Elidia
14. Łabanc Stanisław
15. Makara Janina
16. Ozorowska Krystyna
17. Pluta Aleksander
18. Popielnicka Anna
19. Rymiec Czesław
20. Rymiec Kazimierz
21. Sanak Stanisław
22. Skowrońska Krystyna
23. Szumlańska Krystyna
24. Tomaszewska Janina

¹⁵ *Wspomnienia dawnych uczennic: Gabrieli Buś-Chmielarz ze Świdnicy oraz Aleksandry Trojak-Gogulskiej z Raciborza*

25. Trojak Aleksandra
26. Wartanowicz Maria
27. Zaczek Stefania

Klasa III b

1. Biała Janina
2. Bień Józefa
3. Biłokrylec Maria
4. Berezowska Rozalia
5. Bombas Zuzanna
6. Buś Gabriela
7. Gieruszyńska Ela
8. Hawrysz Janina
9. Kalinicka Maria
10. Kotapski Zygmunt
11. Kondrowski Waldemar
12. Koczwara Emanuel
13. Krzyżyk Zbigniew
14. Krzyżyk Daniela
15. Kuryłów Mieczysław
16. Lewicka Jola
17. Łupinka Władysław
18. Makara Adela
19. Makara Maria
20. Mosbauer Józef
21. Norsesowicz Marian
22. Pawłowski Czesław
23. Pluta Wanda
24. Piątkowski Adam
25. Pokorska Helena
26. Sierzęga Kazimierz
27. Skibiński Henryk
28. Stachów Emilia
29. Tchórzewski Tadeusz
30. Woźniak Maria

Ponadto do I Komunii Św. w tym czasie przystępowały dzieci z Głuszkowa, Potoczysk, Jasienowa Polnego i Strzylcz.

W moim notesie z roku szkolnego 1943/44 odczytuję jeszcze pamiętne imiona i nazwiska klas szkoły powszechnej w Horodence:

Z klasy VII:

1. Brodowski Mieczysław
2. Bryll Henryk
3. Ciołek Zenon
4. Cichy Tadeusz
5. Chałupa Maria
6. Czarkowska Ludwika

7. Dubiniewicz Krystyna
8. Gawlińska Irena
9. Hryniewiecka Stanisława
10. Januskiewicz Kazimierz
11. Kobusiak Zbigniew
12. Kolawa Wanda
13. Krupa Zbigniew
14. Kotapski Stanisław
15. Krzemińska Danuta
16. Kubikowski Zbigniew
17. Leszczyńska Czesława
18. Nawalkowska Krystyna
19. Norsesowicz Zofia
20. Pachulski Tadeusz
21. Pelc Maria
22. Pokorska Stanisława
23. Staniecka Józefa
24. Szumlańska Józefa
25. Woźniak Janina
26. Wojciechowska Antonina

Z klasy VI:

1. Bombas Krystyna
2. Cichy Zbigniew
3. Ciuciara Romualda
4. Dernes Janusz
5. Dobrowolski Piotr
6. Gerucki Zdzisław
7. Hnatiuk Kazimierz
8. Jaroszewski Zygmunt
9. Kosowska Irena
10. Kupczyńska Eugenia
11. Kwiatkowska Anna
12. Kwiatkowska Kazimiera
13. Łupinka Zenon
14. Małacka Krystyna
15. Macała Jadwiga
16. Muszyn Mieczysław
17. Myroniuk Franciszek
18. Nawalkowska Stefania
19. Norsesowicz Jadwiga
20. Okruszko Ryszard
21. Palewicz Czesława
22. Pastucha Zdzisław
23. Prager Adolf
24. Robaczyński Roman
25. Rypniewska Urszula

26. Sadowski Tadeusz
27. Salikiewicz Urszula
28. Smólska Halina
29. Staniecki Adam
30. Starzyński Tadeusz
31. Szepelowski Czesław
32. Szczęsna Zofia
33. Tabaczk Anna
34. Tanasijczuk Janina

Z klasy V:

1. Aleksiewicz Cecylia
2. Baczyński Tadeusz
3. Burna Cecylia
4. Buś Urszula
5. Bednarczuk Adam
6. Bień Julia
7. Czarkowski Ryszard
8. Dziadykiewicz Stefania
9. Dubiński Kazimierz
10. Fabianowska Danuta
11. Gawliński Wacław
12. Gerucki Ryszard
13. Guyrkowich Adam
14. Grodziński Emilian
15. Hołyński Zbigniew
16. Januszkiewicz Ewelina
17. Karczewski Jan
18. Kaczorowska Domicela
19. Kalinicka Izabela
20. Kosiński Kazimierz
21. Kosiński Tadeusz
22. Kosińska Krystyna
23. Kowaliszyn Zbigniew
24. Kucharska Helena
25. Kraus Mieczysław
26. Młynarczyk Halina
27. Mandziejewicz Bronisława
28. Murzyński Adam
29. Nykiforuk Zenobia
30. Niedziałkowski Władysław
31. Pic Wanda
32. Piotrowska Halina
33. Popielnicka Czesława
34. Puk Janina
35. Rabski Bolesław
36. Rampała Anna

37. Rodzeń Kazimierz
38. Różycka Anna
39. Terlecka Irena
40. Wysocka Wanda
41. Zalewska Wanda
42. Zalewski Zbigniew
43. Zając Józefa
44. Staniecka Zdzisława

Z klasy IV:

1. Bybluk Maria
2. Bednarczuk Janina
3. Berezowski Kazimierz
4. Cielęca Lubomiła
5. Cielęca Irena
6. Cichy Marian
7. Dubiniewicz Mieczysław
8. Gawlińska Urszula
9. Gawlińska Władysława
10. Charuk Krystyna
11. Hanaj Zbigniew
12. Hotowy Kazimierz
13. Hryniewiecki Jan
14. Hryniewiecki Władysław
15. Jaworski Jan
16. Kaliniaków Eugeniusz
17. Kawecki Czesław
18. Kaup Szczepan
19. Koberecka Jadwiga
20. Kobusiak Natalia
21. Komarnicka Jadwiga
22. Kotapski Kazimierz
23. Macała Bogusława
24. Maraj Jan
25. Mulak Zofia
26. Nawalkowska Czesława
27. Pater Bogusława
28. Piotrowski Kazimierz
29. Pluta Józef
30. Pluta Józefa
31. Pic Zygmunt
32. Pokorska Maria
33. Rypniewski Jerzy
34. Śliwiak Anna
35. Salikiewicz Lidia
36. Smólska Bogna
37. Surowiec Kazimierz

38. Stelmach Maria
39. Tchórzewska Jadwiga
40. Ustianowska Maria
41. Woźniak Wiktor
42. Wierzbowski Zbigniew
43. Młynarczyk Longin
44. Staniecka Rozalia
45. Leja Stanisława
46. Chałupa Tadeusz
47. Łupinka Zdzisław
48. Szymański Marian
49. Kleinberger Stanisław
50. Czaczka Stanisław

W roku szkolnym 1942/43 ukończyli szkołę powszechną:

1. Brodowski Bronisław
2. Bryl Henryk
3. Ciuciura Elżbieta
4. Dernes Irena
5. Drapak Krystyna
6. Dubiński Edward
7. Januskiewicz Stanisław
8. Kolawa Zygmunt
9. Kwiatkowska Joanna
10. Kowaliszyn Czesław
11. Magryś Józef
12. Małaczyńska Krystyna
13. Małecka Irena
14. Kupczyńska Maria
15. Piotrowska Zdzisława
16. Petryna Janina
17. Przybysz Tadeusz
18. Robaczyński Jerzy
19. Rypniewska Rozalia
20. Sadowska Anna
21. Światłowski Edward
22. Szepelowska Amelia
23. Terlecka Władysława
24. Tomkiewicz Danuta – zginęła podczas bombardowania miasta
25. Twardowski Władysław
26. Wujek Łucja

Niektórzy z nich podjęli dalszą naukę w Zorganizowanych Tajnym Nauczaniu¹⁶, inni podjęli pracę tam, gdzie to było możliwe w ówczesnych warunkach, chroniąc się w ten sposób od wywózki na roboty przymusowe do

¹⁶ Ks. S. Turkowski: *Tajne nauczanie w Horodence podczas II wojny świat.* Wrocław 1998
mps

Niemiec. Pojedyncze osoby uczestniczyły aktywnie w nieformalnych grupach młodzieżowych przy parafii rzymsko-katolickiej.

Wśród starszej młodzieży, która ukończyła szkołę średnią tuż przed wybuchem wojny lub została zmuszona do jej przerwania na skutek restrykcji okupantów, w życiu parafialnym wyróżniały się i zostały przeze mnie zapamiętane z szacunkiem i serdecznym uczuciem następujące osoby, które brały udział w wielu imprezach szkolnych i parafialnych, zwłaszcza w jasełkach i akademiach:

Dernes Irena
Durkot Krystyna
Jordan Czesława
Kolędowska Janina
Kosińska Czesława
Kruczkowska Irena
Kaczorowska Irena
Salikiewicz Urszula
Rodzeń Bronisław
Rodzeń Stanisław
Bilizinowie Karol i Ludwik
Ciołek Czesław
Czajkowska Stefania
Dubiniewicz Krystyna
Januskiewicz Janina
Konopkówna Bożena
Laszkowska Waleria
Moskal Józef
Rygiel Henryka
Szepelowska Maria

Oczywiście nie wszystkich mogłem tu wymienić ze zrozumiałych względów, zwłaszcza zawodnej pamięci z upływem lat. Ale wszystkich chowam we wdzięcznej pamięci i w sercu, życząc żyjącym jak najwięcej wszelakiego dobra, a dla zmarłych upraszam u Boga radości wiekuiestej. Pozostaną wszyscy w moich uczuciach i modłach do końca moich dni. Zasłużyli także na wdzięczną pamięć potomnych i dlatego starałem się wymienić niektóre z tych osób.

Niezmiernie istotną i owocną pomocą w duszpasterskiej pracy Kościoła stanowiła działalność dwóch zgromadzeń zakonnych jakie istniały w Horodence. Były to: Siostry Franciszkanki Rodziny Maryi, które jako pielęgniarki dyplomowane pracowały w miejscowym szpitalu oraz Siostry Albertynki, prowadzące Dom Opieki nad Starcami. Siostry zakonne były mocno związane ze środowiskiem służąc ofiarnie zawsze każdemu potrzebującemu, czym zdobyły sobie zasłużone uznanie i autentyczną wdzięczność społeczeństwa.

Nie można też pominąć współpracy duszpasterstwa parafialnego z osobami świeckimi, czyli tzw. laikatem. Parafia miała na swym terenie wiele osób oddanych wspólnocie we wszystkich miejscowościach do niej należących, dzięki czemu praca duszpasterska mogła przebiegać względnie sprawnie w tych niełatwych warunkach. W każdej wiosce byli przedstawiciele rady parafialnej, mężczyźni, którzy czuwali nad organizacją nabożeństw zwłaszcza takich jak

majowe, w formie litanii loretańskiej śpiewanej przy krzyżach i kapliczkach przydrożnych, Gorzkich żali i Drogi Krzyżowej w kościołach filialnych, do których kapłan nie mógł dojechać, a przede wszystkim czuwanie nad bezpieczeństwem filialnych świątyń, przechowując u siebie klucze od kościoła wzgl. kaplicy, naczynia i szaty liturgiczne oraz organizując w razie potrzeby środki lokomocji dla kapłana przyjeżdżającego z posługą do danej miejscowości. W sposób szczególny zaznaczyli się pod tym względem Panowie: Józef Szymczak w Jasienowie Polnym, Józef Krasowski zamordowany przez bandę UPA w Potoczyskach oraz Jan Zaczyk w Oknie.¹⁷ Ich oddanie Kościołowi i Polsce nie powinno ulec zapomnieniu. Trzeba też wspomnieć tutaj raz jeszcze organistę Piotra Chojnackiego, który wywieziony na Sybir krzepił swych współbraci nadzieją przetrwania. Jego następcą był na tym stanowisku Józef Moskał, który po ekspatriacji wstąpił do Metropolitalnego Seminarium Lwowskiego w Lubaczowie i tam został wyświęcony na kapłana.

Zaangażowanie osób świeckich w życie społeczne Kościoła było wspaniałym owocem działalności Akcji Katolickiej w latach 30-tych, która skupiała najbardziej oddanych Kościołowi wiernych mężczyzn, kobiet, młodzieży męskiej i żeńskiej.¹⁸ W czasie wojny, gdy działalność wszelkich stowarzyszeń religijnych była niemożliwa, ślad formacji poszczególnych stanów pozostał bardzo wyraźny właśnie w działaniu dla dobra wspólnego. Wierni skupiali się w organizacjach nieformalnych, bardziej o charakterze modlitewnym takich jak m.in.: Trzeci Zakon Św. Franciszka oraz Żywy Różaniec. Spotkania prywatne po nabożeństwach kościelnych, były okazją do podejmowania wielu cennych i potrzebnych inicjatyw zwłaszcza charytatywnych. Co odważniejsi urządzali tego rodzaju spotkania modlitewne również w mieszkaniach prywatnych celem wymiany tajemnic różańcowych lub śpiewania litanii loretańskiej. W tej pracy uwzględniającej potrzeby parafii zaznaczyli swoją gorliwość i oddanie wspólnemu dobru mężczyźni: Gawliński Michał, Halicki Gustaw, Hanaj Józef, Kazimierz Jordan, Kalinicki Franciszek, Pluta Jan, Staniecki Marek, Wartanowicz Kajetan, ormianin zamordowany przez UPA w 1943r. oraz wielu innych.

Kobiety zaangażowane bardziej czynnie w pracę społeczną parafii, to: Baczyńska Maria, Grodzicka Zofia, Hanajowa Ewa, Loretówna, Ozorowska Maria, Kołodziej Paulina, Palewicz Aniela, Tomkiewicz Ludmiła, Berezowska Franciszka, Lewicka Maria, Maria i Teofila Tchórzewskie oraz wiele innych.

Młodzież męska rekrutująca się z dawnego KSMM oraz Sodalicii Mariańskiej miejscowego Gimnazjum, prowadzonej przez wytrawnych i świątliwych katechetów i duszpasterzy młodzieżowych z okresu międzywojennego, przejawiała swą aktywność w formie dyskusji, podejmowanych tematów światopoglądowych, patriotycznych i społecznych na spotkaniach ministranckich oraz prób jasełek itp. Młodzież żeńska związana w ubiegłych latach z Sodalicią Mariańską oraz KSMŻ

¹⁷ Bp W. Urban: *Archidiecezja Lwowska ...* dz. cyt. s. 112

¹⁸ Mariusz Leszczyński: *Akcja Katolicka w Archidiecezji Lwowskiej obrządku łacińskiego*, Lublin-Pelplin 1996, str. 139, 142, 160, 327 i 334

gromadziła się głównie w parafialnym chórze pod kierownictwem Seweryna Kosińskiego.¹⁹

Współpraca laikatu z duszpasterstwem Kościoła była najbardziej odczuwalna i zauważalna, a przede wszystkim powszechnie akceptowana w dziedzinie pomocy chorym, z różnych powodów cierpiącym oraz potrzebującym materialnego wsparcia. Już Chrystus Pan zauważył: *Ubogich zawsze wśród siebie mieć będziecie.* /Mt 26, 11/ W czasie wojny i okupacji jak wszędzie, tak i na terenie Horodenki było wiele biedy i to niezmiernie dotkliwej tak duchowej związanej z dramataми rodzinnymi, aresztowaniami, deportacjami, jak i fizycznej, którą niósł głód, różnego rodzaju choroby łącznie z epidemią tyfusu plamistego przywleczonego wiosną 1944r. przez wojska sowieckie. Miejscowy szpital był przepelniony rannymi żołnierzami sowieckimi przywożonymi z frontu wojennego na linii Obertyn – Kołomyja. Większość chorych musiała pozostać w domach, zdanych na opiekę swych rodzin. Siostry Marianki niezależnie od pracy w szpitalu, udzielały pomocy chorym również i w domu. One też udzielały pierwszej pomocy sanitarnej bezpośrednio po bombardowaniu miasta przez lotnictwo niemieckie 29.IV.1944r., gdy szpital wojskowy urządzony w dawnej szkole żeńskiej, został zniszczony.

Posługę sakramentalną wszystkim chorym również na tyfus plamisty nieśli kapłani przebywający w Horodence. Zauważyć wypada, że byli oni wzywani również do chorych greko-katolików pomimo, iż na miejscu był kapłan tego obrządku, który będąc żonatym i mając rodzinę odmawiał tej usługi w obawie przez zarażeniem. Pamiętam, że sam kilkakrotnie wyjeżdżałem do chorych Ukraińców. Jeśli mowa o pomocy lekarskiej niesionej ludziom chorym, to Horodenka w tym czasie gdy do miasta wkroczyły wojska sowieckie we wrześniu 1939r. była w położeniu o tyle szczęśliwym, jeśli to tak można określić, że miała przez cały czas czynny szpital okręgowy, co najmniej sześciu lekarzy, kilku stomatologów oraz kilkanaście wykwalifikowanych pielęgniarek zakonnych i świeckich pracujących ofiarnie, z pełnym oddaniem i często bezinteresownie, co w świetle dzisiejszych spostrzeżeń wydaje się czymś zgoła niepojętym. Osoby te, cała ówczesna służba zdrowia, jak to się dziś określa nie zawsze z pełnym pokryciem treści tych słów, śpieszyły z pomocą fachową, jak również i materialną, gdy zdobycie potrzebnych leków graniczyło często z „cudem”. Dobrą pamięć pozostawił po sobie dr Schneider – Żyd, który w latach 1939-1941 leczył bezinteresownie uchodźców, wysiedleńców i wszelką biedotę. Dzięki swoim znajomościom oraz możliwościom finansowym, zdołał uchronić kilka osób od wywózki do ZSRR. Mając możliwość ucieczki do Rumunii lub Węgier względnie ukrycia się, oddał się dobrowolnie władzom hitlerowskim, pragnąc dzielić los swoich współbraci.²⁰ Również pozostali lekarze: dr Mieczysław Kwiatkowski, dr Gawański oraz dr Piotr Dobrowolski z pochodzenia Rosjanin, który uchodząc w 1917r. przez Wielką Rewolucję zamieszkał w Horodence, swoją postawą i gotowością pomocy nie tylko medycznej ale także charytatywnej, zasłużyli na trwałą pamięć i wdzięczność mieszkańców. Dr Lidia Lewicka, lekarz-chirurg

¹⁹ BP W. Urban: *Archidiecezja Lwowska ...* dz. cyt. s. 152n oraz zdjęcie: *U PP. Bilizinów w Poniedziałek Wielkanocny 1945r.*

²⁰ Bp W. Urban: *Archidiecezja Lwowska ...* dz. cyt. s. 160

poprzez gipsowanie ręki lub nogi młodym ludziom oraz odpowiednie zaświadczenia lekarskie umożliwiła uniknięcie wyjazdu na przymusowe prace do Niemiec.²¹ W czasie działań wojennych we wrześniu 1939r., a także w następnych latach przez Horodenkę przesuwało się szereg osób i rodzin z różnych stron Polski. Byli to ludzie uciekający przed nawałą hitlerowską jak i później także emisariusze podziemia usiłujący przedostać się przez granicę do Rumunii. Niektórzy z różnych powodów musieli pozostać w mieście przez dalsze lata. Dla nich trzeba było zorganizować pomoc w przeżywanych trudnościach. Mieszkańcy miasta i okolicznych wiosek zachęteni przez księdza proboszcza Michała Sobiejkę przychodzili z ofiarną pomocą w tych trudnych sytuacjach, dzieląc się z potrzebującymi swym dachem, chlebem, a przede wszystkim serdeczną gościnnością i materialnym wsparciem. W sposób szczególny zaznaczyły się pod tym względem następujące osoby i ich rodziny: Bilizinowie, Durkotowie, Ewa i Józef Hanajowie, Maria i Kazimierz Jordanowie, Karczewscy, Franciszek Kalinicki, Aniela Palewicz, Paulina Kołodziej, Kosińscy, Maria i Bartłomiej Potaczkowie, Plutowie, Rozalia i Mieczysław Kwiatkowscy, Tomasowie, Maria i Teofila Tchórzewskie, były bumistrz miasta Horodenki Ludwik Tomkiewicz, Janina i Stanisław Żurkowie oraz bardzo wiele innych, zwłaszcza tych, którzy pomagali w sposób dyskretny, często całkiem anonimowy. Na tych ludzi można było zawsze liczyć przy wszelkiego rodzaju akcjach charytatywnych i społecznych. Była to praca cicha, spokojna, niekiedy o charakterze spontanicznym, płynąca z poczucia solidarności i odpowiedzialności oraz przekonania uformowanych, jak już wspomniano wyżej przez Akcję Katolicką i stowarzyszenia religijne działające w parafii w okresie międzywojennym.²²

Nakreślony obraz solidarnej współpracy całej społeczności polskiej w Horodence w niesieniu pomocy potrzebującym byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć z ogromnym szacunkiem kilka choćby rodzin ormiańskich, wśród których były rodziny Jaroszyńskich, Norsesowiczów, Romaszkanów, Wartanowiczów i innych.

Można więc przyjąć jako wniosek końcowy, że praca duszpasterska w Horodence w tych dramatycznych i niezmiernie trudnych warunkach, osiągnęła swój cel w tych podstawowych nurtach jakimi są zawsze: ewangelizacja, czerpanie mocy nadprzyrodzonych z sakramentów świętych z Eucharystią, która tworzy i ożywia wspólnotę Kościoła i wreszcie – zaangażowanie ludzi świeckich w życie społeczne, jako znak chrześcijańskiej dojrzałości i odpowiedzialności. Należy mieć nadzieję, że ten dobry zaczął wiary, nadziei i miłości jako dokonał się i utrwalił na utraconych Kresach Wschodnich, a który wyraził się nierzadko w heroicznej postawie tamtejszych Polek i Polaków zaowocuje pięknym plonem na Ziemiach Zachodnich, dokąd skierowała nasze życiowe kroki Boża Opatrzność.

²¹ Tenże dz. cyt. s. 163n

²² Tenże dz. cyt. s. 153

JÓZEF GWOZDA

Rossford (USA), lata 60. XX wieku

Wspomnienia poborowego z 1941 roku (3)



Józef Gwozda, Szkocja 1943r.

Dość długo po wyjeździe chorych kolegów nie było od nich wiadomości. Jest już bardzo tu zimny luty, aż wreszcie 18 lutego zjawia się dwóch polskich oficerów, jeden z nich lekarz, mają nas zapisywać do polskiego wojska. Co za radość!! Wreszcie odetchnęliśmy z ulgą: Nie zapomnieli o nas! Będziemy wolni!! Będziemy w polskim wojsku!! Na razie tylko nas zapisują, mamy tu pozostać jeszcze kilka dni aż nas zawołają. Zapisują tylko Polaków i tu okazuje się, że niektórzy Polacy wstępując do sowieckiego wojska podawali narodowość ukraińską lub białoruską, licząc zapewne na lepsze traktowanie. Jakże się zawiedli. Teraz żałują bo polscy oficerowie nie mogą ich wziąć, mogą brać tylko Polaków. Nie pomagają prośby, droga do wolności zamknięta przed nimi, umowa ze Stalinem ich nie obejmuje. Komisja działa sprawnie, lekarz dziwi się, że jeszcze żyjemy, tak jesteśmy zmizerowani. Lekarz pyta mnie czy jestem zdrowy, odpowiadam że tak, tylko wygłodzony i zmęczony. On kładzie mi rękę na ramieniu i mówi: *Dostaniesz angielskiej konserwy, odpoczniesz i będzie z Ciebie żołnierz pierwszego szeregu.* Jestem tym pocieszony i w tej chwili przyrzekam

sobie ofiarować swoje życie Wojsku Polskiemu i mojej ojczyźnie. Dziękuję też Opatrzności za opiekę i wyzwolenie. Po komisji chodzę jeszcze do kuźni, mój kolega wyjeżdża. Ja musiałem się zatrzymać, bo oddałem już wcześniej obuwie do naprawy i wciąż jest nie gotowe. Zrobiłem ze starej wacianki „walonki” i w nich chodzę od dawna. Wreszcie nadchodzi dzień mego wyjazdu, obuwie nadal nie gotowe, więc owijam dodatkowo nogi szmatami, i tak udaję się w drogę, choć mróz siarczysty. Potem dowiedziałem się, że więcej nie zostało wypuszczonych ludzi, pomimo że byli zapisani. Tym razem szczęście mi dopisało.

Dnia 25 lutego ładuję się razem z innymi do towarowych wagonów, i jedziemy w stronę Swierdłowska. Jest z nami młody oficer polski w zniszczonej rogatywce, który wraz z oficerem Rosjaninem konwojują nas. W wagonach zimno *wuhla niet* – więc przy każdej okazji zbieramy wszystko co nadaje się na opał, to samo robią w innych wagonach. Rosjanie nie przeszkadzają, jesteśmy teraz ich sojusznikami. Na mijanych stacjach wszędzie dużo Polaków, jadą na południe, są też transporty więźniów, i takich jak i my. Wszyscy zdążają do miejsc gdzie organizuje się polskie wojsko – pod opiekę tego wojska. Spotykam znajomych których aresztowano jeszcze w 1939 roku, są w jeszcze gorszym stanie jak my. Spotykamy też widoki przerażające: poza stacjami stosy trupów przeważnie polskich, czekających na pochówek. Dopiero po wojnie dowiedziałem się że Stalin celowo wyznaczył ten rejon na miejsce dla Polaków, a polskie władze nie miały dostatecznych informacji o tym terenie, w którym łatwo było o choroby: tyfus, malarię i inne. Polacy zapłacili za to ogromnymi stratami zdrowia i życia. Nie ma wyliczeń tych strat, wiadomo, że były one ogromne – śmierć tu nie próżnowała, miała żniwo obfite. Droga dłuży się, często przerywana postojami, dołączają inne wagony, i tak pomału dojeżdżamy do Taszkontu, gdzie pociąg ma stać dłużej. Idę więc do miasta kupić coś do zjedzenia, ale jest to niemożliwe. Wszędzie masy ludzi szukających pożywienia, są tacy jak ja, są Polacy z Sybiru, są żołnierze rosyjscy, a sprzedających nie widać. Rezygnuję z zakupu, wracając omal nie zostałem obrabowany przez tutejszych złodziejasków, którzy widząc że mam pieniądze, próbowali zwabić mnie w wąską nie zamieszkałą ulicę, przejrzałem, ich zamiary i w porę wycofałem się. Odtąd byłem, ostrożniejszy. Wróciłem do wagonu i tu dowiaduję się, że już nie długo kres naszej podróży. Wyjeżdżamy z Taszkontu, w dali widać wysokie góry, a przed nimi na równinie obóz wojskowy. Z radością rozróżniamy Biało-Czerwony Sztandar Polski. Nie możemy tam wejść, pozostajemy w wagonach, podchodzą do nas sanitariuszki Polskiego Czerwonego Krzyża, pytają o chorych. Tych zabierają do polowego szpitala, a pozostałym dają po łyżce tranu.

Przyglądamy się ćwiczącym oddziałom, trochę dalej widać wielki cmentarz. Po krótkim postoju jedziemy dalej do stacji Ugowaja, tu jest drugi obóz wojskowy polski. Tu wysiadamy i idziemy na posiłek. Następnego dnia, po zgoleniu wszystkich włosów czekamy w bardzo długiej kolejce do komisji lekarskiej i przydziału do polskiego wojska. Teraz czujemy się już polskimi żołnierzami, nareszcie spełniły się nasze marzenia o wolności. Pomimo zmęczenia z ochotą wykonujemy wszystkie polecenia polskich dowódców i przełożonych. Atmosfera i nastroje są radosne, pomimo że przed nami jeszcze wiele nieznanego niebezpieczeństwa. Przecież jest wojna. Prawie dwa dni schodzi nam na dobieraniu mundurów, obuwia i pozostałych części wyposażenia, oraz na

niszczeniu naszych znienawidzonych sowieckich mundurów. Teraz mając dwa nowe – angielskie wyposażenie i pościel, czujemy się jak w domu. Odtąd rano i wieczorem wspólna modlitwa. Podczas pierwszej niejeden zapłakał, dziękując Bogu za ocalenie z niewoli. Żywią nas ostrożnie, często odwiedza nas lekarz, pyta o zdrowie, daje różne zalecenia itp. Dużo jest słabych, więc na razie więcej wykładów i lekkich ćwiczeń. Kwaterujemy w namiotach, powoli wracam do sił, i już mi normalne zajęcia nie strasze. Niedziela Palmowa, pierwszy raz od wyjazdu do domu jestem na Mszy św., szczerze dziękuję Bogu za wyzwolenie z sowieckiej niewoli. Popołudnie mamy wolne, ale poza obóz nie można wychodzić. Tam jeszcze „sowieckaja właść”. Robimy przegląd w śród oddziałów, zawieramy nowe znajomości, wypytuję o rodzinę i szwagra, nie ma tu nikogo, szwagier wyjechał do innego obozu, a rodzina jeszcze w kołchozie, gdzie ją zostawił. Mamy wiadomości, że mamy wyjeżdżać do Palestyny, ale o tym ma być cicho.

25 marca ładujemy się do towarowych wagonów, i znowu mamy towarzystwo wszy, których pełno w wagonach, bo wożą nimi różną ludność. Teraz jedziemy na zachód, tym razem swobodni i weseli, śpiewamy piosenki, czasem na stacji dostajemy posiłek, który przypomina pobyt w sowieckich obozach, bo tu jeszcze żywią nas Sowietci. 1 kwietnia 1942r. wysiadamy w Krasnowodzku i po posiłku idziemy do portu. Tam długo czekamy na załadunek, najpierw ładują cywilną ludność, dopiero wieczorem wchodzimy na okręt, mocno już przeładowany i zatłoczony. Po modlitwie mamy spać, ale nie ma miejsca, śpimy „w kucki”. Na drugi dzień okręt odpływa. Rozlegają się pieśni dziękczynne wyjeżdżających cywilów i żołnierzy. 3 kwietnia widzimy już ląd, okręt stoi na morzu, a nas i cywilów przewożą na ląd małymi statkami. Dużo cywilów jest chorych, pomagamy znosić ich na ląd. Stajemy na ziemi perskiej, mamy najpierw iść do łaźni, potem do wojskowego obozu. Cywilów kierują do osobnych obozów, których tu jest dużo.

Spotykam kolegę, Karola. Przyjechał tu wcześniej, częściej mnie przez płot daktyłami, cieszymy się obaj ze spotkania, lecz musimy się rozstać, on jest w innym oddziale. Niedługo potem znowu się rozłączyliśmy. Po kąpeli i dezynfekcji wszystkiego co mieliśmy ze sobą, otrzymujemy posiłek. Po krótkim odpoczynku, idziemy pomagać przy sprzątaniu obozów. Mamy z pozostawionych przez cywilów rzeczy wybierać mydło i co lepsze z odzieży i to oddać do dezynfekcji. Przydadzą się dla innych, resztę palimy poza obozem. Po dwóch dniach takiej pracy, przy ogniu i w gorącym klimacie, dostają tzw. kurzej ślepoty, w dzień widzę tak jak przez szparę, w nocy wcale nie widzę. Po kilku dniach trochę mi się poprawiło, ale nie za dobrze. W święta Wielkanocne po Mszy św. wspólny obiad na wolnym powietrzu, święcone jajko a zamiast kielbasy – wędzona ryba. Po obiedzie przemawia pułkownik – komendant obozu. Po świętach przenosimy się do innych większych namiotów i rozpoczynamy normalne ćwiczenia. Wyżywienie nie jest ani najlepsze, ani obfite – wojsko „dokarmia” masy cywilów wciąż przybywających tu z sowieckiego „Raju”. Czasem dokupujemy co od Persów za pierwszy żołd wypłacony w perskiej walucie – 7 tumanów. Powoli mija mi kurza ślepotą, a porucznik przygląda mi się i mówi że jestem podobny do jego syna który pozostał w Polsce. Proponuje mi abym został jego adiutantem, chętnie się zgadzam i odtąd jestem przy nim długo. Byłem mu wdzięczny za pomoc i opiekę w tym czasie. Sprawdzają się pogłoski że wyjedziemy do Palestyny i 24 kwietnia

ładujemy się na ciężarówki, które przywiozły towary dla Rosji, więc aby nie wracały puste, mają nas zabrać. Jedziemy przez wysokie góry, droga prowadzi często nad przepaściami. Podziwiamy zręczność i odwagę perskich kierowców. Nocujemy raz w polu, raz w ogrodzie jakiegoś pałacu, a ostatni nocleg mamy w obozie angielskim. Stąd wyjeżdżamy na angielskich wojskowych samochodach. Znowu jazda przez góry i wreszcie dojeżdżamy do ostatniej placówki przy tymczasowej granicy strefy okupacyjnej – rosyjskiej. Tu pomimo upału sowieccy żołnierze w spiczastych czapach i w „szynelach” dokładnie sprawdzają nasze dokumenty, dokładnie liczą nas i odchodzą. Teraz dopiero kończy się sowiecka – skryta – opieka nad nami. Z dala widać angielskich żołnierzy, w koszulkach i krótkich spodniach, podchodzą do nas witają przyjaznym uśmiechem, częstują papierosami i owocami. Z niezmierną ulgą pożegnałem sowiecki „RAJ” i pełen dobrych myśli rozpocząłem dalszą drogę. Nie przewidziałem wtedy, że ta droga będzie tak długa i zakończy się dopiero za 10 lat. Razem z pobytem w Sowietach trwała 11 lat.

Teraz już w nowych jednostkach, znowu pogubili się koledzy, znowu są nowi, i z nimi zwiedzam Ziemię Świętą. Tam spotykam szwagra, który od 10 lutego 1942r. – od drugiej rocznicy wywozu, jest w polskim wojsku w 2 Korpusie. Od niego dowiaduję się, że moje siostry są już w Persji w Teheranie. Od tego czasu miałem już łączność z nimi i przynajmniej o nich byłem spokojny w odróżnieniu od niepokoju o rodzinę w Polsce. Stamtąd nie było żadnych wiadomości poza ogólnymi informacjami z gazet. [red.: tu następuje obszerny opis zwiedzania Ziemi Świętej]

Pamiętny to w moim życiu okres, nie zapomnę wrażeń jakich doznaje się w miejscach świętych, gdzie urodził się, żył, i zmartwychwstał Zbawiciel. Szczęśliwy się czułem po tej niedoli jaką przeszedłem w kraju gdzie wyrzucono Boga. Tu znalazłem ukojenie duszy tak tam zmęczonej. Niedługo po zwiedzeniu Ziemi Świętej zostałem wyznaczony do konwojowania jeńców włoskich z Kairu do Południowej Afryki przez Aden. 5 lipca po południu wsiadamy na okręt – *Multan* – płyniemy przez morze Czerwone, jest tu bardzo gorąco, po paru dniach burza, ale znoszę dobrze drogę morską. 15 lipca przysięga wojskowa na pokładzie okrętu, wśród szumiących fal Afryki, poprzez porty Cape Town, Free Town, Lizbonę, 27 sierpnia dopływamy do Szkocji do portu Glasgow. Będąc w Lizbonie, wysłałem do rodziny w Polsce, za pośrednictwem Czerwonego Krzyża, małą półfuntową paczuszkę suszonych owoców. Dopiero po wojnie dowiedziałem się że rodzina ją otrzymała, ale nie wiedziała od kogo. Adres pisany był ręcznym drukiem, i jedynie brat domyślał się że to może być ode mnie. Do paczuski nie było można dać żadnej kartki, była już gotowa do wysłania pod wskazany adres. Rodzina wiedziała, że na zachodzie jest polskie wojsko, ale nie w Lizbonie.

Zgłosiłem się na ochotnika do Pierwszej Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego, który pochodził ze Stanisławowa, a więc swojak. Następują trudne i żmudne ćwiczenia, 5 listopada stawiamy pierwsze skoki z wieży, 23 listopada pierwszy skok z samolotu. Niedługo odnalazłem w brygadzie kilku kolegów, którzy też zgłosili się do spadochroniarzy m.in. Karola Wójcika. Przechodzimy różne kursy, m.in. podoficerski. Następują urlopy, podczas których poznaję innych kolegów, odwiedzam inne jednostki w poszukiwaniu znajomych, i tak upływa czas oczekiwania na spodziewaną, a wciąż odkładaną akcję.

Wreszcie długo odkładana akcja pod Arnhem, w Holandii. Ląduję o jeden most za daleko, zostaję lekko ranny. Z mojej grupy 18 osób zostało 6. Wracam do Anglii na leczenie, po nim dalsze przeszkolenia, reorganizacja brygady, i wyjazd do Niemiec, już w składzie wojsk lądowych na okupację. Tu spotykam kilku znajomych z moich stron, którzy byli wywiezieni na przymusowe roboty. Od nich mam pierwsze niepewne wiadomości o rodzinie. Dopiero na jesieni 1945 roku wiem już że rodzina, niepełna, jest na Ziemiach Zachodnich, że brat jest w polskim wojsku, że wszyscy są zdrowi, i że są zmiany. Pomagam siostrom przebywającym w tym czasie w Afryce nawiązać kontakt z rodziną w Polsce. Wkrótce cała ocalała rodzina odnajduje się. Zabrakło niestety 9 osób.



Cmentarz polskich weteranów I i II wojny światowej,
na którym pochowany został Józef Gwozda, Toledo w stanie Ohio (USA)
(fot. Karol Gwozda, bratanek J.G.)

W Niemczech przebywam do końca maja 1947 roku. Nie zamierzam wracać do Polski wepchniętej przez zwycięzców do sowieckiego raju, który zbyt dobrze poznałem. 12 grudnia 1947 roku demobilizacja, pozostaję w Anglii do kwietnia 1949 roku, skąd 1 maja z 100 osobową grupą takich jak ja, wyjeżdżam do Argentyny. Mój kolega Karol Wójcik pozostał w Anglii, założył rodzinę, i tam po kilku latach niestety zmarł. Innych odnalazłem dopiero po kilkunastu latach. W

Argentynie pracowałem ponad 2 lata przy budowie linii energetycznych wysokiego napięcia. Widząc że ustrój argentyński coraz bardziej upodabnia się do sowieckiego czy hitlerowskiego, w 1952 roku opuszczam Argentynę i udaję się do USA do siostry, która mając naturalne obywatelstwo amerykańskie, po ucieczce z Sybiru i pobycie w Afryce, już od 1949 roku przebywała razem z mężem i 2 ocalałymi synami w USA w stanie Ohio. W USA w Rossford rozpoczynam pracę w zakładach Forda, w 1955 roku kupuję dom i zakładam rodzinę. W 1960 roku, mając już obywatelstwo amerykańskie, odwiedzam rodzinę w Polsce. Następują niezmiernie radosne powitania po tylu latach, najbardziej uradowana jest moja kochana mamusia, że jeszcze mnie zobaczyła przed spodziewaną śmiercią. Niestety, sposób w jaki mnie przywitały władze meldunkowe, odebrał mi na zawsze ochotę do dalszych odwiedzin, pomimo amerykańskiego obywatelstwa omal mnie nie aresztowano.

Swoje wspomnienia opisałem niczego nie wygładzając ani nie wyolbrzymiając, starałem się oddać w nich swoje odczucia, i wiem że to tylko część tego co przeżyłem ja i tysiące takich jak ja tułaczy.

MICHAŁ GRYNBERG

Księga Sprawiedliwych, Warszawa 1993r., s.275

Sprawiedliwi wśród narodów świata – Janina i Karol Krzeszowcowie


Małżonkowie Krzeszowcowie mieszkali przed wojną oraz w czasie okupacji w miejscowości Gwoździec (b. pow. kołomyjski). W masowej masakrze w Gwoźdźcu w grudniu 1941r. zginęło wielu Żydów. Część zginęła na miejscu, a pozostałych hitlerowcy wywieźli w kwietniu 1942r. do getta w Kołomyi.¹

W drugiej połowie 1943r. zgłosili się do Krzeszowców byli ich sąsiedzi, którym w 1942r. udało się zbiec z transportu do Kołomyi. Byli to: małżonkowie Fryda i Mendel Bergmanowie, Dawid Neuberger z żoną, Stela i Załman Preschel oraz Mosze Bergman.

W stajni gospodarze zrobili kryjówkę, w której umieścili siedem osób. Jedyne późną nocą wyprowadzali ich na świeże powietrze. Nie obeszło się też bez podejrzeń sąsiadów, że u Krzeszowców ukrywają się Żydzi. Kryjówka jednak była tak urządzona, że rewizja przeprowadzona w 1944r. nie dała rezultatu. Mimo to Janinę Krzeszowiec wtedy aresztowano. Po paru tygodniach została jednak zwolniona, gdyż nie przyznała się do zarzutów.

Po wojnie Żydzi ukrywani u Krzeszowców opuścili Polskę. Nebergowie osiedlili się w Izraelu, Perschelowie w Argentynie, a pozostali w Stanach Zjednoczonych.

¹ T. Bernstein, *Eksterminacja ludności*, tab. 6, poz. 2.



O samoobronie polskiej przed UPA na Wołyniu napisano kilka książek. O tym, że na Pokuciu w zagłębiu naftowym w Bitkowie działał oddział „Chorażak” 1/49 pp 11 Dywizji Karpackiej Armii Krajowej, który 7 kwietnia 1944 obronił mieszkańców Bitkowa przed napadem UPA, wiedzą nieliczni.

ZBIGNIEW MUCHA „BLADY”

Legnica 11/12.11.1971r.

Bitwa o Bitków

Pod koniec lutego 1944r. stacjonująca nieduża jednostka Wehrmachtu szybko opuściła Bitków. Spenetrowaliśmy zaraz miejsca ich koszarowania (Dom Robotniczy i budynek, w którym mieszkał K. Łoziński), zabraliśmy kilka karabinów ręcznych, ręczny karabin maszynowy, amunicję do nich oraz granatnik z amunicją. Było również trochę granatów ręcznych. Cieszyliśmy się z tej zdobyczy. „Choraży” porozdzielali to odpowiednio na grupy – placówki.

Zewsząd dochodziły nas wieści o okrutnych mordach dokonywanych przez bandy UPA na polskiej ludności. Mordowano bezbronne kobiety i dzieci. Jakże częste były morderstwa w rodzinach mieszanych. Mąż lub syn – Ukrainiec mordował żonę lub matkę – Polkę. W dużej mierze podjudzał i błogosławił te przyczynia (w imię przyszłej „samostijnej”) kler greko-katolicki. Niemcom tym samym ubywało „roboty”.

„Choraży” już wcześniej zespółili pewne „grupki” w jedną całość organizacyjną i przyjął nad wszystkim dowództwo. Do pewnego stopnia byliśmy skoszarowani. Czuwaliśmy pełniąc z bronią nocne dyżury na naszych placówkach: *Olej skalny*, *Baraki 22-23*, *Franco-Polonais*, tzw. *Centrum* – gdzie mieliśmy tymczasowe pomieszczenia dowództwa i byliśmy skoszarowani oraz tzw. *Dół* - obszar od Warsztatów do poczty. Mieliśmy ze sobą łączność telefoniczną. W Bitkowie w tym czasie przebywało 3-4 żołnierzy radzieckich. Marcowa pogoda 1944r. w większości miesiąca była zimowa, Bitków położony w terenie górzystym, białiał od śniegu. „Choraży” często zaskakiwał nas dokładnymi informacjami. (później dowiedzieliśmy się, że miał dobre „wtyki”).

W jeden z marcowych późnych wieczorów nagle zebrał kilku z nas. Zdaliśmy sobie sprawę, że wyruszamy gdzieś na patrol. Znałem bardzo dobrze teren sekcji – *Pasieczna*, gdzie kierownikiem tejże sekcji był p. Szałajko. Mieszkał tam razem ze swoimi teściami. Sam natomiast zamieszkiwał w tym czasie w samym Bitkowie. Zaproponowałem wtedy „Chorażemu”, byśmy „odwiedzili” teściów-staruszków pozostawionych na pastwę band. Wspomniałem już, że znałem ten teren bardzo dobrze. Pracowałem tam przez 2 lata. Wyrzcił zgodę. Noc była ciemna, miejscami brnęliśmy w śniegu po pas. Szliśmy zmieniając się na przodzie robiąc głębokie ślady w śniegu, w które stąpali następni. Dochodziliśmy do domu, gdzie zamieszkiwali teściowie p. Szałajki. W

odległości około 10-15 metrów od domu spostrzegłem na śniegu ciemne kształty, których w żadnym wypadku tam być nie mogło. Byłem tego pewny. Swoje spostrzeżenia natychmiast przekazałem „Chorążemu”, który rozstawił nas, a sam wraz z Edkiem Męcińskim i Tadekiem Walczakiem zbliżali się do domu. Wkrótce usłyszałem głośne wezwanie chorążego „Stój”, a po paru sekundach eksplodujące w pobliskim wąwozie granaty. Tędy uciekali bandyci. Wywiązała się strzelanina. „Chorąży” wraz z Edkiem Męcińskim wpadli do domu, gdzie zastali leżących na podłodze w samej bieliźnie trzęsących się starsuszków. Kazali im szybko ubierać się. Biedni i będący w szoku nie mogli zorientować się „kto jest kto”. W ostatniej chwili zostali uratowani od śmierci. Przed domem leżały wynoszone i porzucone przez bandytów rzeczy (kilimy, pościel, ubrania). To były właśnie te ciemne kształty, które uprzednio spostrzegłem. Wyprowadzając ubranych już starsuszków i zabierając co cenniejszy ich dobytek zarządzono odwrót. Każdy z nas miał coś na sobie, inni na zmianę pomagali iść tym dwojgu. Wróciliśmy wszyscy resztkami sił. Byliśmy strasznie zmęczeni, ale zadowoleni. Udział w tej akcji pod dowództwem „Chorążego” wzięli wspomniani już Edek Męciński, Tadek Walczak, ja – Zbyszek Mucha, braci Golanowscy Tadek-Pikuś i Władek, Kazik Krukar, Tadek Stępień i paru innych (nazwisk już nie pamiętam). Za dwa dni poszedł sam do Pasiecznej Kazik Górski (mieszkał tam wraz z matką, a pracował w Bitkowie w Gazoliniarni) nie wrócił już. Wraz z matką został zamordowany. Pamiętam jak odradzaaliśmy jemu, ażeby nie szedł tam sam.

Wielkanoc 1994r. była świętem wspólnie obchodzonym przez rzymskokatolików i grekokatolików w kwietniu. Ze śniegu już nic nie zostało. Było pogodnie. Czuwaliśmy i przez cały ten okres byliśmy w pogotowiu. Nadchodzący świt Wielkiego Piątku rozpoczął się wystrzeliwaniem rakiet i odgłosami strzałów. Nadchodzące i informujące się telefonicznie nawzajem placówki potwierdzały, że bandy UPA dokonają napadu na ludność polską zamieszkałą w Bitkowie z zamiarem wymordowania jej. Byliśmy w tym czasie czymś w rodzaju bastionu polskości, dookoła dokonano już mordów wcześniej. Bitków był solą w oku. Dlatego też właśnie wybrano ten dzień – Wielki Piątek, ażeby urządzić nam „Krwawy Piątek” (wiadomości te później otrzymał „Chorąży” od „swoich wtyk”). Strzelanina wzmagała się i początkowo trudno było zorientować się w wytworzonej sytuacji. Znajdowałem się w tym czasie w tzw. *Centrum*. Kobiety z dziećmi z zamieszkiwanych w tym obszarze budynków schroniły się w zbudowanym z kamienia kościele. Mężczyźni posiadający jakąkolwiek broń zajęli na tym obszarze pozycje obronne. Znajdując się po przeciwległej stronie zauważyliśmy pelżających banderowców, którzy wdarli się obok baraków 22-23 i byli już w odległości 800-1000 metrów od budynków, gdzie zamieszkiwali kiedyś Łodziński, Łęgowski, Czerny, Rudawski. Serie z ręcznego karabinu maszynowego, który w tym czasie obsługiwał Józef Gąsior i strzały oddawane przez nas z karabinów ręcznych zmusiły ich do odwrotu. Udział w akcji wzięli: Mietek Sitarz, Staszek Zachęty, Winiarz, Gradowski, Sznabel, Staszek Rajchel, Tadek Stępień, Zbyszek Mucha, oraz uciekinierzy z Majdanka i okolicznych wiosek – nazwisk nie pamiętam. Reszty dokonali „chłopcy” z baraków 22-23: bracia Cichońscy, Kozioł, Gąsiorowski, Gołębiowski, Piwowar i inni. Nacierająca od strony Maniawy banda zaczęła pospiesznie wycofywać się zabierając ze sobą rannych i zabitych. Dzielnie trzymali się odpierając napad bandy idącej od strony

wsi Kryczki na *Oleju Skalnym* (nazwa sekcji). Tu padł zabity p. Żytka (mąż Chłapówny). Pochowaliśmy go koło Gazoliniarni. Spokój był na sekcji *Franco-Polonais*, tam bandy nie nacierały (sekcja położona u podnóża góry Dział). Z sekcji *Franco-Polonais* pośpieszyli z pomocą *Olejowi Skalnemu*: Romek Łużny, Hort i inni. Skutecznie przeprowadzone natarcie wywołało popłoch u banderowców i zaczęli oni po prostu uciekać. „Dobre wrażenie” wywołał na nich p. Hort (nie pamiętam imienia), który nie szczędził naboju i granatnika „witając i żegnając” uciekającą bandę. Około godz. 12-14⁰⁰ do Bitkowa przyjechał z Nadwórnej czołg, jeden jedyny, który w tym czasie tam się znajdował. Wyjechał na *Olej Skalny* i tam oddał kilka strzałów w kierunku Maniawy. Przez kogo został powiadomiony o napadzie – nie wiem. Bitkowie obronili się ponosząc straty: 2 zabitych – p. Żytka i jeden żołnierz radziecki, który zabity został koło poczty, ranni – „Choraży”, Edek Męciński, Mietek Piechota. Banderowcy już więcej w Bitkowie „nie zakłócali” nam spokoju.

W miesiącach maj-czerwiec 1944r. Niemcy przy współudziale wojsk węgierskich wyparli bardzo słabe i nieliczne jednostki radzieckie za Dniestr, gdzie do końca lata utrzymywała się linia frontu.

wybitni Kołomyjanie

BOŻENA ANDRZEJACZEK

Zabrze, 1998r.

Adam Kozłowski – działacz emigracyjny

Adam Kozłowski urodził się w Kołomyi 20 grudnia 1920 roku. Był synem Jadwigi z domu Nanke i Stanisława Kozłowskiego, urzędnika pocztowego. Do wybuchu II wojny światowej uczęszczał do Państwowego Gimnazjum im. Kazimierza Jagiellończyka w Kołomyi. Żyjąc w środowisku wielonarodowościowym i wieloreligijnym, wychował się w tradycji współzycia i wzajemnej tolerancji, które bardzo cenił.

Wybuch II wojny przerwał naukę w gimnazjum. Jako ochotnik wziął udział w kampanii wrześniowej. 6 grudnia 1939 roku wraz z ojcem i bratem Feliksem przekroczył granicę do Rumunii, by już nigdy do kraju nie wrócić. Przedostał się do wojska polskiego we Francji, gdzie służył w oddziale rozpoznawczym 2 Dywizji Piechoty. Po upadku Francji ewakuował się do Wielkiej Brytanii. Tam zdał maturę i skończył Szkołę Podchorążych Broni Pancernych, a w 1943 roku – Akademię Wojskową w Sandhurst, uzyskując stopień podporucznika. Wysokie kwalifikacje pozwoliły mu na objęcie stanowiska wykładowcy w Szkole Broni Pancernych. Służąc w 2 Pułku Pancernym 1 Dywizji Pancernych generała Maczka, walczył w północnej Francji, Belgii i Holandii, a następnie powrócił do szkolenia nowych kadr pancerniaków. Za swój czynny udział w działaniach wojennych otrzymał Krzyż Walecznych, Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami i inne odznaczenia polskie i brytyjskie.

Po zakończeniu wojny pozostał w Anglii. Na uniwersytecie w Manchesterze rozpoczął studia chemiczne, które ukończył w Londynie uzyskując tytuł inżyniera chemii. Wraz ze swą żoną Barbarą Mękarską osiadł w Londynie. W pracy zawodowej osiągnął duże sukcesy. Zdobył wiele patentów, a przez wiele lat, aż do emerytury był dyrektorem technicznym dużych firm w przemyśle chemicznym.

Pomimo wielu obowiązków zawodowych aktywnie uczestniczył w życiu emigracji politycznej. Był członkiem zwyczajnym Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego, wiceprzewodniczącym Rady i członkiem zarządu Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie. Reprezentował Instytut J. Piłsudskiego na konferencjach Stałej Sesji Bibliotek, Muzeów i Archiwów Polskich na Zachodzie. Pisał roczne sprawozdania z pracy Instytutu do Rocznika Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie. Pracy tej poświęcił się całkowicie po przejściu na emeryturę. Za swe zasługi w działalności emigracyjnej został odznaczony Orderem Odrodzenia Polski kl. IV i V.

Po przedwczesnej śmierci żony – Barbary, kontynuował redagowanie Komunikatu Instytutu Józefa Piłsudskiego. Przede wszystkim jednak zredagował i opublikował książki żony, poświęcone głównie tematyce lwowskiej:

Lwów twierdza kultury i niepodległości (Londyn 1991), *Posłannictwo kresowe Lwowa* (Instytut Józefa Piłsudskiego, Londyn 1991),

Burza nad Lwowem (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1992), *Mozaika wspomnień* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1994) i *Prowansalskie ścieżki* (Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1995). Jego również staraniem książki te ukazały się w Polsce.

Do końca swego życia był wierny ziemi, którą opuścił w grudniu 1939 roku. Wspomnieniami wracał do Kołomyi i Lwowa, a jednocześnie żywo interesował się zmianami, które zaszły w Polsce po 1989 roku. Zmarł 24 stycznia 1996 roku w Londynie, i tam został pochowany na cmentarzu Gunnesbury.

Literatura:

M. Stachewicz, *Wspomnienia pośmiertne*, Komunikat Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, nr 109-110; nekrolog.

Kołomyjanie 1919 -1939

Krawcy damscy

1. BERDER Moses, Jagiellońska 11
2. BIAŁOSKÓRSKA Katarzyna, Kąpielowa 57
3. BLECHINGER Agrypina, Mnichówka
4. BLECHINGER Natalia, Kraszewskiego 65
5. BLUMER Lea, Piłsudskiego, Legionów 41
6. BOKSENHORN L., Mnichówka 9
7. BORTEN Moses, Sobieskiego 6

8. BRUNWASSER Samuel, Berkowicza 24
9. BUCHALTER G., Nowy Świat 30
10. CIESIELSKA Eugenia, Tarnowskich
11. CZABEK Aniela, Kraszewskiego 6
12. DIENES M., Jabłonowskich 30
13. DOLLINGER L., Szkolna 16
14. DÖRFLER Izak, Górna
15. EISNER M., Legionów
16. ELLENBERG H., Karpacka 8
17. GODT Frieda, Kościuszki 2
18. GODT K., Piłsudskiego 26
19. GRUNWASSER S., Berkowicza
20. HEGER S., Staromiejska
21. KALECHSTEIN Anczel, Berkowicza
22. KESTEN Sima, Starowiejska
23. LIEBER G., Farbiarska 1
24. MALINOWSKA Matylda, Tarnowskich 54
25. MENDELLAUB Feiwel, Zielona 9
26. PALKER Natan, Sobieskiego
27. PELLER Wolf, Wałowa
28. PLUSKER Gerchon, Wałowa
29. „PRACA KOBIET”, Kraszewskiego 10
30. REDNER B., Nowy Świat 3
31. ROSENSTRAUS R., Krasińskiego 2
32. SAMMELER Zudyk, Sobieskiego
33. SCHACHTER, Nowa
34. SCHÄRER Piotr, Kraszewskiego 6
35. SCHATZBERG Jakub, Mnichówka 6
36. SCHMAUS Abraham, Legionów
37. SEMLER Z., Sobieskiego
38. SPANN D., Piłsudskiego
39. SPINDEL Moses, Kościuszki
40. STACHOWA Helena, Szczepanowskiego
41. STEINBOCK Feiwel, Sobieskiego
42. STENDER A., Rynek 72
43. STENZLER Anna, Piłsudskiego
44. SZIM Maria, Hetmańska
45. SZUM M., Kościuszki
46. TURZAŃSKI Dmytro, Nowickiego
47. WACHTEL After, Dzieduszyckich
48. WIERZBICKA Adela, Mickiewicza 2
49. WOLFARTH Emilia, Rynek
50. ZEICHNER Fani, Sobieskiego 9

Literatura:

1. Skorowidz przemysłowo-handlowy Rzeczypospolitej Polskiej, t. I Przemysł, Warszawa 1926
2. Księga adresowa Polski 1926, 1929, Warszawa
3. „Kołomyjanin” kalendarz i szematyzm Pokucia, Kołomyja 1925
4. Informator polskiego handlu, przemysłu i rękodzieła 1937, 1939

żołnierze

Informacje przekazali: Zbigniew Mucha z Legnicy (który udostępnił wspomnienia Stanisława Kosiby) i Ks. Stanisław Turkowski z Wrocławia.

Armia Podziemna

65. **CICHOŃSCY** – bracia, żołnierze oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
66. **Teresa FIRICH-ŻMUDZIŃSKA** – sanitariuszka i łączniczka oddziału *Chorążak* w Bitkowie (S.K.)
67. **GAŚIOROWSKI** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
68. **GOŁĘBIEWSKI** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
69. **Tadeusz GOLANOWSKI**– żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
70. **Władysław GOLANOWSKI** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
71. **GRADOWSKI**– żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
72. **HORT** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
73. **Mieczysław KOSIBA** „Edward” – zob. s.
74. chor. **Stanisław KOSIBA** „Choraży” (11.10.1922-10.11.1994) – ur. w Bitkowie; w 1939 jako uczeń gimnazjum w Nadwórnej był dcą drużyny w II Huculskim Baonie ON, następnie brał udział w przerzucie Polaków przez granicę na Węgry; w 1942 wstąpił do ZWZ-AK okręgu Stanisławów, organizując oddział *Chorążak* 1/49 pp w składzie 11 Dywizji Karpackiej AK, oddział stoczył walki z Niemcami i UPA; w lutym 1945 aresztowany przez NKWD, skazany na 10 lat łagrów, do Polski wrócił w 1955, osiedlił się na Śląsku, zmarł w Katowicach.(W. Żelisko, *Historia Nadwórnian listami pisana*, Opole 1995)
75. **KOZIOŁ** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
76. **Kazimierz KRUKAR** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
77. **Roman ŁUŻNY** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
78. **Edward MĘCIŃSKI** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
79. **Zdzisław NOWAK** „Długi” – zob. s.
80. **Wanda MUCHA** – łączniczka oddziału *Chorążak* w Bitkowie (Z.M.)
81. kpr. **Zbigniew MUCHA** „Błady” (11.11.1925) – ur. w Bitkowie, uczeń gimnazjum w Nadwórnej; do konspiracji wstąpił w 1939, uczestniczył w przerzucie Polaków przez granicę na Węgry; od stycznia 1943 szef dywersji

- oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie; 20.01.1945 aresztowany przez NKWD, skazany na 7 lat łagrów, do Polski wrócił w 1955, osiedlił się w Legnicy. (Z.M.)
82. **Mieczysław PIECHOTA** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
83. **PIWOWAR** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
84. **Stanisław RAJCHEL** - żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
85. **ks. Kazimierz ROSZKO** – proboszcz parafii ormiańsko-katolickiej w Horodence, kapelan AK (S.T.)
86. **Mieczysław SITARZ** — żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
87. **Tadeusz STĘPIEŃ** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
88. **SZNABEL** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)
89. **Tadeusz WALCZAK** „Róg”– żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M.)
90. **WINIARZ** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie (Z.M)
91. **Stanisław ZACHTEJ** – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie. (Z.M)

Polskie Siły Zbrojne na Zachodzie

39. **Zbigniew DEYCAKOWSKI** – kapitan ż. w. (zob. s 42)
40. **Zygmunt DEYCAKOWSKI** – kapitan ż.w. (zob. s.42)
41. **por. Adam KOZŁOWSKI** – zob. s.33

lista represjonowanych

Informacje przekazali: Adam Król z Leeds, Zbigniew Mucha z Legnicy i Ks. Stanisław Turkowski z Wrocławia.

Represjonowani przez III Rzeszę

100. **Janina KRZESZOWIEC** – zob. s.
101. **Mieczysław KOSIBA** „Edward” – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie, aresztowany w czerwcu 1944 i zamordowany w więzieniu (S.K.)
102. **Zdzisław NOWAK** „Długi” – żołnierz oddziału AK *Chorążak* w Bitkowie, aresztowany w czerwcu 1944 i zamordowany w więzieniu (S.K.)

Represjonowani przez Związek Sowiecki

134. **Kazimierz BŁOŃSKI** – sędzia w Kołomyi, wywieziony w głąb Rosji zginął w 1942r.(J Błoński, *Pamiętnik 1891-1939*, Kraków 1981)
- 135-137(?) **ILNICCY** – rodzina z Kołomyi wywieziona do Czalabaja w Kazachstanie, losy nieznane (A.K.)
138. **Wacław MUCHA** – mieszkaniec Bitkowa; aresztowany 17.09.1940 i oskarżony o organizowanie przerzutu Polaków za granicę, skazany na 8 lat,

więziony w Stanisławowie; w czerwcu 1941 uwolniony w wyniku rozbicia więzienia przez ludność cywilną (Z.M.)

139-141(?) **LENKOWIE** - rodzina z Kołomyi wywieziona do Czałabaja w Kazachstanie, losy nieznane (A.K.)

142-144(?) **MASZTALERZOWIE** - rodzina z Kołomyi wywieziona do Czałabaja w Kazachstanie, losy nieznane (A.K.)

145-147(?) **MODLINGEROWIE** - rodzina z Kołomyi wywieziona do Czałabaja w Kazachstanie, losy nieznane (A.K.)

148-150(?) **WIELGOSZOWIE** - rodzina z Kołomyi wywieziona do Czałabaja w Kazachstanie, losy nieznane (A.K.)

Zamordowani przez nacjonalistów ukraińskich

216. **Kazimierz GÓRSKI** – pracownik kopalni w Bitkowie, mieszkaniec Pasiecznej, zamordowany wiosną 1944 w Pasiecznej.(Z.M.)

217. **GÓRSKA** – matka Kazimierza, mieszkanka Pasiecznej, zamordowana wiosną 1944 w Pasiecznej.(Z.M.)

218. **GRADOWSKI** –mieszkaniec Bitkowa, zamordowany w 1944 (Z.M.)

219. **Józef KRASOWSKI** – kościelny kościoła w Potoczyskach (dekanat Horodenka), zamordowany w 1943. (Ks.bp W. Urban, *Droga Krzyżowa Archidiecezji Lwowskiej w latach II wojny światowej 1939-1945*, Wrocław 1983; S.T.).

220. **Zbigniew KRASOWSKI** – syn Józefa, kościelnego, zamordowany w 1943 w Potoczyskach (jw.)

221. **KRASOWSKI**, syn Józefa, kościelnego, zamordowany w grudniu 1943 w Potoczyskach (*Na Rubieży* nr 29/1998 s.14)

222. **Zofia KRASOWSKA**, córka Józefa, kościelnego, zamordowana w grudniu 1943 w Potoczyskach (*Na Rubieży* nr 29/1998 s.14)

223-227. **5 NN.** mieszkańców Potoczysk, zamordowanych podczas napadu w 1943. (jw.)

228. **WINIARZ** – mieszkaniec Bitkowa, zamordowany w 1944 (Z.M.)

229. **Kajetan WARTANOWICZ** – Ormianin, wybitny działacz społeczny w Jasienowie Polnym (pow. Horodenka), zamordowany 24.02.1945. (*Na Rubieży* nr 29/1998.)

230-235. **6 NN.** mieszkańców Jasienowa Polnego, zamordowanych 24. 02.1945. (jw.)

236. **Julian ŻYŁKA** (25.07.1916-14.04.1944) – zginął podczas obrony Bitkowa (Z.M.; *Na Rubieży* nr 33/34/1999 s. 43)

Pokucie

ZBIGNIEW ABRAM

Radwanice, 1999r.

Obertyn – obertyniacy

Na ziemi rodzinnej przeżyłem jedynie dziewięć lat – a tęsknię za nią ponad pół wieku. Jest to dziwna tęsknota, trudna do zrozumienia i bardzo trudna do zaspokojenia. Tam się tylko urodziłem, niewiele przeżyłem, ale wszystko to co przeżyłem jest do dziś czymś bardzo ważnym i niepowtarzalnym.

Różne źródła historyczne wspominają o miejscowości OBERTYN już w XVI wieku (powstać musiał na pewno dużo wcześniej). Zwycięstwo hetmana Jana Tarnowskiego nad hordami hospodara mołdawskiego 22 sierpnia 1531 roku – na zawsze umieściło miasto w historii. Zdarzenie to upamiętniał pomnik dziękczynny z tablicą pamiątkową, postawiony na miejscu tej wojny w latach trzydziestych przez Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” z Kołomyi. W czasie drugiej wojny światowej uległ on całkowitemu zniszczeniu. Przypadek sprawił, że niedawno jedna z nauczycielek obertyńskich, natknęła się w sąsiedniej wsi Żuków, w jednej z zagród, na tablicę pochodzącą ze zniszczonego pomnika. Tablica – żeliwny porządny odlew – spełniała rolę wycieraczki do obuwia przed wejściem do domu tutejszego chłopca. Tablicę tę odebrała i przechowuje do dziś u siebie w domu. Fakt ten udokumentowała pani Grażyna Orłowska, redaktor Ośrodka Regionalnego Telewizji Polskiej we Wrocławiu, gdy we wrześniu 1999 roku przyjechała z ekipą TVP do Obertyna i Kołomyi z pomocą humanitarną. Na tablicy zachował się napis:

***Poległym tu Rycerzom Polskim
w czterechsetną rocznicę zwycięstwa
„Sokolstwo Polskie”
22/8.1931***



Mapa Sztabowa Galicji, Wiedeń 1914, skala 1:75 000

Obertyn to małe miasteczko leżące na krzyżujących się drogach: Tłumacz – Gwoździec i Kołomyja – Horodenka. W miejscu przecinających się, powyższych dróg, był sam środek obertyńskiego rynku. Do każdego z najbliższych wymienionych miast było, średnio biorąc, 20 km. Jedynie do stacji kolejowej 15 km.

Jak wszędzie na Kresach mieszkali tu Polacy, Żydzi i Ukraińcy. Każdy z tych narodów czuł się tu normalnie, na swoim i u siebie. Była tu cerkiew greko-katolicka, bożnica żydowska i kościół rzymsko-katolicki. Kościół nasz pochodził z XVIII wieku. II wojnę przetrwał bardzo szczęśliwie, był minimalnie uszkodzony. Rozebrali go po wojnie Ukraińcy. Po wyjeździe większości Polaków i księdza z Obertyna, kościołem opiekowała się do końca p. Pawczukowa. Obecnie mieszka z córką w Sobocisku. Ona dokładnie ten rozdział historii obertyńskiego kościoła przedstawi jako osobny rozdział. Ołtarz i wyposażenie kościoła przeniesiono do

cerkwi na przechowanie. Naczynia liturgiczne zabrał ks. Fiołkowski opuszczając Obertyn, i przekazał je do kościoła w Sobocisku – Obertyniakom. Obecnie powstał taki zamysł, ażeby przekazać te naczynia liturgiczne z powrotem do Obertyna —do nowo wybudowanej kaplicy.



Obertyn, kościół rzymsko-katolicki pw. Św.Św. Piotra i Pawła

Długoletnim proboszczem w Obertynie był ks. Michał Jurkow a następnie ks. Fiołkowski, organistą p. Gawliński (wszyscy nazywali go Kubcio Gawliński). Kościelnych pamiętam dwóch p. Rzęśniewieckiego i p. Sułkowskiego. Były też siostry zakonne, które prowadziły ochronkę. Urząd Gminy – obejmował swoim zasięgiem następujące wsie: Żuków, Jakubowska, Hańczarów, Bałahorówka,

Czortowiec, Bursówka. Było jeszcze trochę różnych przysiółków – nazw nie pamiętam. Wójtem początkowo był pan Zabolski, a po jego śmierci urząd objął emerytowany oficer pan Kozłowski. Z policjantów zapamiętano Dolińskiego, Budzianowskiego i Nahybę. Sędzią sądu był p. Abderman. Poczta obejmowała terytorialnie gminę. Naczelnikiem poczty był p. Kuriański a pracownikami i listonoszami byli: Stanisław Pałaszewski, Ludwik Witwicki, Wł. Krytowicz i Mazurkiewicz. Szkołą zbiorczą kierował p. Rzęśniewiecki, nauczyciele to jego żona z córką oraz p. Pielichowa, p. Łuczyńska i inni. Miejską Strażą Pożarną dowodził p. Adolf Komisaruk a jej dużą orkiestrą kierował wspomniany już Kubcio Gawliński – organista. Zdrowiem obertyniaków zajmowali się lekarze p. Wilbach i p. Bretler. Dentystą był p. Zorger. Była tu też apteka. Rzemieślników było dużo. Oto niektórzy z nich: krawcy – Mieczysław i Józef Hołyńscy, Wiktor Mazurkiewicz, Piotr Traczuk, Marian Kowtun i inni, kowale – Jan Mazurkiewicz, Antoni Sztandryk, J. Kocur, L. Komisaruk, rzeźnicy - p. Józef Kilar, p. Gawliński, Baściak, Dubel, Fasztryga, cieśle – Józef Sikorski, Baraniecki, kołodzieje – Kazimierz Kruk, Zajączkowski. Byli także bednarze, powroźnicy, garncarze, ale nazwisk ich nie ustaliłem. W Obertynie były dwa młyny, parę sklepów oraz dwie restauracje. Dużo osób z Obertyna wyjeżdżało na tzw. „Sezony” do Worochty, Jaremca i Nadwórnej, w letniskach pracowali i zarabiali.

Ja mieszkalem na ulicy Czortowieckiej. Naszymi sąsiadami byli w większości Polacy – Nocuń, Jabczyński Kazimierz (jego siostra Stefania po wojnie w Sobocisku była kierownikiem szkoły około 30 lat), Sułkowski, Pałaszewski, Rubaszewski, Hołyńscy, Pielichowie, Komisarukowie, St. Bogucki i wielu innych. To była piękna ulica, to była moja ulica. Tysiące razy wracałem tu myślami i wracam mimo upływu tylu lat. Tu uczyłem się chodzić, biegać i jeździć na łyżwach. Tu miałem kolegów i miejsca zabaw.

Spokój tej ulicy i miasta zakłóciła wojna. Weszli Sowieci, wywożono ludzi na Sybir. Weszli Niemcy – wywożono ludzi na roboty. Ubywało ludzi z miasta dużo, wielu już nigdy nie wróciło a część odnajdowała się dopiero po wielu latach. Dla przykładu podam, że komendant straży pożarnej p. Komisaruk Adolf wywieziony na Sybir w 1939 roku wrócił dopiero w latach pięćdziesiątych. Jego syn Antoni wywieziony na przymusowe roboty – odnalazł się też bardzo późno. Pan Michał Kobylański zabrany przez sowiecką partyzantkę w czasie okupacji niemieckiej – odnalazł się po wojnie. Wrócił jako pułkownik WP. Przykłady można by mnożyć.

Czas okupacji niemieckiej obertyniaci zapamiętali jako czas wielkiego głodu i morderstw popełnianych przez Ukraińców. Na oczach dzieci i dorosłych, rozstrzeliwano Żydów publicznie na okopisku. W całej okolicy nocami napadano na wsie i mordowano rodziny polskie. W samym mieście do rzezi nie doszło. Ludności zaczęła dokuczać głód. To było straszne. Całymi dniami stałem z bratem pod mleczarnią wśród dziesiątek ludzi oczekujących na mleko odtłuszczone, bądź maślanekę. Całodzienne pożywienie to mąka rozbeltana z tym mlekiem lub kartofle z tą maślaną. Chleba na oczy nikt nie widział, nie mówiąc już o jakimkolwiek tłuszczu. To było coś straszego. Trudno dziś sobie coś takiego wyobrazić – czy opisać.

Po Wielkanocy 1944 roku, któregoś dnia po południu, usłyszeliśmy kilka strzałów armatnich. Krótco po tym od strony Horodenki wjechało parę czołgów sowieckich. Chwilę zatrzymały się i odjechały a zaczęły wjeżdżać samochody. Do

wieczora było już pełno wojska. Po kilku kolejnych dniach, w obawie przed bombardowaniami, ludność zaczęła opuszczać swoje domy i uciekać w pola lub do okolicznych wsi. Front zatrzymał się tuż za miastem. Było bardzo niebezpiecznie. Mama zabrała mnie i dwóch młodszych braci do pobliskiej wsi Jakubówka. Tam mieliśmy przeczekać aż się front oddali. Niestety po paru dniach trzeba było dalej uciekać. Dla obertyniaków wyznaczono wieś Zadubrowce koło Śniatyna. Cała moja rodzina udała się tam a mnie zabrała do Kołomyi ciotka. Piechotą szliśmy cały dzień. Po drodze po raz pierwszy w życiu zobaczyłem tory kolejowe i pociąg a wieczorem – piętrowe domy i oświetlenie elektryczne. Mieliśmy tu dużą rodzinę. W Kołomyi mieszkali kuzyni i ciotki mamy – Jasińscy, ciotki i kuzyni ojca – Szuszkiewiczowie i Mossurowie. Zamieszkałem u Jasińskich przy ul. Kolejowej 40. Kołomyja była wówczas przyfrontowym miastem. Duży ruch, pełno wojska, każdej nocy bombardowania i artyleryjskie ostrzały. Spaliśmy w piwnicach. W czasie dnia panował spokój. Inni ewakuowani do Zadubrowiec – opowiadała mi mama – zakwaterowani byli po wiejskich domach u Ukraińców. Wszyscy mężczyźni z tej wsi ukrywali się. Kobiety wynosiły im jedzenie w pole. Jedynie mocami przychodzili do domów. Byli to z pewnością banderowcy. Wszyscy ewakuowani Polacy musieli bardzo uważać i niczym nie interesować się, nic nie widzieć ani wiedzieć.

Ludność Obertyna doczekała się w końcu możliwości powrotu do domów. Front oddalił się daleko. Zdecydowana większość wróciła, ale byli tacy jak moja rodzina – nie mieli do czego wracać. Ojciec na wojnie, wszystko spalone, brak jakiegokolwiek nadziei na możliwość przeżycia. Mama postanowiła szukać pomocy u rodziny w Kołomyi. Było bardzo ciężko, ale przeżyliśmy. Kiedy tylko wyłoniła się możliwość zbiorowego wyjazdu do Polski natychmiast zgodziliśmy się na wyjazd całą rodziną razem z Jasińskimi. Ładowaliśmy się na kołomyjskim rynku. Tam podstawiono towarowe wagony. Był to pierwszy transport wywożący Polaków. Kierownikiem tego transportu z ramienia tzw. PUR-u był kuzyn ojca, Jan Mossur. Jemu zawdzięczamy to, że po przyjeździe na miejsce – szybko zorganizował nam jedną izbę w prywatnym domu. Nie mieszkaliśmy w szkole, jak inni, ani godziny. Pamiętam, że był bardzo mroźny i śnieżny poranek kiedy obudziliśmy się. Staliśmy wagonem na boczniczy stacji kolejowej o nazwie Krasnystaw. Jeżeli dobrze pamiętam to były pierwsze dni stycznia 1945 roku. Miał to być koniec naszej tułaczki a stał się początkiem gehenny jaką przeżywaliśmy jako zabużanie. Pogarda i zniewagi towarzyszyły nam na każdym kroku. Zrozumiałem na całe życie – jak ciężko jest żyć wśród obcych. Rodzice chyba podobnie czuli się tutaj, bo ojciec, po zakończeniu wojny i dołączeniu do nas, bardzo intensywnie zaczął szukać miejscowości, gdzie osiedlają ludzi z Obertyna. Znalazł prawie wszystkich swoich kolegów i sąsiadów. Osiedlano ich we wsi Sobocisko koło Oławy. Cała wieś, z małymi wyjątkami, to obertyniacy. Osiedliliśmy się wśród nich. Większość utrzymywała się z rolnictwa. Bardzo ciężko pracowały całe rodziny. Trwały niekończące się dyskusje, wspomnienia. Wszyscy byli przekonani, że powrócą na swoje, traktując tutaj swój pobyt tymczasowo. Niestety zestarzelili się, doczekali się już tu urodzonych wnuków i prawnuków, dla których Obertyn, to tylko miejsce, w którym kiedyś mieszkali ich dziadkowie.

W sierpniu 1945 do Sobocisk przywieziono transportem 45 rodzin obertyńskich. Dziś przy życiu pozostała jedna rodzina – Józefa Twardowskiego. Pozostali (wymieniam głowy rodzin) spoczywają na cmentarzu w Sobocisku:

Abram Bolesław z żoną
Baraniecki Michał z żoną
Błaszczuk Władysław z całą rodziną
Chrustowski Antoni z żoną
Doliński z żoną
Haczkowski Józef
Haczkowski Karol z żoną
Hajdasz Józef z żoną
Harężga Michał
Harężga Piotr z żoną
Ignatowicz Franciszek s. Stanisława
Ignatowicz Franciszek z żoną
Ignatowicz Marcel z żoną
Ignatowicz Stanisław z żoną
Jaśnikowski Piotr
Kocur Józef
Komisaruk Eugeniusz
Komisaruk Kazimierz
Komisaruk Ludwik z żoną
Kruk Józef
Ostropolski (ojciec Antoniego) z żoną
Ostropolski (ojciec Karoliny) wymarła cała rodzina
Palczyński Antoni z żoną
Pawłuk Anna
Pawłuk Dominika
Sikorski Józef z żoną
Skowron Karol
Skwarek Jan i jego teść Jaśnikowski Stanisław
Skwarek Józef z żoną
Sokołowski Bazyli
Szpilarewicz Józef
Szymanowski Antoni
Szymanowski Jan
Szymanowski Michał
Szymanowski Stanisław z żoną
Tarnawski Jan z żoną
Tarnawski Józef z żoną
Tarnawski Ludwik
Wolański Władysław z żoną
Zalewski Marcin z żoną
Zalewski Antoni
Zalewski Józef
Zwierzyński Michał

wybitni Pokucianie

MARIA ROTTER-SZCZEPANOWSKA
WOJCIECH M. WACHNIEWSKI

Ottynijscy marynarze

**Wolności słońce pięści lazur
Łódź nasza płynie w światła dal
z okrętu dumnie polska flaga
uśmiecha się do złotych fal.
I póki kropla jest w Bałtyku
polskim morzem będziesz Ty
bo w Twe wody szmaragdowe
płynęła krew i nasze łzy.**

(Hymn do Bałtyku)

Dumny ten „uśmiech polskiej flagi” potrafili zobaczyć z dalekiej zagubionej na Kresach Ottynii trzej młodzi zapaleńcy, wzięc go sobie do serca i za nim – niczym „Trzej Królowie za gwiazdą” – pójść, by Fladze tej oddać wszystkie swoje siły, młodość, marzenia, a nawet życie.

O Ich wspaniałej służbie pod polską banderą opowiadają wspólnie z autorami marynistycznych kronik i wspomnień – pani Maria Rotter-Szczepanowska, długoletnia mieszkanka Ottynii, i Wojciech M. Wachniewski, hobbista morski ze Słupska.

Bracia Deyczakowscy

Od początku XX wieku, a może nawet i wcześniej – jeden z mieszkańców Ottynii nazywał się Deyczakowski i pracował, jako inżynier drogowy. Miał dwóch synów – Zbigniewa i Zygmunta. Zygmunt był młodszym z braci, urodził się 30. maja 1905 roku w Ottynii. Obaj zapragnęli zostać marynarzami i tak się też stało.

O nich obydwóch wspomina kapitan Karol Olgierd Borchardt w swoich książkach „Znaczy-Kapitan” i „Krażownik spod Somosierry”. W pierwszej z nich czytamy na temat starszego z dwóch braci, Zbigniewa:

Zbigniew Deyczakowski, zwany „Długim”, był jednym z pierwszych absolwentów Szkoły Morskiej w Tczewie i zdążył jeszcze odbyć kilka podróży na dużych żaglowcach francuskich. Żaglowiec zatonął na Biskaju, a „Długi” przeszedł na

*„Lwów” jako oficer, przynosząc ze sobą opowieści o zwyczajach sous les voiles de long-couriers.**

W 1926 roku Zbigniew Deyczakowski, będąc wówczas trzecim oficerem „Lwowa”, uczestniczył w wycieczce, zorganizowanej ze statku na jedną z Wysp Aalandzkich (w załączeniu fotografia, wykonana w czasie owej wycieczki ze „Lwowa”, reprodukcja z książki K.O.Borchardta „Krażownik spod Somosierry”). Starszy Deyczakowski jest także jednym z bohaterów „Niedokończonego reportażu”, jednego z rozdziałów „Krażownik spod Somosierry”, w którym załoga pewnego polskiego statku prezentuje „młodemu dziennikarzowi z interioru”, jak jego zdaniem wygląda życie na statkach.

Podczas wojny Zbigniew Deyczakowski, jako najwybitniejszy wtedy spośród wszystkich kapitanów „Polskarobu”, został kapitanem masowca „Zagłoba”.

Jerzy Pertek – jeden z czterech „dziejopisów” Polskiej Marynarki Handlowej – tak opisał ten statek w swej „Drugiej Małej Flocie”:

S/s „Zagłoba” był najnowszym i największym ze wszystkich „Roburów”, co jednak nie znaczy, że był to duży statek. Przy pojemności niespełna trzy, a nośności nieco ponad cztery tysiące ton, należał w naszej flocie do jednostek średniej wielkości. Miał ładną sylwetkę, a jako najcenniejszy ze statków „Polskarobu” został flagowcem tego armatora /.../ Pod dowództwem energicznego kapitana, a przy tym doskonałego nawigatora, oraz dobrymi oficerami i załogą, która bez większych zmian pozostawała na statku przez cały czas jego istnienia – „Zagłoba” mógł być słusznie uznawany za jeden z lepszych statków polskiej floty. Jego największą wadą niejako już przyrodzoną, za którą nie ponosił najmniejszej odpowiedzialności, było to, że jako statek zbudowany do przewozu węgla na morzach europejskich, głównie Bałtyku i Morzu Północnym, nie bardzo nadawał się do żeglugi międzykontynentalnej, i to w dodatku na obfitującej w ciężkie sztormy trasie północnoatlantyckiej.

A właśnie na tę trasę statek został skierowany w drugiej połowie 1940 roku. Odtąd niemal bez ustanku przemierzał Atlantyk pomiędzy Wielką Brytanią a Ameryką.

Na stronie 333 „Drugiej Małej Floty” czytamy:

W przedostatnim przejściu „Zagłoby” za ocean i z powrotem wziął udział Antoni Kołodziej i jego wspomnienia z tych dwóch rejsów mogą nam częściowo zastąpić relację z ostatnich podróży, a zwłaszcza z fatalnego rejsu powrotnego, który z nie znanych przyczyn został niedokończony.

Wśród ciepłych słów, poświęconych Załodze statku, znalazły się i takie, dotyczące kapitana:

Całości przewodził i nadawał ton kapitan Deyczakowski. Zawsze wnikliwy i życzliwy wobec problemów i konfliktów przeżywanych przez załogę i przez poszczególnych jej członków. Doskonały fachowiec, doskonały nawigator, trzeźwo oceniający życie i otaczającą rzeczywistość. Że taka atmosfera zaistniała wśród załogi, nie obyło się to bez osobistego wpływu kapitana. Stosunkiem do wszystkich spraw statku potrafił sobie zjednać ludzi, a ci z kolei w zdecydowanej

* Pod żaglami dalekobieżnych oceanicznych okrętów.

większości odpłacali mu się bezgranicznym zaufaniem i szacunkiem, co również udzieliło się małej grupie Brytyjczyków zatrudnionych na „Zagłobie”.

W końcu stycznia 1943 roku (po naprawie uszkodzeń, spowodowanych niezwykle silnym sztormem) statek wyszedł w rejs z kolejnym konwojem. W „Drugiej Małej Flocie” czytamy o tym nieco dalej (str. 335):

Niestety i tym razem, konwój znalazł się niebawem w orbicie nadzwyczaj silnego sztormu, jeszcze gorszego niż poprzedni. Był to już właściwie huragan o sile nie notowanej podobno od lat. W dniu 9. lutego, gdy statki znalazły się już po tej stronie Atlantyku, z komandorskiego statku widziano jeszcze „Zagłobę”, jak ze znacznym przechyłem na lewą burzę podążał za konwojem. Ale następnego dnia nikt już polskiego statku nie ujrzał.

Według Admiralicji Brytyjskiej – można przypuszczać, że statek zatonął wskutek akcji nieprzyjacielskiej.

Zmarły w styczniu 1995 roku Jerzy Miciński – inny ze wspomnianej czwórki „dziejopisów” PMH i długoletni redaktor naczelny zasłużonego miesięcznika „Morze” – ustalił pewne fakty na temat prawdopodobnego losu tego masowca. Najprawdopodobniej statek został storpedowany na Atlantyku w dniu 6. lutego 1943 roku przez niemiecki okręt podwodny U-262. (red.: wg Zbigniewa Plezi *tóż niemiecka U-262 została zatopiona w Gdyni przez lotnictwo angielskie*)

W dniu 21. września 1945 roku przybył do portu w Gdyni s/s „Kraków” – pierwszy polski statek handlowy, powracający z długiej służby zwycięstwu na morzu. Na nabrzeżu oczekiwały tłumy, jakich to miasto jeszcze po wojnie nie oglądało. Na stronie 413 „Drugiej Małej Floty” czytamy:

Przemawiający w imieniu Rządu dyrektor Departamentu Morskiego Wojnar, powiedział m.in.:

Stajecie dzisiaj przed nami dumni, żeście z tą banderą jako świętością narodową wrócili do kraju. Zapisaliście przez tych kilka lat na wygnaniu najpiękniejszą kartę w dziejach naszej floty handlowej i wojennej. Historycy i cały naród oceni należycie Wasze bohaterstwo i Wasze zasługi dla kraju i dla sprawy ludzkości, których symbolem jest Śp. Kapitan Deyczakowski, który z całą załogą zginął na posterunku w nurtach oceanu.

Młodszy Deyczakowski – czyli Zygmunt – *zrobił akurat pół dyplomu akademii górniczej i pociągnięty opowiadaniem brata trafił na „Lwów”. Pierwszy trening pod żaglami odbywał na kupionej przez brata żaglówe, na Zatoce Gdańskiej, jeszcze przed wstąpieniem do Szkoły. /.../ Skończył Szkołę Morską ze złotym zegarkiem i po paru latach trafił na jeden z Klejnotów, jako asystent.*

K.O.Borchardt, „Znaczy-Kapitan”, rozdz. „Klejnoty i Pretorianie”.

Kapitan tego statku, Duńczyk, nie podejrzewał, że ma pod swymi rozkazami samego niemal Azję Tuhaj-bejowicza. Przekonał się o tym dopiero, gdy polecił Dejowi sprzątnąć serwis do kawy, przyniesiony na mostek przez stewarda: asystent, wdrożony do słuchania rozkazów, aliści nie chcąc ni joty uronić z godności Dejów, wyrzucił ów serwis za burzę!

Drugim i najmniejszym z trzech tzw. „Klejnotów” PTTG/GALu – był s/s „Pułaski”. Nazwa „Klejnoty” nawiązywała do sposobu pozyskiwania tych statków przez ich duńskiego armatora – The East Asiatic Company (która zakupiła je za pieniądze, uzyskane ze sprzedaży klejnotów księżniczki Dagmary; zob. bliżej o

tym – rozdział "Klejnoty" i Pretorianie w książce K.O.Borchardta „Znaczy-Kapitan”).

Na stronie 70 i następujących „Drugiej Małej Floty” Jerzy Pertek opisuje przygody s/s „Poznań” w początkach września 1939 roku, oczekującego w szwedzkim porcie Lulea na ładunek rudy żelaznej, przeznaczonej dla Polski. Zygmunt Deyczakowski był wówczas kapitanem tego statku. Około siódmego września – na żądanie Niemców – masowiec opuścił port pod eskortą szwedzkiego okrętu wojennego i popłynął do innego portu szwedzkiego, Gävle, niedaleko Sztokholmu.

Jan Starzycki, podówczas jeden z oficerów „Poznania” – opowiada:
Postój w Gävle zaczął się jednak przedłużać. Kapitan nasz Zygmunt Deyczakowski, stanął przed trudnym zadaniem. Chodziło nie tylko o to, aby nie pozwolić na unieruchomienie statku, lecz i o utrzymanie w gotowości oficerów i marynarzy, którzy rwali się do czynnej walki z wrogiem. Dzięki świetnej postawie kapitana z pokładu s/s „Poznań” nie zszedł ani jeden oficer.

Kapitan kilkakrotnie odwiedzał naszego przedstawiciela w Sztokholmie, usiłując uzyskać zapewnienie, że statek ponownie dostanie eskortę szwedzką i odpłynie do Goeteborga. Szwedzi jednak, obawiając się Niemców odmówili eskortowania statku. Powróćmy do „Drugiej Małej Floty” na stronę 72:

Kapitan Deyczakowski stanął przed poważnym zadaniem. Tylko polska załoga może o własnych siłach wyostać statek z Bałtyku. Było to bodajże 23. października – Fortuna uśmiechnęła się. W parę dni później znaleźliśmy się w Goeteborgu. Tam zastaliśmy sporo polskich statków. Jak się okazało – s/s „Poznań” był ostatnią jednostką PMH, jaka wymknęła się z Bałtyku.

Na stronie 73 „Drugiej Małej Floty” czytamy:
Za pomyślne wykonanie zadań planu ewakuacyjnego PMH i wyprowadzenie z portów bałtyckich pozostawionych tam statków, zarządy towarzystw armatorskich przedstawiły Ministerstwu Przemysłu o Handlu w Londynie wnioski o odznaczenie Krzyżami Zasługi z Mieczami ludzi, którzy szczególnie wyróżnili się podczas tej akcji.

Z „Poznania” odznaczeni zostali - kapitan Deyczakowski, starszy oficer Jan Starzycki oraz pięciu dalszych oficerów i marynarzy.

Z kolei kapitan Zygmunt Deyczakowski otrzymał dowództwo „Chrobrego”. Ten statek, zwodowany w pierwszej połowie 1939 roku w Naskov (jako ostatni nowy transatlantyk dla polskiej bandery!) został po wybuchu wojny przebudowany na transportowiec wojskowy, i przewoził żołnierzy z Kanady do Anglii. Rejsy przebiegały pomyślnie, mimo sztormowej pogody i silnych mrozów. 7. lutego 1940 roku kapitan Deyczakowski dostał od brytyjskiego kmdra Rawlingsa depezę uznania za biegłość w prowadzeniu statku i manewrowaniu nim.

Kiedy w kwietniu 1940 roku rozpoczęła się kampania norweska ms „Chrobry”, jako transportowiec wojska, wziął w niej udział.

7. maja 1940 statek wyszedł ze Szkocji w swój drugi „norweski” rejs. 11. maja wszedł do portu w Harstad w północnej Norwegii i wyokrętował swoich umundurowanych pasażerów. Tymczasem dalej na południu, pod miastem Bodoe, toczyły się zażarte walki. Dowództwo alianckie postanowiło przerzucić tam posiłki z Harstad, wykorzystując do tego zadania stojącego w porcie „Chrobrego”. Owe posiłki – byli to żołnierze Gwardii Irlandzkiej, a także m.in.

czołgi i miny przeciwczołgowe, których 50 ton załadowano do trzeciej ładowni statku.

W nocy z 14. na 15. maja 1940 roku seria bomb burzących i zapalających zrzucona przez niemieckich lotników, trafiła w sam środek statku. „Chrobry” natychmiast zaczął płonąć. Nie było żadnych szans na jego uratowanie. Starszy oficer „Chrobrego”, kpt. ż. w. K.O. Borchardt, który opisał ostatni rejs statku w swoim „Krażowniku spod Somosierry” (patrz tamże, rozdział „Pikrat!... Pikrat!...”) stwierdził, że na statku powstały dwa ogniska pożaru – jedno przed, drugie za trzecią ładownią z minami. Mimo to kapitan „Chrobrego” zachował spokój i zimną krew, kierując do końca akcją ratowania załogi i wiezionych żołnierzy. Wielu z nich zginęło jednak straszną śmiercią w płonącym bez ratunku kadłubie; z załogi statku zginęło 12 ludzi.

Po uratowaniu z zatopionego „Chrobrego” kapitan Deyczakowski objął dowództwo innego transportowca – włoskiej budowy „Batorego”. Ten motorowy czterestotysięcznik miał pod dowództwem „Młodszeo Deja” zdobyć sobie miano „Szczęśliwego Statku” (ang. „The Lucky Ship”).

W dniu 5. grudnia 1940 roku „Batory” przeszedł pod zarządem brytyjskiego Ministerstwa Transportu Wojennego (Ministry of War Transport).

Wcześniej stało się coś, dzięki czemu niewielki polski liniowiec i jego załoga z kapitanem Deyczakowskim – zdobyli sobie wielką wdzięczność pięciuset młodych brytyjskich dziewcząt i chłopców, a wraz z nimi i całej Wielkiej Brytanii. Był to pamiętny rejs z dziećmi z bombardowanej Anglii, planowany początkowo do Afryki Południowej. Rozpoczęty w sierpniu 1940 roku, został nieoczekiwanie przedłużony aż do Australii, bowiem w Afryce dzieciaki podniosły regularny bunt, nie chcąc przesiadać się na inny statek z „Batorego”, na którym czuły się jak w domu, pod znakomitą opieką Kapitana (zwanego przez nich „Królem”) i całej bez wyjątku załogi. Wozila dzieciaki i „Queen Mary”, i to aż w trzynastu rejsach – ale przecież tylko na „Batorym” w trzydzieści prawie lat po słynnym rejsie zameldowali się w Tilbury pod Londynem jego uczestnicy, aby pożegnać się z odchodzącym na „emeryturę” statkiem.

„Druga Mała Flota” zawiera aneks z ważniejszymi datami z dziejów wojennej służby polskich statków handlowych. Znajdujemy tam sporo dat związanych ze służbą „Batorego”:

05.07.1940: BATORY pod dowództwem kapitana Zygmunta Deyczakowskiego, SOBIESKI oraz MONARCH OF BERMUDA, wyruszają z Glasgow do Kanady, wioząc złoto i kosztowności Banku Anglii oraz jeńców niemieckich.

13.08.1940: Aliancki konwój ze złotem zawija do Halifaxu, a opóźniony wskutek uszkodzenia maszyn BATORY – do St. John’a.

05.08.1940: BATORY wyrusza z Liverpool w ogromnym konwoju, wioząc blisko 500 brytyjskich dzieci do Australii.

20.08.1940: BATORY zawija na krótki postój do Kapsztadu, gdzie brytyjskie dzieci urządzają skuteczny „bunt”, protestując przeciwko planowi przeniesienia ich na inny statek.

Po „buncie”, w dniu 25. września, „Batory” znalazł się w Colombo na Cejlonie (dziś SriLanka); 9. października – we Fremantle na zachodnim wybrzeżu Australii; 14. października – w Melbourne; zaś 16. października 1940 roku – w Sydney. W obu tych portach dzieci i ich brytyjscy opiekunowie opuścili statek,

który wyruszył w dalszą drogę do Wellington na Nowej Zelandii (przybył tam 7. listopada 1940 roku).

W Prima Aprilis (1. kwietnia) 1941 roku „Batorego”, stojącego w Halifaxie, wizytował gen. Wł. Sikorski.

Następnie „Batory” wraz z „Sobieskim” uczestniczył w kolejnych operacjach desantowych Sprzymierzonych, m.in. w Afryce Płn. (listopad 1942), na Sycylii (lipiec 1943), w Normandii (czerwiec 1944, największa w historii wojen operacja desantowa) i w Prowansji (sierpień 1944).

W dniu 29. marca „Batory” został zadokowany na trzy miesiące w stoczni w Glasgow.

Znany nam Jerzy Pertek (jeden z najznakomitszych kronikarzy obu „Małych Flot”, autor m.in. „Wielkich Dni Małej Floty”, „Drugiej Małej Floty”) w swej książce o „Królewskim Statku” („Batorym”) tak pisze o wojennym dorobku i dalszych losach „Młodszege Deja”: podczas pięcioletniego remontu na przełomie lat 1945-46

zakończył swą służbę kpt. ż. w. Zygmunt Deyczakowski, który od końca czerwca 1940 roku, z krótkimi przerwami, przez wszystkie te lata dowodził największym statkiem naszej floty handlowej. /.../ Ze wszystkich kapitanów PMH Zygmunt Deyczakowski posiadał najwięcej polskich i brytyjskich odznaczeń. Za dowodzenie „Chrobrym” podczas kampanii norweskiej kapitan Deyczakowski otrzymał Krzyż Walecznych oraz Order of the British Empire. Za dowodzenie „Batorym” podczas operacji inwazyjnej w Afryce Północnej został odznaczony brytyjskim krzyżem Distinguished Service Cross. Udział w inwazji na Sycylię przyniósł mu „Mention in Despatches”, czyli zaszczytną wzmiankę w brytyjskim komunikacie wojennym. Wreszcie za całokształt służby w okresie wojennym nadano kpt. Deyczakowskiemu Złoty Krzyż Zasługi z Mieczmi.

Zdanie dowództwa „Batorego” kapitanowi Fr. Szudzińskiemu nastąpiło prawdopodobnie w dniu 5. stycznia 1946 roku.

Po zakończeniu zaszczytnej służby Kapitan Deyczakowski postanowił dołączyć do swej rodziny, mieszkającej w Kanadzie.

Huculszczyzna

Przypominamy Czytelnikom fragmenty niezwykle siedmiodniowej wycieczki w Czarnohorę, jaka rozpoczęła się 18 lipca 1879 roku pod kierunkiem Konstantego Siwickiego, właściciela dóbr w Ceniawie. Zorganizował ją Oddział Czarnohorski Towarzystwa Tatrzańkiego w Kołomyi, udział wzięli profesorowie c.k. wyższego gimnazjum w Kołomyi: ks. Mikołaj Martini – katecheta, Teodor Czuleński, Ludwik Maciulski, Marceli Turkawski, radca sądowy – Władysław Kawecki z trzema synami a ze Stanisławowa dr Marceli Eminowicz z dwoma synami. Nasi turyści odwiedzili po drodze członków O.Cz. Stanisława Bursę, aptekarza w Kosowie, Stanisława Przybyłowskiego, właściciela Krzyworówni (przyszłego dziadka Stanisława Vincenza) i Jana Gregorowicza, zarządcę dóbr skarbkowskich w Żabiu.

Porównajmy ten wspaniały opis pionierów turystyki – budowniczych pierwszych szlaków turystycznych w Karpatach Wschodnich z dzisiejszymi organizowanymi eskapadami naszych turystów, których po zniszczonych i zarośniętych szlakach prowadzą przewodnicy ukraińscy uzbrojeni w broń palną!

MARCELI A. TURKAWSKI

Wspomnienia Czarnohory, Warszawa 1880

Pierwszy dzień wycieczki z Kołomyi do Żabiego

W ostatnich dniach, poprzedzających termin ułożonego wyjazdu, nastąpiła wątpliwa pogoda; z obawą spozieraliśmy w stronę zagadkowego południa, gdzie górzystą okolicę okrywały gęste chmury i nieszcześliwa mgła, zła w tym wypadku dla turystów wróżba. Ale na szczęście nieco nieba zrządziły inaczej!

Ranek piątkowy (18 lipca) powitał nas uśmiechem, wszystko zapowiadało pogodę stałą, wszyscy też śpieszyli w podróż. Pierwszym „na stanowisku” był p. K. z synami, który, stanąwszy wcześniej na Wierzbiażu, po daremnie oczekiwanym innych podwódm, niepewny czy sam się nie zapóźnił, jako dobry zwiastun ruszył przodem w pochód. Ja byłem tymczasem w największym kłopotcie! .. Skoro świt stałem gotowy do podróży, wyczekując niecierpliwie zamówionego z p. C. fiakra, lecz że to za długo już trwało, a sam woźnica, kołomyjski żydek, łatwo mógł mi zrobić zawód, przysiadłem się do innej doróżki, gdzie wraz z ks. M i p. M. oraz z całą masą tłumoków, pak, kuferków i zawiątek złożyłem moje skromne skarby. Tak umieściwszy się prowizorycznie, przejechałszy dumnie miasto Kołomyję w kierunku ku Prutowi.

Tu musimy przerwać wątek opisowy, jako że zresztą często w ciągu niniejszej pracy czynić będziemy, ile razy przyjdzie nam zawadzić o ważniejszą miejscowość lub charakterystyczny jej szczegół, aby choć pokrótce objaśnić co trzeba i tym sposobem jaśniej przedstawić czytelnikowi całość, razem z wchodzącymi w jej skład częściami

Cała przestrzeń podgórska w Kołomyjskiem, której większą część mieliśmy przejeżdżać, nosi historyczną nazwę „Pokucia”. Od czego właściwie wywieść należy to nazwisko, czy od „pokącie”, lub od wątpliwego słowa „pokuta”, czy wreszcie od miasta Kut, położonego na samej granicy galicyjsko-bukowińskiej nad Czeremoszem, – tak trudnym jest do rozstrzygnięcia, jak i ściśle oznaczenie granic samego Pokucia. Stosunki fizyograficzne, geograficzne i przyrodnicze okazują, że Pokuciem jest pas ziemi ciągnący się w południowo-wschodnim kierunku wzdłuż Prutu po obu stronach od źródeł rzeki Tłumaczka aż do ujścia Czeremoszu w pobliżu wsi Zaluczca. Nie jest jednak ta kraina jednostajną pod względem meteorologicznym, jako też florystycznym i faunicznym; przeciwnie, cały ten obszar ziemi powiatu kołomyjskiego, który zajmuje główną część dawnego Pokucia, należy do dwóch odrębnych światów.

Karpathen, Berg genannt Czarnohora, Kettenberg der Howerla 2058 m.
Dancerz 1822 m, Turkuł 1935 m.
KARPATY-CZARNOHORA. Łańcuch gór: Howerla 2058 m., Dancerz 1822, Turkuł 1935 m.
КАРПАТИ-ЧОРНОГОРА. Верхи гір: Говерля 2058 м., Данцер 1822, Туркул 1935 м.



Północną część, począwszy od Kołomyi, cechuje zbity, ciężki czarnoziem podolski z gliną diluwialną w potężnych częstokroć pokładach; zewnętrzna jej plastyka jest falisto-pagórkowata, z licznymi zagłębieniami lejkowatemi; wioski tu osiadłe po jarach odsłaniają się widzowi dopiero wtedy, gdy nagle z monotonnej wierzchowiny spuszcza się ku dolinom, poprzęznanym potokami płynącymi zwykle leniwie; poszycie drzewne złożone przeważnie z dębu, grabu, klonu i osiki, a brak zupełnie drzew szyszkowych; uprawa roślin: hreczki, kukurydzy, tytoniu i dyń, krom pszenicy, odbywa się na wielkie rozmiary; chów bydła, przeważnie siwego, charakterystyczny świat ptasi, motylowy i żukowy ma w tym pasie przewagę – ogółem znajdziemy tu wszystko, co mieści w sobie i znamionuje świat stepowy.

Przeciwnie na południu od Kołomyi, tuż za Prutem, rozpoczyna się świat odrębny, - świat górski. Przekonywują nas o tem niedalekie góry, piaskowiec karpacki w Myszyńcu, dalej solne źródła w Kniaźdworze, bukowce i smerekowe lasy, wreszcie sami mieszkańcy w właściwościach górskiego ludu, co wszystko razem dowodzi przewagi klimatu górskiego. Na skrawku więc tego pasu, gdzie świat stepowy z górskim najsilniej się ściera, na rozległej nizinie, pochylonej ku Prutowi, na jego lewym brzegu, leży miasto „Kołomyja”. Wsi przylegające do miasta od północy i wschodu z uprawnymi łąkami i rozrzuconymi po wszystkich stronach dąbrowami, przypominają pobliskie Podole, a wrażenie to złudne byłoby zupełnem, gdyby nie te góry piętrzące się zdala na zachód i południe od miasta, gdyby nie ten rozlewny Prut, szumiący w górskim łożysku. Gdy staniemy na znamienitszej wyżynie oko bawi się zewsząd miłym widokiem. Swobodnie przebiega ono rozkoszne doliny i rozległe niwy na północy, a w przeciwnej stronie spoczywa na odległych wzgórzach i dosięga zaciemniałych lasów. Na ten

wspaniałą widok rozścielającego się przed nami krajobrazu, poczuwamy mimowoli chęć udania się w te okolice, aby zbliżka podziwiać piękność i różnorodność przyrody, której powabom żadne serce do uczuć szlachetnych zdolne, oprzeć się nie może.

Rzeczono wyżej znaczne nachylenie Pokucia ku południowemu wschodowi czyni tę okolicę przystępną dla cieplejszych prądów powietrza, co sprzyja już uprawie kukurydzy, łąkami na wolnym polu, a nawet pielęgnowaniu winorośli po zacisznych zboczach południowych podgórze. Zdaje się, że Podole, przytknąwszy na Pokuciu bezpośrednio do gór, dla nagłego przeskoku wązki tylko rąbek pozostawiło, a nawet dnem głównych dolin głębiej się wdarło w miążgę podgórze. Za przykład tego służy ciepła dolina Czeremoszu, którą na trzy mile przeszło od miasteczka Kut aż po zlew obu Czeremoszów (Białego i Czarnego) ciągną się piękne sady, a uprawa kukurydzy i tatarki (hreczki), wymagających podolskiego podniebia, przeciągnęła się za Czeremoszem Czarnym jeszcze głębiej w góry, bo aż po Jasienów i Krzywórniewię.

Z drugiej strony sami na sobie doświadczyliśmy, mieszkając przeszło dwa lata w Kołomyi, iż nie znamy innego podgórskiego miasta, gdzieby stan powietrza tak był zmiennym, nie tylko w ciągu roku lecz i podczas doby, nawet w ciągu dnia, jak właśnie teraz. Wy tłumaczyć się to da względami klimatycznymi. Właśnie temu przykre mu położeniu geograficznemu na owym skrawku, między dwoma światami wielce różnymi między sobą, światem nizin i wyżyn, zawdzięcza Kołomyja tę zmienność temperatury i niejednostajność ciepłoty, której namacalne dowody widoczne są i poza obrębem miasta, a nawet w dalszej okolicy. [...]

Nader miłą pogodę zapowiadało łaskawe niebo, pokryte wprawdzie gdziegdzie szaremi obłoczkami; chwilowo nawet rosił niepostrzeżenie drobny deszczyk który turystom więcej pożytku i przyjemności, niż szkody przynosił, gdyż zmywał niewidzialnie kurz z drogi i uwalniał słabowitych piersi pedagogów od potężnego wdychania i łkania nieznośnego prochu drogowego. Usposobienie trzech podróżnych, siedzących w jednym powozie, było wyborne; uwolnieni po całorocznej, ciężkiej pracy nauczycielskiej opuściliśmy zbiorowisko przeróżnych wyziewów; wyrwani z przymusowej niewoli, wśród dusznej atmosfery, wydobyliśmy się na długo wyczekiwaną wolność. Skutkiem tego spragniona świeżości piersi wzdymała się swobodnie i prędko, żywszem tętnem były zadowolone serca, codzienny frasunek i kłopoty ustąpiły naraz miejsca jakiejś próżni życia, bezinteresowności i spokojowi o jutro. Wątpię, aby kto z ówczesnych uczestników wycieczki tak gorąco pragnął wymknienia się z murów miasta jak ja; dlatego starannie korzystałem z drogiej chwili swobody, zajmując się całą duszą otoczeniem lub wiodąc rozmowę z sąsiadami.

Woda w Prucie, który obok długiego mostu dzieli wzdłuż Kołomyję od Wierzbiaża wyższego (Wierbiaż wyżny), przybrała znacznie podówczas, w skutek deszczów w górach, nawet załała część gęstej łożyny zarostej burzanami i bujne łąki nadbrzeżne. Widok tej rzeki jest zachwycający; tu rozlewa się Prut szeroko i wielokrotnie dzieli się na odnogi; miałczyże skutkiem tego jego łożysko, tworzą się różnej wielkości ostrowy, a dno, zawałonego kamienistym odtokiem z gór przywleczonym, odkrywa się na wielkie obszary.

Dobra droga rządowa wiedzie z Kołomyi do Kossowa, a stamtąd do Kut; pierwszą jej część odbyliśmy dzisiaj pośpiesznie, można powiedzieć gwałtownie;

nasz bowiem woźnica mojżeszowego wyznania śpieszył się dla tego, aby wcześniej powrócić do domu na szabas. Przybierając prosty kierunek południowy aż do wsi Kowalówki, mijamy szybko po drodze oba Wierzbiaże (wyżny i niżny), a przejechawszy Wyżny potok, mamy po prawej stronie gościńca na uboczu wieś Kluczków wielki, a po lewej Myszyn, miejscowość bogatą w węgiel kamienny. Bagnisty to teren; moczary po za Myszynem ciągną się na milę między rzeczkami Pistynką i Łuczka, które w pobliżu Kołomyi wpadają z hałasem do Prutu; oddziela je silnym wałem podłużny łańcuch pagórków, na których spoczywają pomienione wsi z bielejącymi domami i odległymi zagrodami. Gładką i równą drogą przecinamy Kowalówkę i witamy zaraz długą wieś Stopczatów, rozłożoną po obu bokach drogi. Tu przeważnie zajmuje każdego widza wysoka, majestatyczna cerkiew, obok drogi stojąca, a na przeciwnej stronie skromny cmentarz; obudził on we mnie niedawne wspomnienie, gdy w towarzystwie dam odwiedzał grób nieodżałowanej pamięci ks. U. Żybońskiego, b. proboszcza w Jabłonowie, sympatycznej osobistości tej okolicy, tutaj pochowanego. Niedaleka już stąd jazda do miasteczka Jałonowa, założonego przez hetmana Stanisława Prus Jabłonowskiego, którego herb do dziś miasto nosi; z tem godłem nawet na głazach soli często się tu spotkać można.

Postać okolicy zmienia się w miarę jak z równin kołomyjskich wyjeżdżamy szeroko rozwartymi dolinami (rozgórze) na pierwsze piętro Beskidu. Aż do Jabłonowa ciągnęły się podłużne pasma niskich i wdzięcznych dla oka pagórków; odtąd rozpoczyna się prawdziwe podgórze. Z początku działy o półgłóych zboczach wznoszą się z obu stron łagodnie, pokryte lasem liściastym, przeważnie bukowym, który w miarę ściśniania się dolin ustępuje wysokopiennym jedlinom, nadającym już okolicy wyraźny górski charakter. Na dnie dolin malowniczych sady wieńczę rozrzucone chaty huculskie; obok ziemniaków sadzą tu kukurydzę mieszaną, jak zwykle na Pokuciu, z fasolą. Potężne klony, topole i jesiony zdobią namuliste brzegi rwących rzek, a zielone smugi obszarów zasianych wielorakiem zbożem i bogate łąki urozmaicają miły krajobraz górski. Im głębiej posuwamy się w góry, tem zwartsze koryta rzek, tem stromiej opadają ku ciasnym dolinom stoki sięgające od 630 – 950 m n. p. m. Ciemnoszafirowy płaszcz jedlinowy borów pokrywa zazwyczaj krągławe czuby i lekko zafaldowane grzbiety pojedynczych działów, jak to np. dokładnie widać z wierzchowin Utorop i Pistynia, skąd już roztacza się rozległy widok na całe podgórze pasma czarnohorskiego aż po granicze połoniny na zachód; na południe na bukowińskie góry, a na wschód na szeroko rozlane równie Podola.

Jedną z najprzyjemniejszych przechadzek podczas jazdy tego dnia był pochód „w trójkę” na górę Iwanówkę (447 m.), przez którą a raczej obok której przechodzi droga rządowa. Chcąc ulżyć koniom nieszczególnej tuszy i siły, odbyliśmy pieszo ten kawałek, podpierając się letniami parasolami, służącemi nam zamiast lasek, i wiedliśmy rozprawę długą o probostwie kołomyjskiem; przytem naturalny humor księdza M. dodawał wiele uroku rozmowie. Pnąc się coraz wyżej w krainę górską, zobaczyliśmy po lewej od nas stronie górę Klewę (620⁷⁷ m.), a dalej Krzemienicę (598 m.) i przybyliśmy do wsi Utorop czyli Otorop, która z powodu bogatych źródeł ropy nosi tę nazwę. Stąd na wschód ciągnie się pasmo p.t. „Kraśnik las”, którego daleki szczyt, sięgający 484 m. blisko Mykietyniec, zniża się w pobliżu Utorop do 402 m. Ta wioska, jak wszystkie

podgórskie, zbudowana przy drodze bardzo rozlegle, dostarcza oku coraz nowych przedmiotów do spostrzeżeń. Opodal gościńca stoi tu na podwyższeniu wysoki krzyż (443 m.); od tego punktu spuszczać się zaczynamy, mając po lewicy górskie pasmo Koszelówkę (najwyższy szczyt 549 m.), do miasteczka Pistrynia.

Najpierw w dali wita nas zakryta wieńcem drzew cerkiewka; potem przebiegamy szybko oczyma czysto pobielone domki i dworki mieszkańców, zwykle otoczone wdzięcznymi ogródkami, wreszcie dostajemy się do środka miejsciny, która jest i niezgrabnie zbudowaną i nieczysto utrzymaną. Według z góry ułożonego planu, kierujemy się na prawo i karkołomnie spuszczaemy ku Wybranówce. Niekorzystne wrażenie rynku pistryńskiego hojnie wynagradza szereg kształtnych dworków zamiejskich, gdzieś przy dość okazałej karczmie mały odbyli wypoczynek. Tu powitaliśmy czcigodnego radcę p. K. z synami, który, korzystając z krótkiego popasu, wykapał się w górskiej rzeczce i nie mógł się jej nachwalić. Drugie śniadanie w żydowskiej gospodzie było oryginalne; wszystko, co najlepsze na szabas było przygotowane, a więc czysty „szabas-schnaps” (wódka szabasowa), bielutkie „szabas kukle” (bułki szabasowe) i podobnej nazwy świeże masło, wybornie nam smakowały.

Niezadługo wyruszyliśmy w dalszą drogę. Otaczała nas zewsząd górzysta okolica; po obu stronach zaginającej się leniwo drogi zarysowują się już wyraziście pasma górskie; tuż obok Wybranówki po prawej ręce góra Klewa (627 m) i Sliski (697 m), a za nimi podłużny i jednostajny grzbiet Kamienisty (dosięgający w środku 734 m), po lewej zaś Ozierny (5,4 m) i Dił (575 m); a przebywszy wyżynę w pobliżu starego Kossowa żegnaliśmy końcowe pasmo Wierzbowce. Z tego działu pistryńskiego zjeżdża się w zwartą dolinę Rybnicy do miasteczka Kossowa, już całkiem w górach zabudowanego. Z obu stron nad szerokiem łóżyskiem pieniającej się rzeczki Rybnicy spiętrzyły się nagle w tem miejscu przeciwległe działły do średniej wysokości 630 m (Michałków od południowego zachodu 808'73 m) i zamykają krajobraz w ciasne ramy kotliny, której ściany porastają jodły i buki, pomieszane z brzozą i osiką. Nader wąskie dno tej kotliny zajmują częścią skupione domki tego miasteczka, częścią ogródki i sady, w których rośnie włoski orzech i udają się jarzyny cieplejszych równin.

Wtedy nie mieliśmy tyle wolnego czasu, aby z piętrzącej się stromo wyżyny od północy, niedaleko kamiennego pomnika, przypatrzeć się ślicznemu krajobrazowi Kossowa, jakem to podczas wycieczki mojej na Zielone świątki uczynił. Długo wpatrując się jakby w głąb jaskini, widziałem ztamtąd u stóp swoich miejscinę, podobną całkiem do rozłożystego obozowiska, pełnego namiotów; tylko żupnicze zabudowania między gęstwiną topól mają pozór ukrytych pałaców, a cała przetkana zielenią kotlina wygląda jakby czarowne schronienie bogatych Arabów lub opryszków, ukrywających się w głębi gór przed śledczem okiem sprawiedliwości. Dziś przejeżdżając prędko stary i nowy Kossow, odświeżyłem sobie w myśli dawne wspomnienia i wypadki, aż zajęchaliśmy na popas do zwykłej gospody, noszącej zaszczytną nazwę „starego kasyna”.

Z pozoru a więc z zewnątrz, jako też i wewnętrznym rozkładem nie różni się ono niczem od karczmy; jedna tylko sala obszerna w tylnej części budynku, niestety, dziś wielce opustoszała, przypomina dawną swoją świetność, gdy się tu liczne odbywały zebrania małomiasteczkowej publiczności na hucznych balach i

zabawach. Nie zaszkodzi wspomnieć, że jak w kołomyjskim więksi właściciele dóbr ziemskich są przeważnie Ormianie, którzy się zliali po większej części z tubylcami i mówią po polsku, tak znowu w kossowskim i w całej okolicy Czarnohory nie ma prawie tak zwanych obywateli wiejskich, ponieważ tutejsze obszary leśne należą do skarbu i prywatnych przedsięwzięć.

Mimo najszczerzej chęci, aby cokolwiek z dziejów kossowskich podać, nie mogę tego uczynić, gdyż nie znalazłem ani w specjalnych dziełach, ani w podaniu miejscowego najmniejszego śladu historycznego, godnego zapisania o tem mieście.

Poskładaliśmy nasze rzeczy w rzeczonyj sali, przywitali się wzajemnie, a że po krótkiej chwili nadjechał prezes oddziału p. S. i nad wszelkie oczekiwanie kolega p. C., zebrało się tym sposobem całkowicie szczupłe gronko turystów, żądnych dalszej jazdy w góry. Niebawem nawinęło się kilku usługowych uczniów kołomyjskiego gimnazjum, którym powierzyliśmy wyszukanie dwóch dobrych wózków górskich z tym warunkiem, aby nas jak najprędzej przewiozły do Żabiego; pan K. bowiem miał już poprzednio zamówioną wygodną i wystarczającą dla rodziny podwoję.

Następnie udaliśmy się wszyscy w kierunku rynku, aby szukać apteki, której właściciela p. B., burmistrza i delegata naszego, prosiliśmy listownie, by dla nas w nowem kasynie zamówił obiad. Jakoż wnet i w jego towarzystwie poszliśmy do owego kasyna, gdzie mieliśmy oczekiwać zarazem skutku studenckiej wyprawy po wózki.

Położenie tego (nowego) ogniska obywatelskiego i towarzyskiego życia Kossowa jest dobre; mieści się ono w kamienicy przytykającej do rynku, sale są na pierwszym piętrze, restauracya i piwiarnia na dole. Obszerny lokal, nędzny bilard, na którym daremnie usiłowaliśmy doświadczyć sił, kilka gazet na długim stole czytelnym, zresztą zajmujący z małego balkoniku widok na targowisko – wystarczyły, aby śród wesołego rozhoworu rozpędzać obawę o podwoje, zwłaszcza, iż naraz lunął potężny deszcz jak z konwi. Mocnośmy się zdziwili, ujrzawszy na stole, krom wyborowych potraw, i piwo pilżeńskie; na podobny specyał rzadko się zdobędzie nawet stolica Pokucia, a tu miejscowi zwolennicy Gambrinusa sprowadzają je sobie w najlepsze beczkami, z dumą o tem prawiąc. Napelniwszy podróżne żołądki zabieramy się z powrotem do naszego hotelu. Tymczasem deszcz szczęśliwie ustał zostawiając po sobie grubą warstwę błota; każdy z nas po drodze kupuje w sklepiku parę bochnów chleba, a u handlarza hotelowego, wina; beczkę każemy napelnić niezbędną w górach okowitą, na koszt wspólnej kasy, poczem godzimy się osobno z dwoma jurnymi przedmieszczanami, którzy na malutkich wózkach po nas zajechali i śród ponownego deszczu siadamy na te wehikuły, natłoczone zapasami gastronomicznymi i szczupłą warstwą siana. Pan K. znowu wyprzedził nas znacznie; z pozostałych siadł prezes, podskarbi i sekretarz na jednym wózku, na drugim zaś koledzy C. i M. Śmieszny to był wyjazd, siedzenia nasze pozostawiały wiele do życzenia, co chwila usuwały się na jeden lub drugi bok; trza więc było poprawiać, podkładać siano lub płaszcze, aby sztucznym sposobem utrzymać ciała w potrzebnej równowadze. Mimo to nie popsuyły się usposobienia turystów; owszem ta jazda poobiednia była wesoła, pełna zabawnych epizodów i miłych niespodzianek. Nasze maleńkie a tak zgrabne wózki, ciągnięte przez chyże,

niskie a krępe i silne koniki, widocznie z rasy huculskiej, zasługiwałyby istotnie na szczegółowy opis, gdybyśmy więcej mieli czasu i miejsca do rozporządzenia. Nasze nowomodne powozy, a nawet zwyczajne wozy nizin, choćby z najsilniejszym zaprzęgiem, nie dałyby sobie rady ze skalistą i przepaścistą drogą, którą kossowski wydział powiatowy z wielkim nakładem i staranną pieczołowitością do skutku przywiódł. Przywykłe do tych urwisk tutejsze koniki biegly dość prędko; nawet nieustanny turkot i trzęsienie wózka, oraz tętent koni mało nam dokuczały, skoro przy odświeżonej porze przesuwaly się przed naszymi oczyma coraz nowsze, ponętniejsze i swoim czarem zachwycające widoki. Owiani zewsząd prawdziwym, górskim powietrzem, któregośmy zbawczy wpływ namacalnie zaraz za Kossowem na sobie uczuli, chciwieśmy je łykali, oddychając pełną piersią. Bezustannie zwracając baczna uwagę na bieg wijącej się w przeróżnych zgięciach i podłużnych łukach rzeczki Rybnicy, śledziliśmy dalekie przestworza gór niebotycznych. U stóp naszych płynęła Rybnica w zwartem lubo płytkiem łożysku; tworzy ona śród słabszego warty przeciągłe ostrowy i odsypuje także wiele odtoku i żwirowego namułu po szerszych brzegowiskach. Nagle i częste wylewy wód górskich, staczających się z gwałtownym prądem, nie pozwalają się zakorzenić nadbrzeżnym wiklinom i bizdernikowym kępkom, które dopiero powyżej, na otwartzszych ustępach dolin, bujnym zarostem pokrywają szerokie porzeczca strumienia Rybnicy.

Po opuszczeniu po prawej stronie wsi Monasterska (przypominającej brzmieniem słowo: monaster, klasztor, który tu dawniej miał istnieć) i po lewej przedmieścia raczej, niż wsi osobnej, Moskałówki, kierujemy się drogą w kierunku południowo-zachodnim. Z północy widać długie pasmo gór, zwane Kamienisty; ciągnie się aż do wsi Horod. Nazwę swoją wzięła ta wieś od zamku (horod-gród) starożytnego, biorącego początek za ruskich czasów, którego szacowne szczątki i dziś jeszcze pośrodku domków rozrzuconych na stokach Kamienistego rozpoznać się dają. Warowny od natury i wzmocniony sztuką ten zamek zburzony został w r. 1241 przez księcia halickiego Daniela Romanowicza, ojca sławnego Lwa. Tutejsza świeżej budowy cerkiew leży 412 m n. p. m ; na przeciwnej stronie drogi od niej widnieje wysoka góra Ostry (583 m), może dla swojej stożkowej postaci i ostrego końca nazwana. W podróży towarzyszy nam nieustannie rzeczona Rybnica, która przecinając zwyczajnie pasma poprzeczne tej okolicy zasila się w górnym biegu koło Sokołówki żywym strumykiem Riczka. cdn.

dwory Pokucia

*Między Kołomyją a Gwoźdźcem, wśród urodzajnych pól Pokucia, leżał dwór i majątek Jakuba i Marii Agopsowiczów¹ – **Kobylec**. Po I wojnie dobra odziedziczyły ich dzieci: Ludwik, Kazimierz i Maria, która zarządzała majątkiem do 1939 wraz z synem Romanem Łysakowskim. W roku 1991 Kobylec odwiedziła prawnuczka Jakuba, Monika Agopsowicz z Sulejówka, interesująca się historią*

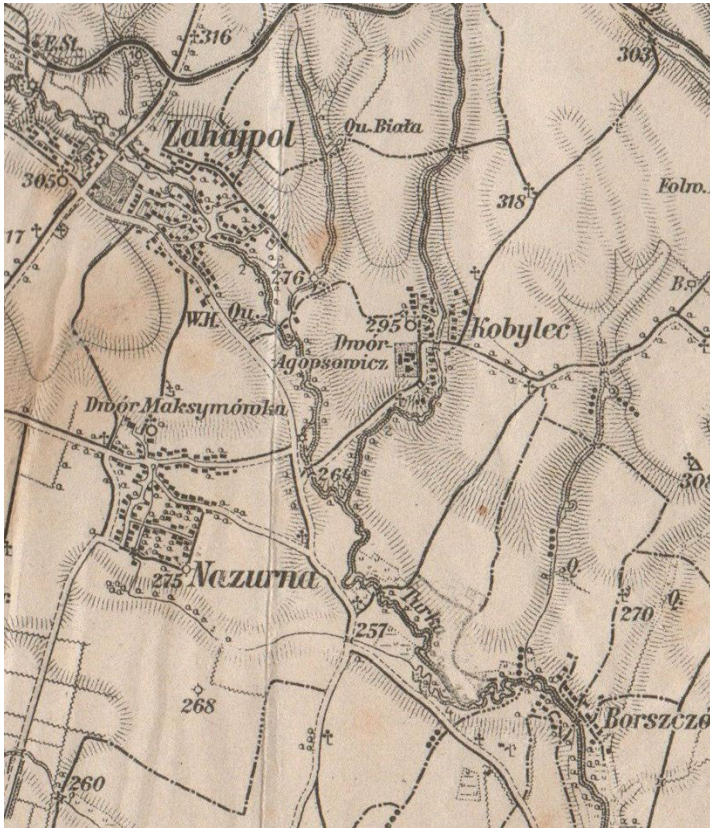
¹ Jakub, ur. 10.07.1845, zm. 25.01.1917 i Maria z Agopsowiczów, ur. 1848, zm. 5.11.1941 r. (przyp. red. Moniki Agopsowicz)

swego ormiańskiego rodu. Śladów dworu i parku nie znalazła a jedynie grób pradziadka, jego zięcia i wnuka (podobno zostali oni przeniesieni przez rodzinę do Lwowa). Wspaniałego opisu dworu dokonał w latach 80-tych Roman Łysakowski (1899-1992), wnuk Jakuba, artysta malarz, absolwent krakowskiej ASP. Rękopis udostępniła jego córka, Elżbieta Łysakowska, architekt wrocławski.

ROMAN ŁYSAKOWSKI

Świdnica, ok. 1980r.

Kobylec



Mapa sztabowa Galicji, Wiedeń 1914, skala 1:75 000.

Bardzo dziwna ta ludzka pamięć. Jak się to dzieje, że po upływie 70-ciu (i więcej) lat mogę wywołać przy jej pomocy dokładny obraz tego domu, ogrodu, wszystkich drzew i kwiatów; usłyszeć chrzęst żwiru pod podeszwą i ujrzeć znowu rozległy krajobraz, jaki rozpościerał się przed oczyma patrzącego z werandy przez prześwity pomiędzy grupami drzew na obrzeżu ogrodu pod ogromnym niebem. Z tego niewielkiego wzniesienia lekko sfalowana równina wyglądała jak wklęsły talerz. Pola, nieliczne grupy wierzb¹ nad potokami, dalekie wioski aż po równą linię odległą o 7 do 10 kilometrów. Za nią niewidoczny Prut przebłyskujący srebrem pomiędzy drzewami tylko wtedy, gdy wzbierał podczas powodzi. Ponad nim poprzez pół horyzontu ciągnąca się niebieska zębata wstęga Karpat poczynając od najbliższych wzniesień, aż po dalekie, coraz wyższe pasma Czarnohory. Wrył się ten krajobraz w pamięć, a z mijającymi latami staje się coraz bliższy i wyraźniejszy. Umieliśmy bezbłędnie przepowiadać pogodę zależnie od tego, czy te góry były przymglone, czy w suchym powietrzu wyraźne i bliskie.

W tym pejzażu na niewielkim wzniesieniu stał piętrowy murowany dwór w środku prostokąta (może 150x250m) otoczonego żywopłotami z glogów i świerków. Przedzielony był drogą wjazdową, która minąwszy ganek, okrążyła kolisty gazon z kasztanem na środku.

Z ganku wjazdowego wchodziło się do dużego przedpokoju z okrągłym stołem na środku. Ten przedpokój stanowił właściwie jedną całość z jadalnią, a oddzielony był od niej tylko ogromnymi szafami-kredensami sięgającymi sufitu, które w razie potrzeby można było rozsunać tworząc jedną salę na całą szerokość domu. W środku kredensów były małe drzwi, a nad nimi od strony jadalni wnęką, w której królował wypchany puchacz. Z jadalni dwoje oszklonych drzwi prowadziło na obszerną werandę z dachem opartym na słupkach z metalowych kratownic po których pięto się caprifolium i glicynie. Na prawo z przedpokoju wchodziło się do pokoju „kartowego” o ciemnych tapetach, gdzie był piec z kominkiem i stał stół karciany, kanapa i fotele przy drugim stole. Z niego oraz z jadalni wchodziło się do salonu. Stał tam fortepian, różne kanapy i fotele na wielkim puszystym dywanie, a też gramofon z tubą. Małe drzwi z gałką szklaną (zamiast klamki) oklejone tą samą co pokój jasną tapetą prowadziły do klatki schodowej i bocznego wyjścia do ogrodu. Ścianę z tej strony domu porastały w czterech „kolumnach” aristolochie – pnące o dużych mięsistych liściach. Z tego wejścia były też drzwi do kancelarii dziadka, małego pokoju, który z drugiej strony łączył się z pokojem kartowym. Z jadalni drzwi do pokoju gościnnego, za którym sypialnia dziadków z wyjściem do dużego korytarza, na końcu którego była mała kuchenka (gdzie zwykle smażyono konfitury) w oszklonym pomieszczeniu z wyjściem po schodkach w kierunku kuchni, która mieściła się w osobnym budynku. Na ten długi przedpokój wychodziły drzwi z kredensu, spiżarni i pokoju kluczniczy. Na końcu, z drugiej strony kuchenki, mieściła się niewielka oranżeria, gdzie urzędował ogrodnik. Z przedpokoju prowadziły też schody na duży strych, z którego można było przejść na

¹ Słyszę utyskiwania babci:” Ciągłe malujesz te jakieś kulki zamiast drzew”. Musiałem tłumaczyć:” Niech się babcia dobrze przyjrzy, czy z tej odległości widać coś więcej, aniżeli te właśnie pogardzane kulki?”

podest na pierwszym piętrze do którego prowadziły też schody z bocznego wejścia. Na piętrze były cztery pokoje. Dwa duże od strony ogrodu z długim balkonem i dwa mniejsze od strony wjazdu. Dach kryty był dachówką.²



Agopsowiczowie i Łysakowscy w Kobylcu, ok. 1910 r.

Na górze na środku: Leopold Łysakowski, mąż Marii z Agopsowiczów Łysakowskiej. Poniżej, rząd środkowy: Maria z Agopsowiczów Agopsowiczowa i Jakób Agopsowicz (wybudował dwór w Kobylcu), obok Maria z Agopsowiczów Łysakowska (ich córka). Chłopcy na dole: (od lewej) Juliusz Agopsowicz, syn Kazimierza, drugiego syna Marii i Jakóba, Roman i Feliks Łysakowscy, Stefan Agopsowicz, syn Kazimierza K. Agopsowicza i Sabiny z Passakasów.

Brama wjazdowa zawsze otwarta pomiędzy dwiema pięknymi sosnami „wejmutkami”. Jej metalową siatkę przerosły twarde gałązki żywopłotu tak, że nawet nie udałoby się jej zamknąć. Ta droga oddzielała „ogród spacerowy” od większej powierzchni części gospodarczej, sadu i ogrodu warzywnego. Ten „spacerowy” to trawnik i klomby kwiatów, a na obrzeżach oddzielne „laski” – grupy drzew różnych gatunków, pomiędzy którymi otwierały się szerokie „okna” na daleki krajobraz. Rosły tam - od lewej - po kolei: modrzewie, leszczyna, brzozy, sosny, lipy, świerki i klony a w końcu akacje. Tu i ówdzie pojedyncze drzewa i krzewy: na środku dąb „piramidalny” jak wysoka cienka pałka, tulipanowiec kwitnący pomarańczowo, katalpa o szerokich liściach i białych kwiatostanach, delikatny tamaryszek, srebrzysta oliwka, kasztan jadalny o twardych żąbkowanych liściach, tuje różnych gatunków, wreszcie grupa gliczycja,

² opis dworu został opracowany osobno jako „Dodatek”.

drzew o drobnych listkach akacjowatych i olbrzymich rozgałęzionych kolcach na gałązkach a nawet na pniach, obwieszony w jesieni ogromnymi strąkami w kolorze czerwono-brązowym.

Po drugiej stronie drogi wjazdowej osobny budynek kuchni z pomieszczeniem dla dziewcząt, których było zwykle 3 - 4, dalej studnia z wielkim kołem, kurnik, i oficyna ze starym sadem, w której mieszkał ekonom³ oraz kuźnia. Budynki gospodarcze - to stajnia „cugowa” z dwiema parami koni i naszymi kucami z wozownią i „drewutnią”, a dalej stajnie dla krów, koni roboczych, szopy, stodoły i spichlerz oraz „kosznica” z listew na kolby dojrzałej kukurydzy. Okrążając ścieżką ten dalszy ogród „gospodarczy”, szło się naprzód aleją między wiśniami a czereśniami, a potem pomiędzy świerkami a orzechami włoskimi o rozgałęzionych konarach, po których łatwo było się wspinać i wygodnie na nich przesiadywać. Te aleje otaczały sad z kilkudziesięciu jabłoni i grusz, a też śliwek i ogród warzywny ze ścieżką między rzędami porzeczek czerwonych, różowych i białych oraz agrestu.

O 150 m poza ogrodem stała mała cerkiew z drewna sąsiadująca z cmentarzykiem. W cerkwi odprawiał nabożeństwa ksiądz unicki. Mówił on po polsku, po mszy był zapraszany do dworu na śniadanie, a też czasem na bridge'a lub preferansa. My, bywaliśmy czasem na mszy w tej cerkwi, o ile nie jeździliśmy do kościoła w miasteczku Gwoździec, gdzie stał klasztor Bernardynów. W cerkwi siadywaliśmy koło ołtarza, na miejscu „kolatorskim” za tzw. „carskimi wrotami” rzeźbionymi i złotonymi. Lubiłem bardziej pieśni wschodniej liturgii, aniżeli łacińskie msze u Bernardynów, choć w małej cerkwi panował zaduch od kozuchów i głów wysmarowanych starym masłem.

Mieszkałiśmy wtedy stale we Lwowie, gdzie ojciec pracował w Izbie Skarbowej (tzw. „Dyrekcja Skarbu”) – o czym później. Do Kobyłca jednak (200 km) przyjeżdżaliśmy zawsze w święta i na wakacje, gdzie też ojciec spędzał swój urlop. To był nasz drugi dom. Od stacji kolejowej w Matyjuowcach jechało się końmi około 7 kilometrów. Ta posiadłość została kilkanaście lat przed moim urodzeniem założona przez dziadka, który „skomasował” ziemię skupioną od chłopów (doskonały czarnoziem), wybudował dwór i bardzo solidne budynki gospodarcze, i założył ogród. Był to niewielki (ok. 200 ha), ale cenny mająteczek. Ziemia skupiona wokół dworu, żadnych odległych pól, co ułatwiało gospodarowanie. Ale też żadnego lasu w odległości co najmniej 10-ciu kilometrów. Niewielkie laski dopiero w majątkach kuzynów mojej matki, w takiej właśnie odległości. Dlatego zawsze las tak bardzo mnie pociągał, jako coś nowego i tajemniczego – urokiem niezwykłości. Z lasem stykałem się dopiero później, gdy już mogłem brać udział w polowaniach. Właściciele tych terenów łowieckich znali się dobrze i zapraszali się nawzajem. W Kobyłcu nie było na co polować, chyba na ptactwo – jak przepiórki i kuropatwy. Ptactwo wodne też odpadało, bo nie było też większych zbiorników wodnych.

Dziadek, jak się zdaje, nigdy nie polował, po prostu nie miał do tego zamiłowania. Krępy, niewysoki, z łysiną, którą w lecie chronił przed muchami bardzo cienką muślinową chusteczką jaką zakładał na uszy. Czapkę też nosił z surowego jedwabiu, a jej miękkie denko było podtrzymywane doszytymi

³ Jak się nazywał, nie pamiętam, ale dziadek nazywał go „Körber”, a to od nazwiska aktualnego austriackiego ministra spraw wewnętrznych.

skrzyżowanymi fiszbinami, też dla zabezpieczenia szacownej łysiny. Wstawał wcześniej i szedł w pole, gdzie doglądał robót rolnych. Po powrocie zasiadał przy okrągłym stole w pokoju tzw. „kartowym” (gdzie odbywały się czasem partyjki z gośćmi), tam wykladał pasjansa, jakich znał mnóstwo, paląc przy tym małe cygaro. Punktualnie o godzinie 12-tej maszerował pogwizdując i podciągając spodnie (nie nosił szelek ani paska) do jadalni. Obiad musiał być gotowy na tę godzinę. Na wstępie wypijał ze swojego oryginalnego grubego kieliszka pół naparstka wspaniałej żytniówki, prawie tak mocnej jak czysty spirytus. Jeżeli był przy tym jakiś gość (szczególnie ktoś, kto nie znał tej wódki), nalewał mu pełny kielich i przypatrywał się mu potem spod oka, gdy ten krztusił się i siniał. Dla nas były czasem takie przysmaki jak: szpik z kości szpikowej, który nakładał nam gorący na trzymane w pogotowiu kawałeczki posolonego chleba, albo po obiedzie kostki cukru na talerzyku polane rumem i zapalone (nazywało się to „krampampuli”). Gdy zamierzał gdzieś jechać, wychodził na ganek. Dochośny gwizd na palcach był sygnałem dla furmana (stajnia była naprzeciw, po drugiej stronie okrągłego gazonu), że może zaprzęgać. Gdy powóz zajechał, on stał już ubrany na ganku. Nie było wolno, aby pojazd czekał przed gankiem, a konie się niecierpliwiły. Pamiętam, że raz miał jechać w towarzystwie babki, która się spóźniła. Wsiadł sam i pojechał zostawiając ją w domu!

My chłopcy mieliśmy swoje zabawy. Było nas często trzech: ja, Julek (jego rodzice⁴ mieszkali we Lwowie) i kuzyn Stefek⁵ (mieszczuch, niezdara!). Mój chorowity brat nie mógł w tym brać udziału. [red.: zob. *fotografię*] A więc łuki, ogniska, pieczenie kartofli, latawce, wreszcie małokalibrowe flowery na wrony i sroki, penetrowanie strychu, który był ogromny i krył w sobie przeróżne niespodzianki, albo nawet wyprawy do potoku na raki. Jeszcze jedna atrakcja to kuźnia – robienie podków i kucie koni, albo asystowanie przy omłocie (młocarnia parowa) i zjeżdżanie z budowanej właśnie sterty słomy, i wreszcie ważenie worków ze zbożem. No i konie. Z tymi byliśmy zaprzyjaźnieni, nie zapominaliśmy o razowym chlebie ze solą dla nich, czasem też o kilku kostkach cukru. Gdy zaś pojawiły się „kuce” i fajetonik, do którego można je było zaprzęgać, to już była pełnia szczęścia. Jeździliśmy też, ja i Julek, na nich wierzchem. Nie była to dobrana para. Mój był gniady, bardzo zgrabny i żywy (nazywał się „Togo”, od japońskiego admirała), drugi kary, dość leniwy, to „Nelson” (też od admirała, ale angielskiego). Chyba dziadek je tak ochrzcił. Robiliśmy tym naszym pojazdem różne wyprawy, nawet do kąpieli w Prucie (ale już nie sami) bo Prut to bystra rzeka. Za nim dopiero zaczynają się pierwsze pasma wzgórz.

Osobną atrakcją była jazda z dziadkiem w jasnym prochowcu do Gwoźdźca, gdzie mieścił się bank „chłopski”, założony też przez dziadka. Jego własnością były też jakieś lasy daleko w górach (nigdy ich nie oglądałem), gdzie gazdował stary zaufany chłop, który czasem zjawiał się w Kobylcu. Widzieliśmy, jak w kancelarii dziadka zdawał sprawę ze swego „gazdostwa”, odczytując wszystko z

⁴ wcześniej wspomniany Kazimierz Agopsowicz, ur. 1875, zm. 1941 po procesie w Kołomyi (opisanym przez Romana Lewickiego w jego książce *Album wspomnień* wyd. Londyn 1998) oraz Maria (Rynia z Agopsowiczów, zm. 1967 (przyt. red. M.A.)

⁵ syn Kazimierza Kajetana Agopsowicza, ur. 1849, zm. ok. 1907 i Sabiny z Passakasów, ur. 1861, zm. 1922.

patyków, na których nacinał tajemnicze karby, bo pisać nie umiał. Wszystko się jednak znakomicie zgadzało w tych rachunkach. Z tych lasów przywożono wspaniałe bukowe drzewo na opał (o węglu wtedy nikt nie myślał). Piłowaniem tych polan i rąbaniem zajmował się stróż przed „drewutnią”. W tej kancelarii, gdzie w rogu stała żelazna kasa, grzebaliśmy często w koszu na papiery, gdzie dziadek wyrzucał różne koperty ze znaczkami, prospekty, a nawet urzędowe pisma w ogóle nie czytane ! Tak więc, mieszkając stale we Lwowie, przyjeżdżaliśmy na każde święta do Kobylca, który stał się drugim domem w czasie naszego szczęśliwego dzieciństwa i wczesnej młodości, a też spędzaliśmy tam wakacje. Rodzice Julka też mieszkali wtedy we Lwowie, gdzie ojciec był dyrektorem banku „Gorzeli Rolniczych”. W późniejszych latach kupił majątek w okolicy Stryja (Podhorodce), a potem Pysznicę k. Niska, dokąd jeździli z dziećmi. Tymczasem interesy dziadka zaczęły się psuć. Dał się Żydom wciągnąć do jakichś spółek, jak: fabryka cukierków, a też wspomniany bank, na czym stracił wiele pieniędzy (choć Żydzi się wykręcili). Było to w latach 1909-10. Znikły piękne gazony, na miejscu których ukazały się kartofle, w stajni na miejsce dwóch par koni „cugowych” stała już tylko jedna, a na nasze zapytania o „krampampuli” odpowiadano nam że rum bardzo drogi.



Pomnik Jakuba Agospowicza w Kobylcu, fot. Monika Agospowicz, 1991.

Nie wspomniałem dotychczas nic o babci. Ta była cały czas zajęta gospodarstwem domowym i pobrzękiwała pękiem kluczy przy pasku. Wszystkiego doglądała sama. Na werandzie stał oryginalny sprzęt, rodzaj niskiego fotela, który można było jednym ruchem zamienić w klęcznik. Tam często klęczała odmawiając różaniec, nie spuszczać z oka dziewczek pracujących w ogrodzie i wplatając pomiędzy "zdrowaśki" pokrzykiwania pod ich adresem. Sama zbierała płaską chochlą wspaniałą śmietaną z ogromnych kamiennych

garów z mlekiem, a pieczenie chleba też nigdy się bez niej nie obeszło. Wtedy była czerwona i podniecona, i lepiej było jej nie wchodzić w drogę.

W roku 1910 został wybudowany bardzo solidny nasz dom we Lwowie, projektowany przez kuzyna architekta. Wybudowali go rodzice przy pomocy pożyczki bankowej, częściowo za obiecany niegdyś, a nigdy nie wypłacony posag mojej mamy, którego resztki w ten sposób ratowano.

wspomnienia

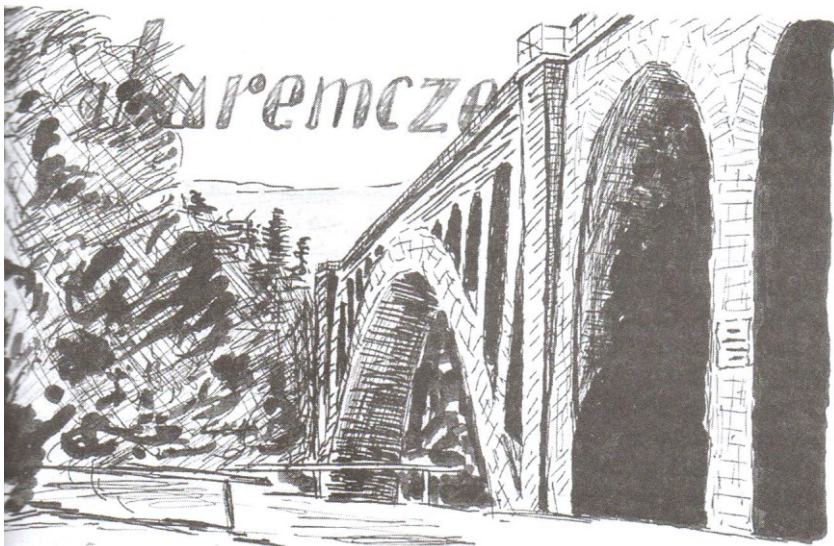
JÓZEF PUSTELAK

Kronika I Drużyny harcerskiej Męskiej w Ottynii

Jaremcze

Czysty dochód z tej pierwszej udanej imprezy niedługo czekał na dzień, w którym całkowicie pochłonęły go konta pierwszej w dziejach drużyny wycieczki górskiej - wycieczki do Jaremcza i jego okolic. Na wycieczkę tą wyruszyła w dniu 26 czerwca 1931 r. niemal cała drużyna z druhem drużynowym oraz z przybocznym na czele. Po pobieżnym zwiedzeniu samego Jaremcza udano się przede wszystkim w pobliże wspaniałego i sławnego wodospadu Prutu. Tam, przeskakując ze skały na skałę, z kamienia na kamień dotarli harcerze do miejsca, z którego najlepiej można było obserwować, jak ogromne masy wód z szumem i hukiem staczały się z kilkumetrowej wysokości, by utonąć w ogromnej w tym miejscu głębiźnie. Zdumiewali się harcerze, patrząc na groźnie zwisające ponad ich głowami kamienne głowy stromo ku wodospadowi opadającej góry. Dziwowali się, patrząc na niebotyczne świerki cudownie zawieszane w szczelinach niemal pionowej skały. Długo też i z zachwytem patrzyli, jak w migotliwym zwierciadle zielonych a nawet granatowych od głębinny wód przezierały się okoliczne góry i mały skrawek pogodnego nieba.

W drodze powrotnej od wodospadu cała drużyna długo obserwowała potężny a przepiękny wysmukłością linii kamienny wiadukt kolejowy przerzucony nad doliną Prutu. Z pod mostu udano się wprost do legendarnego kamienia Dobosza. I tu nie brak było okrzyków niekłamane go zachwytu. Dość długo też wspinali się wszyscy po ogromnym głazie starając się chociaż przez sam dotyk zgłębić jego tajemnicę. Ale kamień był zimny i nieczuły. Nie przemówił. Mówiły zaś jedynie jego dziwne kształty, krzyż umieszczony na samym szczycie, setki rytych w skale napisów i legenda o największym karpackim zbójniku - Doboszu.



Most w Jaremczu

Po krótkim odpoczynku i rozglądnięciu się pobieżnym po najbliższej okolicy Kamienia Dobosza; po obserwacji pobliskiego mostu i czerniejącej tuż za nim czeluści tunelu wszyscy uczestnicy wycieczki skierowali swe kroki na okrężną szosę wiodącą do Jamnej. Po dłuższym marszu znaleźli się wszyscy u wylotu niedawno obserwowanego tunelu. Jakiś uprzejmy kolejarz wprowadził całą drużynę w głąb tunelu. Idąc tunelem wśród coraz głębszych mroków mieli harcerze możliwość podziwiać konstrukcję samego tunelu oraz mogli przemyśleć, jakiego ogromu pracy trzeba było na wykonanie takiego dzieła. Ze względu na bezpieczeństwo jednak wycieczka nie przeszła całego tunelu tylko jego małą część, poczem zawrócono do Jamnej. Aby jednak nieco zaoszczędzić drogi postanowiono do Jaremcza wracać nie daleką, okrężną drogą lecz górą, ponad tunelem. Wspięła się przeto nasza gromadka na niewysokie lecz dość strome wzgórze. Po krótkim marszu stanęli wszyscy na szczycie; w dole szumiał Prut, przez korony drzew widać było most kolejowy i Kamień Dobosza. Zbocze, którym teraz schodzili wszyscy ku Prutowi było strome do tego stopnia, że nie umiejący chodzić po górach harcerze ledwo się mogli powstrzymać od biegu. Pnie drzew często chroniły mniej ostrożnych przed upadkiem. Nad Prutem czekała drużynę nowa wspaniała przygoda. Trzeba było przejść przez niegłęboką wprawdzie, ale rwącą w tym miejscu rzekę. Przeprawa była dość trudna, gdyż duże głazy pokrywające dno rzeczne były ogromnie śliskie. Udało się jednak przeciągnąć na drugi brzeg mocną linę. Korzystając z oparcia jakie dawała lina powoli, choć nie bez przygód, ale szczęśliwie przechodzili na drugą stronę wszyscy harcerze. Zdradliwe wody Prutu sprawiły, że razem z jednym harcerzem zanurzył się w zimnych nurtach także aparat fotograficzny. Przemokli obaj, harcerz jednak, a raczej jego ubranie szybko wyschło i nie pozostało ni śladu po zabawnej kąpieli,

natomiast nieliczne zresztą zdjęcia z owej wycieczki noszą po dzień dzisiejszy liczne ślady w postaci plam powstałych podówczas na kliszach.

Zakosztowawszy nieco górskiej kąpieli w owej wesołej przeprawie zapragnęli harcerze prawdziwej kąpieli w Prucie. Po długich prośbach zdołali u druha Drużynowego wyjednać sobie pozwolenie na kąpiel w pewnym ściśle określonym, wcale niegłębokim miejscu. Kiedy się zaś wszyscy należycie wypłuskali w orzeźwiającej wodzie orzekli zgodnie, że nie istnieje rozkosz ponad kąpiel w Prucie. Tak orzeźwieni ruszyli w stronę Jaremoza. Kiedy zaś wreszcie wracali pociągiem do Ottynii długo oglądali z okien wagonów przepiękny górski krajobraz; żegnali góry, które niejeden z nich po raz pierwszy miał możliwość zobaczyć. Niejeden też pomyślał, że wycieczkę tę zawdzięcza jedynie drużynie, i ... że harcerstwo to piękna i wielka rzecz.

Tak zakończono pierwszy rok pracy w I-szej męskiej Drużynie Harcerskiej w Ottynii.

Na drugi rok

Po wakacjach do dalszej pracy na terenie drużyny wracali harcerze zasobni w zeszlazoczone doświadczenia, bogaci w nowe pomysły i plany. Wrócili, by wziąć się do pracy ze zdwojoną energią, by na każdym polu wykazać, że dojrzeli do miana prawdziwych, niemalowanych harcerzy. W związku z nowym rokiem szkolnym nie poczynione zostały żadne większe zmiany w składzie drużyny, gdyż w poprzednim roku główny trzon drużyny stanowili uczniowie klasy szóstej, oni więc nadal pozostali w drużynie, jako już uczniowie klasy siódmej. Przestał natomiast pracować w drużynie ogólnie lubiany druh Zubik Kazimierz, gdyż na dalszą pracę nie pozwalały mu zajęcia związane z nauką. Przybocznym drużyny został po jakimś czasie zastępowy pierwszego zastępu, dzisiejszy autor tej kroniki.

Trzeba by wiele miejsca poświęcić zbiórkom, wycieczkom i zamierzeniom drużyny w tym roku, aby je dokładnie, w chronologiczny rzut ujęte przedstawić. Możliwe, że nie starczyłoby miejsca w kronice, by dokładnie opisać te wszystkie przejścia i przygody nagromadzone w jednym tylko roku szkolnym. Dlatego autor tej kroniki ograniczy się jedynie do zobrazowania najistotniejszych momentów w całorocznej pracy drużyny, mniej ważne zdarzenia pomijając milczeniem. Kiedy na początku roku szkolnego przystępowano do pracy w drużynie przede wszystkim z pośród licznych zamierzeń i planów postanowiono wyłonić najważniejsze z zadań na rok bieżący obowiązujących. Na tym punkcie nie było żadnych sprzeciwów, ani też nieporozumień.

- Podwoić wysiłki na każdym polu, nawiązać słaby dotąd kontakt z organizacją, zdobyć możliwie największą ilość młodzików, a nawet i wywiadowców i w związku z tym złożyć przyrzeczenie; zorganizować wspaniałą wycieczkę i wyjechać na obóz w czasie wakacji – oto zadania na cały rok uznane jednoznacznie za najbardziej fundamentalne.

Może nie wszystkie z tych pięknych podstawowych haseł zostały w całości i należycie zrealizowane, ale trzeba przyznać, że główny cel, przewodnia myśl programu harcerskiego doczekały się chwili, kiedy powiedziano „zrobiliśmy wszystko, co leżało w zakresie naszych możliwości, zrobiliśmy dużo”.

Ale nie wyprzedzajmy wypadków. O zdwojeniu wysiłków w tym roku najlepiej może zaświadczyć fakt, że niejeden z harcerzy więcej czasu poświęcał wówczas sprawom związanym z pracą w drużynie i zastępie, jak nauce szkolnej. Nie obeszło się więc bez uszczerbku dla tej drugiej, ale też nigdy z tego powodu nauka w szkole większej szkody nie odniosła.

Jeżeli chodzi o bardzo luźny dotąd kontakt drużyny z organami Związku Harcerstwa Polskiego, to już na początku roku poczyniono szereg ważnych kroków celem ściślejszego zespolenia się z organizacją. Sięgnijmy do dokumentów. W rozkazie Komendy Męskiej Chorągwi Lwowskiej z dnia 24 listopada 1931 roku czytamy:

„Przyjmuję w poczet drużyn Chorągwi I-szą drużynę im. Zawiszy Czarnego w Ottyni”

W innym zaś miejscu z tego samego rozkazu dowiadujemy się o mianowaniu komendantem I-szej Drużyny w Ottyni druha Runiewiczza Mariana. Tak więc młoda drużyna dopiero w drugim roku istnienia została organizacyjnie zatwierdzona. Przydzielono ją jako drużynę próbną do hufca kołomyjskiego. Odtąd coraz bardziej zacieśniały się kontakty między drużyną a Komendą Hufca w Kołomyi. Wreszcie doszło do wizytacji drużyny dokonanej przez samego hufcowego, którym był podówczas działacz harcerski profesor Stiefel Wilhelm. Ci którzy wtedy należeli do drużyny do dnia dzisiejszego zachowali z dnia owej pamiętnej wizytacji przeziębienie wspomnienia. Druh Hufcowy bowiem, taki starszy pan z krótkimi wąsikami, w harcerskim mundurze, umiał sobie zaskarbić serca harcerzy. Po dzień dzisiejszy zachowało się zdjęcie fotograficzne dokonane w świetlicy harcerskiej przedstawiające uśmiechniętego Komendanta Hufca w gronie harcerzy ottynijskich. Tak to po raz pierwszy przekonali się harcerze, że harcerstwo to wielka, na szeroką skalę zakrojona organizacja, która ma mądrych i dobrych opiekunów. Odtąd kontakty z Komendą Hufca były naprawdę trwałe i mocne.

ADAM JULIAN KRÓL

Leeds, 1999 r.

Kołomyjskie czasy

Nasze pierwsze mieszkanie było na rogu Mickiewicza i Kościenej. Stamtąd rodzice przenieśli się na Lwowską (Sławce), a to było miejsce gdzie kołomyjski diabeł mówił dobranoc. Z Lwowskiej przenieśliśmy się na Paderewskiego (dawniej Bańkowskiego) i tu utknęliśmy na kilka lat, ale nie w tym samym domu. Podobno ktoś już zrobił spis mieszkańców Paderewskiego.

Paderewskiego miała dwa sklepy, właściwie – sklepiki, na początku przy ulicy Kraszewskiego był Nuta Teper a dalej bliżej mostku, gdzie Rydelówka przecina ulicę, był sklep p. Ewkiewicza. Po przeciwnej stronie ulicy mieszkali pp. Morawetzowie, gdzie mieszkał z siostrami mój partner do zabaw, Mundeck. Młodsza Jadwiga nauczyła mnie wspaniałego poematu, nie wiem czyjego pióra, „Wisia wisi, Choda chodzi. Wisia spadła, Choda zjadła”. Czy nie wspaniałe?

Między domami Rupnickich i Morawetzów był wjazd do pola ćwiczeń i strzelnicy 49 HPS.

Niezbyt poprawnie trzymam się kolejności numerów domów, skaczę tam i z powrotem po całej ulicy. Obok sklepu Tepera mieszkał sędzia Stankiewicz, a po przeciwnej stronie ulicy – sędzia Hlawaty. Zaraz za mostkiem, idąc w górę po lewej stronie, mieszkał sierżant Gold, którego syn Edward był moim towarzyszem zabaw (w piątej klasie powszechnej zmarł na zapalenie opon mózgowych). Dalej w stronę Baginsbergu mieszkały rodziny pp. Ripplów, Biberów, Baczów i Junych. Więcej nazwisk nie chce się pojawić w mojej pamięci. Z domu, który stał na wprost bramy wjazdowej do koszar, przenieśliśmy się do domu p. Chomickiej, między domami Morawetzów i Goruków. Pan Goruk był urzędnikiem sądowym, żona Czeszka, a syn Władziu był moim towarzyszem zabaw zanim zaczął naukę w ukraińskim gimnazjum. Niewiele czasu upłynęło gdy znów byliśmy w zamęcie przenosin. Tym razem na Okrężną, która łączyła Paderewskiego z cegielnią Ramlera. Wprowadziliśmy się do nowego domu p. Illuk, wdowy, której syn studiował prawo.

Mój Ojciec był raczej utalentowanym człowiekiem, będącym stale w kolizji z obowiązkami, jakie rodzina i praca na niego nakładały a które sam na siebie nałożył. Grał na skrzypcach i na fortepianie, prawda że nie koncertowo ale grał. Kolekcjonował znaczki, hodował kaktusy, projektował i budował własne żyrandole, w latach dwudziestych skonstruował własne radio – okazałą skrzynię z akumulatorami, lampami itd. Jeździliśmy rowerami do Pystynia (ks. Grzesiowski miał bardzo dobre kwaśne mleko), Kosowa i innych okolicznych miejscowości. Pewnego dnia zdecydował, że z córką pojedzie na rowerach z Kołomyi do Gdyni przez Warszawę a wróci przez Augustów, Brześć do domu. Następnie zbudował własny kajak na dwie osoby. Ponieważ miał zdolności do muzyki, koniecznie chciał aby jego dzieci nauczyły się grać na skrzypcach lub fortepianie. Wszystkie te zajęcia były kosztowne, podejrzewam więc, że dlatego rodzice byli w stałej pogoni za tańszym mieszkaniem.

Gry na fortepianie uczył mnie p. Jerocham Reich, bardzo dobry pianista, który grywał do lwowskiego radia, a w wolnych chwilach był aplikantem adwokackim. Gdy mieszkaliśmy na Okrężnej, w koszarach mieszkał płk Grabowski z żoną i dziećmi: Zbigniewem, który poszedł do szkoły kadetów i córką Janką. Janka poza tym że była urwisem, była uczennicą u Urszulanek. Co ważniejsze nad wszystko (w onych czasach), miała rower „Łucznik” z drewnianymi obręczami i felgami. Rower taki 60 lat temu miał wartość równą chyba dzisiejszemu drogiemu samochodowi sportowemu. Pewnego dnia szedłem w górę Padarewskiego, gdy Janka dogoniła mnie na swoim rowerze i zaproponowała, że jeśli chcę podwiezie mnie na sztyfcie. Sztyft to była nakrętka na osi tylnego koła długości czterech a może pięciu centymetrów, na czym można było stanąć i jechać. Janka poczekała na miejsce gdzie krawężnik był najwyższy i wtedy zdecydowała się zjechać na jezdnię. Oczywiście ja zostałem zrzucony ze sztyftu ale nie całkowicie, bo sztyft zaczął spodnie nowego munduru i jak nożem rozciął je do kolana. Rozpacz. Nowy mundur. Janka i rower znikli. A ja będąc zaradnym chłopczyną szybko poszedłem do sióstr Nawalkowskich, które własnymi włosami tak wspaniale naprawiły moje portki, że chyba dwa lata rozdarcie nie było widoczne. Pan Nawalkowski był nauczycielem w jednej z licznych szkół Kołomyi. Miał dwie córki,

Stefę (imienia drugiej nie pamiętam) i syna Romka. Idąc Okrężną do Paderewskiego przy samej drodze po prawej był kawałek pola, na którym p. Pudło zaczął budować dom przed samą wojną. Następna posesja w stronę Baginsbergu to był dom Nawalkowskich.

Przed wojną znowu zmieniliśmy mieszkanie. Znaleźliśmy się na Sienkiewicza w domku-oficynie u pp. Sozańskich. Oboje Sozańscy wraz z córką Wandą wojny nie przeżyli, jedynie córka Ala zdołała przetrwać wojnę (po wojnie korespondowała z moją matką), a syn Tadeusz był w 2 Korpusie. Po drugiej stronie drogi, idąc do Prutu po prawej stronie, mieszkał p. Czekałowski profesor gimnazjalny. Syn jego po wojnie został docentem na wydziale bakteriologii w Leeds, gdzie odkrył nowy wirus, który obecnie nosi jego nazwisko.

I nadszedł wrzesień 1939 roku. Przestałem chodzić do szkoły, chyba dlatego że rodzice obawiali się mego talentu do gadulstwa. Przed końcem roku 1939 rodzice zdecydowali, że nas trzech będzie się starało przejść na Węgry a kobiety, jako mniej zagrożone, pozostaną na miejscu. Gdzieś w połowie grudnia wybraliśmy się do Horodenki, gdyż tam mieliśmy spotkać przewodnika. Przewodnik okazał się sowieckim agentem. Jednak mój brat ze swoim kolegą Otkiem Zimandem zdołali dostać się na Węgry. Ojciec i ja wróciliśmy do domu. Brat przez Grecję, Włochy, Hiszpanię dostał się do 2 Dywizji, której walki skończyły się przejściem do Szwajcarii. Brat jak wielu innych nie przeszedł do Szwajcarii lecz przedostali się do Podhalan a następnie do Anglii, z Anglii do Narviku, z Narviku do Maroko, z Maroko do Włoch z Kompanią Komandosów.

W tym czasie reszta rodziny dostała się pod czułą opiekę słoneczka narodów. 13 kwietnia 1940 roku do domu przyszło sześciu uzbrojonych po zęby żołdatów i jakieś podmiejskie szumowiny. To był ostatni raz kiedy widziałem Ojca. Ojciec został wywieziony do Charkowa, gdzie w maju dostał kulę w tył głowy. Jego nazwisko jest na liście przekazanej polskiemu Rządowi przez rząd Ukrainy pod numerem 553. Tej samej nocy około trzeciej nad ranem następną wizyta, tym razem z zaproszeniem dla reszty rodziny do zwiedzenia Kazachstanu. Znowu można by dużo i długo pisać. Przed amnestią matka była w Ałma Acie w więzieniu, ja w kryminale UKGB w Semipałatyńsku, a siostra w sowhozie w Czałabaju. Po komisji poborowej miałem jechać do Ługowoj, ale moje dokumenty zaginęły. Do Ługowoj jechałem na gapę, gdybym był przyłapany dokończyłbym żywota w Rosji. Szczęśliwie w Ługowoj przyjęto mnie, mimo że nie miałem żadnej bumagi. Zostałem przydzielony do 10 dywizjonu ciężkiej artylerii plot. 29 marca 1942 roku po okropnej podróży przez Morze Kaspijskie znaleźliśmy się w Pachlewi. W tym czasie kołomyjscy mieszkańcy Czałabaju: rodziny Lenków, Ilnickich, Masztalerzy, Allerhandów, Wielgoszów, Modlingerów i wielu, wielu innych powoli zaczęli bez żalu jechać na południe bliżej granicy, aby wydostać się z rajku.

Młodość u stóp Gorganów (2)

Nadszedł czas i Ojciec zaprowadził mnie do szkoły. Ileż było zdziwienia wśród dzieci, kiedy dowiedziały się, że mam być w trzeciej klasie. "Taki mały do trzeciej klasy?" Dość szybko zżyłem się z kolegami, a najlepszym okazał się Broniek Doliński. Choć pół roku młodszy ode mnie, był wyższy i lepiej zbudowany. Nic dziwnego, wychowany na kukurydzy i kwaśnym mleku no i życie miał twardsze. Specjalistą od gotowania kaszy kukurydzianej czyli tzw. mamałygi albo kuleszy był jego ojciec Ferdynand. Przy jedzeniu nie wolno było ani mlaskać, ani siorbać złośnie mołoko. Dlaczego złośnie mołoko? Otóż pewnego razu, kiedy zachorował pan Ferdynand, matka wysłała Bronka na wieś, aby kupić zsiadłego mleka, co miało pomóc ojcu. Poszliśmy razem. Hucułka, która przyniosła mleko z komory powiedziała: „ale se złośnie mołoko”, co miało oznaczać, że jest bardzo kwaśne. Popatrzyliśmy na siebie i o mało nie parsknęliśmy śmiechem. Od tej pory na zsiadłe mleko mówiliśmy złośnie mołoko. Najgorszym kolegą był Edek Koerner, który zawsze bił mnie dużymi roboczymi rękawicami, jakie nosił zimą do szkoły. Jak się później okaże Edek był synem Folksdeutscha (Volksdeutscha).



Bitków, uczniowie klasy V.W środku siedzi nauczyciel Faryniarz, w 1. rzędzie od góry 1. z prawej Zbigniew Mucha (fot. ze zb. Z. Muchy)

W szkole nie byłem najpilniejszym uczniem chociaż przechodziłem z klasy do klasy i przynosiłem średnie świadectwa. Bardzo lubiłem geografię i botanikę, to też i stopnie z tych przedmiotów zawsze były najlepsze. Uczyłem się też języka ruskiego i niemieckiego. Tego ostatniego uczyła nas starsza pani Sekundowna. Była bardzo niska i gruba i wyglądała jak antałek. Nazwaliśmy ją genossen Pawłowa, a to z powodu pewnej czytanki gdzie występował genossen Pawłow. (To naturalnie było już w siódmej klasie). Kiedyś przeczując, że będę pytany z niemieckiego, nauczyłem się czytanki na pamięć. Oprawiłem książki i zeszyty w czarny papier (widocznie taki miałem pod ręką) i rzeczywiście Pawłowa mnie wezwwała. Opowiedziałem czytankę, pokazałem zeszyt i dostałem piątkę. Później nie byłem już pytany i na świadectwie przyniosłem do domu ocenę bardzo dobrą z niemieckiego. W niemieckim zresztą pomógł mi dużo Ojciec, który kiedyś służył w wojsku za Franz-Józefa i jako „unterofficir” nauczył się tego języka.

Jak każdy młody chłopak, a było to zaraz po przyjeździe do Bitkowa, biegalem po górach i szybko zerwałem nogi. Idąc raz do szkoły, poczułem silny ból w nogach, upadłem i nie mogłem dalej iść. Zaniesiono mnie do Kasy Chorych. Tu chodziłem na lampy kwarcowe i wkrótce poczułem się dobrze. Jednakże w wojsku musiałem leczyć swoje nogi jeszcze dwa razy.

W 1937 roku Ojciec kupił w Bitkowie od pewnego Ukraińca Uhery dom. Był on usytuowany na skraju Bitkowa przy głównej drodze wiodącej z Nadwórnej. Cybyk, Mola, Koroluk, Kuryluk i Paczek to nasi najbliżsi sąsiedzi. Pewien młody chłopak ukraiński, który dostarczał nam mleko ze wsi, przyniósł młodego szczeniaka i sprzedał go Matce za dziesięć groszy i kromkę chleba. Nazwaliśmy go Reksio. Wiele było kłopotów, ale i radości z tym Reksiem. Jeśli wieczorem pozostawiło się obuwie przed drzwiami, rano trzeba było butów szukać daleko za domem w leszczyńowym zagajniku, a na ich miejscu znajdowało się różne stare szmaty, miotły brzożowe itp. Najzabawniejsze jednak było jak jechały samochody szczególnie wieczorem kiedy na ścianie sąsiedniego budynku od reflektorów odbijały się płot, drzewa. Reksio tańczył wtedy w środku bramki między słupkami i szczekał jakby chciał do tego obrazu dodać głos. Na Reksia jeszcze przyjdzie czas, wrócmy zatem do szkoły.

W 1938 roku Ukraińcy zaczęli manifestować swoje nacjonalistyczne poglądy. Pamiętam jak pewnego razu ze wsi na kopalnię przemaszerowała duża grupa Ukraińców, niosąc niebiesko-żółtą flagę, śpiewała jakąś swoją pieśń. We wsiach ukraińskich zaczęły powstawać czytelnie, a w szkole zmieniono język ruski na ukraiński. Kiedy kierownik szkoły oznajmił nam, że teraz będziemy uczyć się języka ukraińskiego a nie ruskiego, chociaż był to ten sam przedmiot, powiedziałem że ukraińskiego nie będę się uczył. I nie uczyłem się, aż kierownik musiał wzywać Ojca do szkoły. Nauczycieli jakich zapamiętałem, to Żelisko o bujnej, falującej czuprynie, który często chodził w mundurze porucznika WP, a poruszał się z gracją jak przystało na oficera. Starsza pani ęga i wysoka Hudoli, która jak dowiedziałem się dopiero tu w Legnicy od pana Dorocinkowskiego właściciela restauracji „Tivoli”, była przed Zawadowskim kierowniczką szkoły, Janina Zabłocka później po mężu Szymańska. Ona to właśnie zemdląła na lekcji kiedy kolega Józek Przybyła bawił się korkami do pistoletu i korek mu wystrzelił. Nauczyciel Faryniarz wysoki blondyn, Steliga niski brunet, brunetka Jankoszówna i bardzo miła i lubiana przynajmniej przeze mnie Lenartówna, która później

wysła za mąż za inżyniera Berezowskiego. Ksiądz, który uczył mnie religii, to ksiądz Tytus Korczyk późniejszy Dziekan w Legnicy.



Bitków, nauczyciele szkoły powszechnej na dziedzińcu szkolnym.
Siedzą od lewej: Sekundówna, Hudoli, Zabłocka. Stoją od lewej: Faryniarz, Żelisko, Michał Zawadowski – kierownik szkoły, ks. Tytus Korczyk, Steliga.
(fot. ze zb. Z. Muchy)

Chociaż jak wspomniałem, nie byłem najpilniejszym uczniem, to jednak nie byłem ostatni, skoro należałem do Harcerstwa. Przed wojną, aby zostać harcerzem, trzeba było sobie na to zasłużyć, nie każdy mógł nim zostać. Nasz zastęp „Lisów białych” nosił biało czerwone chusty, a z prawego ramienia zwisały krótkie biało-czerwone wstążeczki. Często organizowaliśmy piesze wycieczki. Idąc raz przez góry do wsi Sołtwinia tzw. Szlakiem Generała Józefa Hallera należało pokonywać różne przeszkody. Jedną z takich przeszkód było pastwisko ogrodzone kolczastym drutem. Każdy pokonał przeszkodę z rozważą, a ja zawsze musiałem coś sknocić. Postanowiłem druty przeskoczyć. I przeskoczyłem, ale spodnie na tyłku trzeba było w trzech miejscach zszywać. W drodze powrotnej natrafiliśmy na ukraińską zabawę na polanie. Przystanęliśmy, ciekawi popatrzeć jak się bawią. W pewnej chwili usłyszeliśmy głos: „*Hej wy Lachy proklatyje, wy czoho tut ...*”. Kilku z nich powyciągało noże kierując się w naszą stronę. Całe szczęście, że byliśmy szybsi. Gnali za nami i krzyczeli „*rizaj Lechiv*”. Do domu wróciliśmy późną nocą. Innym razem wybraliśmy się na ruiny zamku we wsi Pniów koło Nadwórnej. Każdy zabrał z domu coś, z czego można by przygotować obiad. Po przybyciu na miejsce zostałem kucharzem. Razem z

Jarkiem Pawukiem rozpaliliśmy zaraz ognisko i każdy wyłożył z plecaka to co zabrał z domu. Były ziemniaki, jakieś mięso, kielbasa, smalec, słonina, cebula. Zastęp wyruszył na rozpoznanie terenu i zdobywanie sprawności harcerskich, a ja z Jarkiem zabraliśmy się do obierania ziemniaków. Kocioł z ziemniakami wnet się zagotował i gotował się tak długo, aż zrobiła się jednolita masa czyli jak to nazwaliśmy paciara. Pozostałe produkty podsmażyliśmy na patelni i wrzucili do tej paciary. Wystąpiłem Jarka do wsi, aby kupić zsiadłego mleka. Jarek przyniósł mleko słodkie. Wlałem to mleko do kotła, zamieszałem i „wojsko” wcinąło aż im się uszy trzęsły. Sprawność kucharza zdobyłem. Tym razem wróciliśmy spokojnie wieczorem do domu. Bywaliśmy jeszcze w Jaremczu, Delatynie, w Dorze. Kiedy próbowałem wykąpać się w Prucie, woda poniosła mnie bijąc zadkiem po kamieniach z pięćdziesiąt metrów. Ot artysta ludowy ... Zwiedzaliśmy ruiny zamku w Maniawie oraz pomnik Jozefa Hallera w Mołotkwie

Uczono mnie w harcerstwie, uczono w szkole i w domu zawsze mówić prawdę. Jednak skłamałem raz Ojca. Ojciec kupił mi wieczne pióro za dwa złote i czterdzieści groszy. Nie długo cieszyłem się tym piórem gdyż jak się słusznie domyślałem ukradł mi go kolega Jaremko. Ojciec widocznie zauważył brak pióra. Powiedział kiedyś: „*Zostaw mi swoje pióro, muszę napisać list*”. Dobrze, odpowiedziałem i szybko wybiegłem aby gdzieś takie pożyczyć. Podobne miał starszy brat Bronka, Józek Doliński. Ojciec napisał list i pyta: „*Czyje to pióro*”. Przecież moje, odpowiedziałem. Nie za stratę pióra, ale za kłamstwo Ojciec kazał mi klęczeć w kącie na kaszy greckanej. Sam poszedł z listem na pocztę. Dobre serce Matki nie pozwoliło mi cierpieć na kaszy i powiedziała: „*Wstań i nie kłam, bo ojca nigdy nie okłamiesz*”. Ojciec zresztą też nie był bez serca, czemu niejednokrotnie dał wyraz. Kiedyś pojechał do Nadwórnej i w wypożyczalni wypożyczył dla mnie rower, abym nauczył się jeździć. Po dwutygodniowej nauce, kiedy już dobrze jeździłem, pojechaliśmy obaj i Ojciec kupił mi piękną półbalonówkę. U innego Żyda zafundował mi nowy garnitur i szczęśliwi z zakupów, z rowerem na bagażniku autobusu wracaliśmy o domu. Rower i nowe ubranie, a może i moje wesole usposobienie wzbudzały zainteresowanie koleżanek. Zaczęła się wielka miłość do Ziuńki Krzywickiej, córki malarza, który namalował piękny, duży obraz do naszego kościoła, Podobała mi się Ziuńka, więc na jej cześć zacząłem tworzyć romantyczne wiersze. Banalne czy nie, własne czy gdzieś zasłyszane, ale pisałem:

Jak rosa błyszcząca na trawie

Jak pięknie pachną bzy

Wśród dziewcząt w szkolnej ławie

Najmilszą mi jesteś ty.

Ojciec mój organizował w Bitkowie przedstawienia Amatorskich Zespołów Teatralnych. Bywałem zawsze na przedstawieniach i z coraz większym zainteresowaniem sięgałem do biblioteczki Ojca, aby przeczytać jakąś sztukę. Może dlatego nazywano to sztukami, gdyż jak zapamiętałem, nie grano tam żadnej poważniejszej pozycji. Sprowadzał też Ludowy Zespół Teatralny z Hołoskowa, w którym występowała niemal cała rodzina Rodziców. Nieraz rozwieszałem ich afisze po płotach. Kiedyś nie wytrzymałem i powiedziałem do Ojca: „*Tato, a może mnie weźmiesz na scenę, nie masz dla mnie jakiejś roli?*” Owszem, mam, powiedział Ojciec serdecznie rozbawiony moimi słowami.

Będziesz rozwieszał afisze po płotach i sięgnął po pudełko z przednim tureckim. Weź maszynkę i zrób mi parę papierosów, tylko nie ubijaj za mocno. Naprawdę, Tato ... ja przecież już ... urwałem, gdyż Ojciec spojrzał na mnie surowo. Umiem szczekać jak pies, zacząłem po chwili i tu zademonstrowałem ujadanie: hhhha! ... hha! ... hha! ... zakastałem się, gdyż ujadanie to wykonywałem przez gardło. Rozbawiło to Ojca, ale spojrzał na mnie i rzekł: czytałeś sztukę ... tak, odpowiedziałem nieśmiało, leżała na kredensie ... Była to sztuczka p.t. „Kobieta górą”. Ojciec jak zwykle w takich chwilach zmierzył mnie wzrokiem i zaczął fuczeć przez nos. Wiedziałem co znaczy to fuczenie. W takiej chwili wołałem się już nie odzywać, zająłem się więc nabijaniem gilz tytoniem. Kiedy zrobiłem już kilka sztuk, Ojciec podszedł, wziął jednego i zapalił. Zauważyłem, że rozjaśnia Mu się twarz, ale nie śmiałem kontynuować rozmowy. Ojciec przeszedł się kilka razy po pokoju, wziął sztukę z kredensu, usiadł i zaczął czytać. Nabijałem jeszcze przez chwilę gilzy tytoniem, ale znudziła mi się wnet ta robota, odłożyłem maszynkę i postanowiłem pójść do Bronka. Kiedy skierowałem swe kroki ku drzwiom, Ojciec oderwał wzrok od książki. Gdzie idziesz, zapytał, lecz w głosie Jego wyczułem jakiś inny, łagodny ton. Poczekał, wstał, popatrzył na mnie, roześmiał się i powiedział: zaszczekaj jeszcze raz. Serce zaczęło walić mi jak młotem. A więc jednak. Ha! ... hha! ... zacząłem warczeć, szczekać jak zwariowany, czując że wreszcie będę na scenie. Dobra, powiedział Ojciec, starchy. Tylko jak nie poprawisz stopnia z rachunków – koniec z aktorstwem. Tato, naprawdę? Będę na scenie? Będziesz, tylko nie na scenie lecz za kulisami. Będziesz grał rolę psa. Widząc, że poprawił Mu się humor, zażartowałem: Tato, słowo unterofficira? Słowo, tylko rachunki ... Jak szalony pędziłem teraz do Bronka aby się pochwalić, że będę grał na scenie razem ze starszymi. Odejdź, śpieszę się, powiedziałem do Edka Ułanowicza, kiedy namawiał mnie abym poszedł zagrać w piłkę, a w myśli dodałem: ja, aktor będę grał w piłkę ...Bronek oniemiał z wrażenia, a nazajutrz cała klasa spoglądała na mnie z zazdrością. Patrzcie no, jaki ważny, aktor ... Łyso mi trochę było po przedstawieniu, kiedy wszyscy pytali: no i co, aktor ... nie widzieliśmy ciebie na scenie, ha, ha, ha ... Odczepcie się, nie widzieliście, ale słyszeliście mój głos. Odtąd zostałem Reksiem. Na mój widok koledzy zaczęli szczekać na zawołanie, a nawoływaniom nie było końca „Reksio do nogi, Reksio bierz go ...”. Ale i to się wnet skończyło. Przyszło inne przezwisko, ale jedno było dla mnie ważne. Wystąpiłem razem ze starszymi i to był mój wielki sukces. *cdn.*

RUTA WERMUTH

Spotkałam ludzi ...

[...] W styczniu 1939 roku, rodzice sprawili mi ekwipunek narciarski, którego częścią były te właśnie buty. Na południe od naszego miasta wznosiła się wysoka – tak mi się przynajmniej wtedy wydawało – Góra Oskrzeșińska, nazwana tak od wioski leżącej u jej podnóża. Ile moich najwspanialszych wspomnień wiązało się z tą właśnie górą! Latem stanowiła cel wycieczek moich braci i ich kolegów oraz

koleżanek. Czasami zabierali i mnie. Były to przeważnie wycieczki dwudniowe. Szło się doliną Prutu, a nocowało we wsi, w jakiejś huculskiej stodole, na pachnącym sianie. W prawdzie nieco drapało i nieraz przemknęła się mysz, ale cóż to znaczyło wobec świetnej przygody, jaką była taka wycieczka. Wczesnym rankiem następnego dnia, trzeba było przepłynąć rzekę promem, ponieważ jedyny kołomyjski most na Prucie, znajdował się daleko, po przeciwnej stronie, w kierunku na wioskę Werbiaż. Prom był po prostu wielką, drewnianą łodzią z płaskim dnem i wysokimi burtami. Oprócz pasażerów były na nim również wiklinowe kojce z gładzącym i gęgającym drobiem. Czasami zdarzał się nawet jakiś kwiczący wniebogłosy prosiak, uwiązany na postronku u tylnej nogi i żałośnie meczący cielak. Właściciel promu, pobrawszy opłaty, stawał na dziobie i silnymi pchnięciami długiego drąga kierował tę swoistą arkę Noego na środek rzeki. Siedziałam na ławeczce między Salkiem i Pawłem, prom kołysał się i trzeszczał, a mnie serce podchodziło do gardła ze strachu czy aby nie potopimy się w wartkim nurcie Prutu. Ale nie zdradzałam się z tym. Wprost przeciwnie. Nadrabiałam miną. Chłopcy nie mogli się dowiedzieć jak bardzo się boję, ponieważ następnym razem nie wzięliby ze sobą takiej ciamajdy.



Góra Oskresiniecka w Kołomyi, fot. B.K. 1999

Zimą jeździliśmy tam na narty. Dzwoneczki u końskiej szyi dzwoniły wesoło a my mknęliśmy w saniach w poprzek zamrożonej rzeki, po nieskazitelnie białym, skrzypiącym śniegu. Potem cała gromada wysypywała się z sani, a Salek uczył mnie jeździć na nartach. Na początku stałe się wywracałam, ale szybko złapałam dryg i szło mi coraz lepiej. A ile było przy tym radości i śmiechu. Niebieskim,

zimowym zmierzchem, wracaliśmy do domu. Frania czekała z ciepłą, prosto z pieca drożdżowego „buchką”⁶ i gorącą herbatą. Czy to wszystko naprawdę kiedyś było? ... [...]

MIECZYŚLAW BŁASZCZYK

Tarnów, 1998r.

Moje spotkania i rozmowy

Tego pana to wszyscy znamy, jeżeli nie osobiście to z widzenia. Mijamy go na ulicy, obok sklepów. Trochę pochylony, idzie jednak dziarsko, pomagając sobie laską. W drugiej ręce reklamówka, na pewno z jakimiś drobiazgami niezbędnymi w życiu codziennym. Nie korzysta z miejskiej komunikacji, z uwagi na wiek ma przecież darmowy przejazd. Maszeruje rzeško ulicą i mija zakorkowane na jezdni samochody. Kłania się przechodzącym znajomym, mając im zawsze coś do powiedzenia.

Pana Augusta Błażeja z ulicy Urwanej znam od kilkunastu lat. Przy spotkaniu ze mną „salutuje” mi zawsze laską, wywijając nią niby oficerską szablą i woła: „O, tego pana to dawno nie widziałem”. Powagę zachowujemy tylko w niedzielę i święta, spotykając się na drodze do kościoła.

Co mnie tak wiąże z panem Augustem?

Przed wojną mieszkałem na Kresach Wschodnich, w Kołomyi. Nieraz mi pan August powiedział, że jestem „Anglik z Kołomyi” lub nazywał Huculem z połoniny. I słusznie. Jestem przecież kołomyjaninem, a p. August przed wojną, jako poborowy, był wcielony do wojska i służył w 11-tym Pułku Artylerii Polowej (PAL) w Kołomyi. Mało tego, mój rodzinny dom usytuowany był niedaleko koszar, gdzie bombardier August ćwiczył musztrę, obsługiwał konie, a idąc na przepustkę ulicą Folwarczną, przechodził chodnikiem koło mojego domowego ogródka, pełnego majowego jaśminu czy jesiennych astrów. Często z okien mojego domu obserwowałem maszerujący dywizjon artyleryjski, lub jadący na koniach i ciągnący działa oraz skrzynie amunicyjne. Natomiast zawsze w niedzielę jako uczeń szkolny maszerowałem za dywizjonem.

Mszę św. szkolną mieliśmy w Kościele Parafialnym o godz. 9-tej. Po zbiórce w szkole, ubrani odświętnie, w zwartej kolumnie wkraczaliśmy do kościoła. Po nabożeństwie biegłem do Kościoła OO. Jezuitów przy ul. Kraszewskiego, bo o godz. 10-tej rozpoczynała się msza św. dla wojska. Odprawiał ją zawsze ksiądz Józef Kośmider, zamordowany w 1943 r. przez Niemców. W nabożeństwie uczestniczyła zawsze kompania 49 Huculskiego Pułku Strzelców, w pelerynach i kapeluszach z piórem wraz ze swoją orkiestrą pułkową i mój dywizjon 11-go PAL-u. Po nabożeństwie żołnierze na czele z orkiestrą wracali do koszar. Piechota skręcała z orkiestrą w ulicę Paderewskiego, a moi artylerzyści przechodzili ulicą Ukraińską na ulicę Folwarczną do swoich koszar, a za nimi i ja wraz z kilkoma kolegami. Wielką przyjemnością było maszerowanie za wojskiem, a tym bardziej za artylerzystami. „Chłopczy wybierani”, w zielonych mundurach, w czapkach

⁶ Buchta – drożdżowe, zawijane ciasto z cynamonem i rodzynkami.

rogatywkach, w butach z cholewami ozdobionymi ostrogami, z karabinami przewieszonymi przez ramię. Czy maszerowałem wtedy za p. Augustem? Nie wiem, ale wydaje mi się, że tak.

Oglądałem się za odchodzącym panem Augustem. Idzie, a swoją laską odtrąca porzucone na chodniku puste torebki po chipsach lub kawałki gazety. Widocznie te mu przeszkadzają, bo lubi wojskowy porządek.

Kończąc, uparcie narzuca mi się tekst wiersza Marii Konopnickiej:

*Młodość jest życia rzeźbiarką,
Co wykuwa żywot całej,
Choć przemija ona szparko,
Cios jej dłuta zawsze trwały.*

moja szkoła, moja klasa

ROMAN LEWICKI

Album wspomnień, Londyn 1998r

Album wspomnień (2)

Z biegiem czasu zmieniło się życie w kamienicy. Sędzia Dobrucki awansował do Sądu Apelacyjnego we Lwowie, a później do Sądu Najwyższego w Warszawie, gdzie zamieszkał wraz z rodziną przy Alei 6 Sierpnia, dokąd zajeżdżałem podczas moich wizyt w Warszawie w latach przedwojennych.

Władek, wtedy urzędnik „Orbisu”, przyjmował mnie hucznie i po prostu szalał z radości oprowadzając po stołecznych lokalach i teatrach. Dla mnie człowieka z prowincji, każdy pobyt w Warszawie był prawdziwą atrakcją, niezapomnianą do dzisiaj.

Zdażyłem zobaczyć „Adrię” i „Paradise” – lokale wypełnione śmietanką towarzyską, łącznie z Wieniawą-Długoszowskim i jego sztabem.

Po powrocie żałowałem tylko, że tak mało czasu poświęcałem reszcie rodziny, której później już nie spotkałem – panu Kazimierzowi, a szczególnie pani Dobruckiej, którą bardzo lubiłem za jej skromność, pracowitość, poświęcenie dla rodziny i matczyzny do mnie stosunek.

Moje studia uniwersyteckie we Lwowie i późniejsze gospodarowanie w Pererowie nie pozwalały na częste wyjazdy do Warszawy, zaś powojenne stosunki polityczne w Kraju to wykluczały, niemniej gdy w latach 1970 wybrałem się w odwiedziny do siostry w Polsce, odnalazłem Władka Dobruckiego w Warszawie. Jego brat Kazik zginął w Powstaniu Warszawskim, a rodzice dawno zmarli. I tak się skończyła wielka przyjaźń z rodziną, która mi była zawsze bliska i droga.

Wkrótce potem zmarł nagle również Władek.

Jednym z najbardziej niezapomnianych wydarzeń, jakie przeżywałem w młodych latach razem z Władkiem Dobruckim był Zlot Harcerstwa w Warszawie w 1924r. Były to czasy powojenne, w warunkach jeszcze prymitywnych, ale cała

impieza wskazywała na to, że młode władze polskie, z Józefem Piłsudskim na czele, zaczynają od młodzieży licząc, że pomoże Kraj odbudować od podstaw, przede wszystkim usunąć ślady rosyjskiego zaboru. Zabrakło czasu, ażeby usunąć gruzy niedawno zburzonego prawosławnego soboru i oczyścić plac w centrum stolicy. Zmiany przedsięwzięte i powrót do dawnego wyglądu wywarły na wielu silne wrażenie, o czym dyskutowaliśmy w namiocie do późnej nocy.

Wyprawa do centrum miasta na ogólną defiladę przed komendantami harcerskimi i wyższymi władzami zakończyła się po powrocie na Siekierki nieprzewidzianą przygodą. Kiedy zmęczeni całodziennym chodzeniem, pełni wrażeń wróciliśmy do obozu, zastaliśmy namioty przewracane, kołki powyrywane, a nasze rzeczy leżące w wodzie po ulewnym deszczu i wichurze, jaka przeszła nad Warszawą. Zziębnięci i przemoczeni, nie mogliśmy się początkowo pozbierać, ale nasz drużynowy Kazik Krasnopolski, który nie tolerował słabości energicznie zapędził nas do pracy. Wkrótce namioty stanęły – może nie tak prosto jak przedtem, i szybko, po odśpiewaniu „Wszystkie nasze dzienne sprawy ...”, zapadliśmy w zasłużony sen. Rano piękna pogoda i słońce pomogły nam wysuszyć koszulki i spodenki harcerskie.

Humory się poprawiły, kiedy Władek znalazł list, który miał doręczyć znajomemu ojca, mieszkającemu przy ul. Królewskiej 10. Jeżeli wzruszony naszym losem jako „powodzian” znajomy ojca ofiaruje mu parę złotych, Władek obiecał nam przynieść paczkę pierników toruńskich. Ale niestety opowiadania o burzy nad Siekierkami nie wywołały współczucia i oprócz serdecznego przyjęcia kawą i ciastkami Gajewskiego żadnej pomocy pieniężnej Władek nie otrzymał.

O przygodzie i deszczu zapomnieliśmy szybko, ale o defiladzie i widzeniu Prezydenta Rzeczypospolitej opowiadaliśmy po powrocie każdemu – kilkakrotnie.

W innych warunkach, po latach, w 1935r., wziąłem udział w Zlocie Harcerstwa w Spale, kiedy defilada odbywała się – również w deszczu – przed prezydentem Ignacym Mościckim. Równie niezapomniane przeżycie!

Wuj Emil Załucki wrócił z wojny jako oficer sztabowy armii austriackiej, ale bez nogi, amputowanej do biodra. Ciocia Marylka, młoda jeszcze i piękna, ale wątłego zdrowia, niewymownie cierpiała z powodu kalectwa męża.

Szczęśliwie jednak kupili w Kołomyi dom przy Alei Wolności (dawna ul. cesarza Franciszka Józefa) z dużym ogrodem i sadem oraz oszkloną werandą. Wuj pracował w banku.

Zaraz po wojnie dom Załuckich prowadzony był na wielką skalę i zawsze pełen gości.

Jako 9-10-letni chłopak byłem często świadkiem spotkań miejscowej inteligencji i dzisiaj, kiedy się staram przypomnieć te czasy dziwię się, że tyle nazwisk pamiętam. Może dlatego, że były to osoby później spotykane na różnych stanowiskach i w różnych okolicznościach.

Starostą w tym czasie był p. Pawlikowski, a komisarzem Policji Państwowej p. Urbanowicz, a najbardziej znany był bardzo lubiany przez wszystkich dowódca 49 pp, płk Benon Mond, po którym dowództwo pułku przejął płk Grabowski, również przez wszystkich poważany i lubiany. Pamiętam jego żonę pchającą wózek z niedawno urodzonym synem, którego dzisiaj można zobaczyć grającego w tenisa ze swoją żoną na kortach w okolicy Ealingu.

Do dość częstych gości w domu Załuckich był znany z czasów wojny płk Alików. Słuchałem z ciekawością jego opowiadań wojennych, zwłaszcza ze służby w armii carskiej. Przeszkadzał mu w tym pułkownik armii austriackiej Antoni de Chitry, sławny w tym czasie akwarelista, portretujący typy huculskie w pięknie haftowanych kolorowych serdakach i koszulach. Poza malowaniem był gorliwym zwolennikiem węgierskiego tokaju.

Pamiętam zabawę urządzoną w ogrodzie Załuckich: młodzi przy dźwiękach rumuńskiej orkiestry cygańskiej pod gołym niebem wśród drzew oświetlonych lampionami wesoło tańczyli do rana, a tymczasem w pokojach poważniejsze towarzystwo przy dwóch fortepianach (jeden babci) zorganizowało koncert pieśni legionowych śpiewanych przez panią Wiśniewską, dyrektorkę szkoły rytmiki.

Wuj Milek, który miał piękny głos popisywał się pieśniami neapolitańskimi i dostał wielkie brawa za pieśń „Wróć do Sorrento” przy akompaniamencie cioci Maryli Załuckiej. Marian Bartł, żołnierz Legionów, grał z werwą na fortepianie i śpiewał „Wizję sztyldwacha”.

Nastroj entuzjazmu i radości ze zwycięstwa nad bolszewikami sprzyjały życiu towarzyskiemu uprawianemu w domu Załuckich.

Często przychodziłem do wujostwa Załuckich bawić się ze Stefanem, młodszym ode mnie o parę lat. Oczywiście później dołączył do nas Marian (Janek, jak go wówczas nazywano), ale my, „starsi”, ignorowaliśmy go wtedy. Nawet koledzy Stefana z tej samej klasy gimnazjum kołomyjskiego, m.in. Zbyszek Błażyński, młody Bakes, Kołcan, Mietek Pollak i Kazio Hejda, nie włączali młodszego Mariana do swej kliki.

Oczywiście mój brat cioteczny Marian Załucki to późniejszy znany i popularny poeta i satyryk. Miał zwyczaj stale narażać się władzom w systemie komunistycznym, który go mierzył i z którego potrafił bezlitośnie szydzić. Po jego przedwczesnej śmierci pisano:

Urodził się (w 1920r.) i wychował na południowo-wschodnich krańcach Polski, w Kołomyi poniżej Lwowa. Na całe życie pozostał mu na pamiątkę śpiewny kresowy akcent. Zdążył przed wybuchem wojny skończyć podchorążówkę artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim (w tym samym czasie kończyli ją synowie bliźniacy Kadena-Bandrowskiego) i został starszym podch. bombardierem. Brał udział w kampanii wrześniowej, a potem losy wojny rzuciły go w Gorlickie i do Krakowa. Kiedy tuż po wojnie ujawnił się jako satyryk amator, referował na co dzień w jakimś przedsiębiorstwie zajmującym się sprawami nafty.

W latach pięćdziesiątych w Krakowie skromny referent rezygnuje z kariery urzędniczej i powraca do tego, co już we Lwowie rozpoczął zabiera się poważnie do pisania – fraszek i wierszyków, złośliwostek. Teraz postanawia, że będzie żył z pióra. Zostanie satyrykiem. Współpracuje więc z „Przekrojem”, z katowickim „Kocyndrem”, ze „Szpilkami”, z prasą krakowską. Szybko zostaje zauważony i zaaprobowany przez środowisko.

W rymowanych, utrzymanych w obowiązującej wówczas stylistyce był ton własny, dowcip nie podrabiany, formalna biegłość. Pamiętajmy bowiem: satyra ro dziedzina, w której kryteria są sprawdzalne, ponieważ tylko tam ocalał warsztat.

Któregoś roku po występach w Ameryce, przejeżdżając przez Londyn zatrzymał się u nas. Narzekał, że pewnie znowu na granicy będą mu przetrząsać

osobisty багаż, szukając nie wiadomo czego. Zwrócił się wtedy do mnie z prośbą o przechowanie fraszki, którą na tę okazję napisał:

*i tak przerzucali moje kufry, zagląдали do waliz,
nie zajrzeli do d... a tam miałem socjalizm.*

Po londyńskich występach kabaretu „Wagabunda” w 1965r. Marian Hemar pisał:

(...) na pierwszym miejscu postawiłbym Mariana Załuckiego. Serce mi rośnie, kiedy patrzę na to jeszcze jedno zdolne lwowskie dziecko i słuchał jego zgrabnych, precyzyjnych i także zabawnych wierszyków. Takie zjawiska jak Załucki są ozdobą klasycznego kabaretu, który kocha się we wszystkim co młode, twórcze i oryginalne. Widać jak wypracowane są te wierszyki, jak je autor poleruje i szlifuje, ile w nie wkłada talentu, rzemiosła i zabawy; szuka dobrych rymów, nie zadawała się jedną puentą żartu, ale stwarza wierszyki-sytuacje, konsekwencje surrealistycznej logiki, groteska jest zawsze logiczna, aż do absurdu. Wydaje mi się, że Załucki jest przede wszystkim humorystą, który widzi świat od strony śmieszności, nie satyrykiem, który patrzy od strony słuszności.

Wierszyki jego zyskują w dwójnasób przez to, że autor znalazł swój własny, od nikogo nie pożyczony, nikogo nie naśladowany styl wygłaszania. Pod ten styl pisze wierszyki i robi z nich arcyzabawne przeboje; (...) byłby ozdobą każdego kabaretu, z pewnością byłby szlagierem w dawnym „Qui Pro Quo”.

Do naszej, trzymającej się razem paczki należał przede wszystkim mój serdeczny przyjaciel (drugi po Władku Dobruckim), z racji mieszkania w Czerniowicach zwany „Rumunem”, Mietek Zarzyski. Jego wujek, p. Antoniewicz, miał w Kołomyi sklep z luksusową galanterią męską, i u niego Mietek mieszkał w czasie nauki w kołomyjskim gimnazjum.

Zarzyski grał pięknie na pianinie, co powodowało, że bywał u nas częstym gościem korzystającym z fortepianu mojej matki i z jej biblioteki utworów klasycznych, granych również przez moją siostrę Lilę, uczennicę Szkoły Muzycznej p. Malinowskiej.

Jeszcze inną grupę tworzyli starsi ode mnie znajomi i koledzy moich sióstr, które w różnych okresach były uczennicami SS. Urszulanek i Seminarium Nauczycielskiego w Kołomyi. Najstarsza Tusia była bardzo energiczna i pełna życia. Interesowały ją sprawy polityczne i zmiany zachodzące w kraju. Brała czynny udział w organizacjach wojskowych kobiet będąc jeszcze uczennicą, czym często denerwowała rodziców i zakłócała spokojną rutynę rodzinną. Miała również problemy w szkole, kiedy zamiast na lekcje chodziła na przeszkolenie wojskowe. Pod wpływem koleżanek, a zwłaszcza p. Łozińskiej, zapisała się do legionu POW kobiet. Bogu dzięki walki wkrótce się zakończyły, wojska ukraińskie zostały ze Lwowa wypędzone, a u nas w domu zapanował spokój.

W parę lat później Tusia wyszła za mąż za por. Józefa Tarnawskiego i wyjechała do Suwałk, gdzie jej mąż służył w intendencji.

Wymieniając członków rodziny, wśród licznych wujów i stryjów wspominałem brata matki, Włodzimierza Tymcika, notariusza. Od wczesnych lat powojennych wujek pełnił urząd notariusza w różnych miastach. Najpierw w Kołomyi, następnie w Kutach, Dubiecku, aż w końcu osiedlił się we Lwowie przy ulicy Wyspiańskiego, ale kancelarię miał w Gródku Jagiellońskim, dokąd dojeżdżał pociągiem. Wakacje

szkolne spędzałem w różnych miejscowościach, w których wujek urzędował, ale najprzyjemniej było zawsze w Dubiecku nad Sanem, miejscowości blisko Przemyśla, skąd przyjeżdżali znajomi, np. syn i córka inż. Klimaszczuka czy Witoszyńscy. Wielu zginęło w czasie wojny, np. syn i córka adw. Golstauba. Z pewnym sentymentem spotykam się z kol. Bolesławem Włodzikiem z Dubiecka, mieszkającym z żoną w sąsiedztwie, na zebraniach Instytutu J. Piłsudskiego którego jesteśmy członkami. Wujek Władek miał dwoje dzieci: Jerzyka i Marysię. O Jerzyku piszę więcej w innym miejscu, natomiast kochana Myszka – dr Zawada – zginęła w wypadku samochodowym podczas wakacji w Jugosławii – zostawiając męża adwokata i syna Jerzyka w Australii.



Klasa IV gimnazjum KKJ w Kołomyi, 1925r. Od lewej stoją w górnym rzędzie: Swoboda, Wróblewski, Meslin, Ziemiański, Bystrzanowski, Orenstein, Haffner, Zaremba, Pausner, Moszoro, Sienkiewicz; poniżej: Mazepiuk, Weitzman, Kanfer, Antoniewicz, NN, Borzemski, Krasnopolski NN, Stiefel, Lewicki, Sawicki, NN; siedzą: Rosenman, Baumung, Stefaniuk, Hakemer, gospodarz klasy prof. Bojarski, Sierosławski, Lieblich, Bujarski, Herman; poniżej: Piskozub, NN, Salzman, Engelstein, Grunberg, Rosenberg, Boczar.

Do Gimnazjum im Króla Kazimierza Jagiellończyka zostałem przyjęty po dłuższej rozmowie z dyrektorem Stanisławem Boroniem. Byłem w siódmym niebie, kiedy mi uroczyście oznajmił, że przyjmuje mnie w poczet uczniów i wierzy, że go nie zawiodę.

O historii gimnazjum dowiedziałem się po latach ze wspomnień prof. Szczepana Zaczka i dra Dominika Czekałowskiego, mego późniejszego gospodarza klasy, który był lubianym i poważanym wykładowcą historii i

wychowawcą młodzieży. Rodzice darzyli go wielkim respektem. Syn jego Jarek nie chodził jeszcze wtedy do gimnazjum, ale spotykaliśmy się z nim często w drodze do parku studenckiego im. b. dyrektora S. Skupniewicza w pobliżu mieszkania rodziców Jarka. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności po wojnie spotkałem Jarka Czekałowskiego w Londynie. Był profesorem na Polskim Wydziale Lekarskim Uniwersytetu w Edynburgu.

Mieszkanie rodziców w pobliżu gimnazjum dla mnie miało raczej ujemne strony, ponieważ w sąsiedztwie mieszkali profesorowie, a przede wszystkim dyrektor. Poza tym, jak już wspominałem, w naszej kamienicy mieszkał mój profesor rysunków S. Bienkiewicz, zawsze poważny i czuły na hałasy na podwórku. Był artystą i pięknie malował – mówiono, że był uczniem Matejki. Córka jego była nauczycielką gry na fortepianie w Szkole Muzycznej p. Malinowskiej w Kołomyi.

Pisząc o profesorach gimnazjalnych w Kołomyi starałem się również przypomnieć sobie kolegów z ławy szkolnej, a ponieważ byłem w posiadaniu fotografii z tamtych czasów, przyszło mi łatwiej. Prawie połowę klasy stanowili koledzy Żydzi. Wielu z nich mieszkało niedaleko. Mieli własnego nauczyciela religii, pana Brandesa. Na ogół byli bardzo pilnymi uczniami i zachowywali się nienagannie. Często korzystaliśmy z ich pomocy, przede wszystkim Engelsteina, małego, niepokąźnego, rudowłosego, ale bardzo uzdolnionego we wszystkich przedmiotach, zwłaszcza w matematyce. Po egzaminach maturalnych został wyróżniony przez dyrektora Boronia, który z wielkim uznaniem przeczytał wypracowanie Engelsteina z języka polskiego.

Przez dłuższy czas siedziałem w jednej ławce z Lieblichem, którego ojciec posiadał wytwórnię wody sodowej i który chętnie zapraszał nas do siebie na szklankę wody sodowej z lodem z sokiem przygotowanym przez matkę, dyskretnie dodając że jest „koszerny”. Inni koledzy – Rosenman, Dolek Herman, Haffner (grał ładnie na skrzypcach), Kanfer i Orenstein zachowywali się wzorowo i unikali szkolnych mocowań na murawie, najwyżej oklaskiwali zwycięzców takich zapasów atletycznych, dla których wzorem byli zapaśnicy Cyganiewicz czy Macieliński.

Nie znam dalszych ich losów, ale wiem, że wielu zginęło z rąk hitlerowskich siepaczy w czasie ostatniej wojny; kilku się uratowało i mieszka w Izraelu.

Szkoła oprócz kształcenia wychowywała nas, urabiała charaktery i wszczepiała umiejętność współżycia z kolegami, dyscyplinę, a także kładła nacisk na wychowanie obywatelskie i patriotyzm. Wielki wpływ na wychowanie młodzieży miał gospodarz klasy i jego umiejętność zdobywania serc swych wychowanków. Do wybitnych wychowawców należał dr Dominik Czekałowski, paroletni nasz gospodarz klasy, filozof i historyk. Do tej listy wychowawców w owym czasie dodam nazwiska: Romana Kobierskiego, Kornanda, Bojarskiego, który przez pewien czas był gospodarzem klasy, naszych katechetów ks. Chłopeckiego i ks. A. Wróbla późniejszego mego sąsiada w Londynie.

Dobrymi i szanowanymi wykładowcami byli: prof. łaciny – Lachcik i Henryk Dębski, jęz. niemieckiego Piotr Bachman, matematyki Wojciechowski i Lichtman. Za moich czasów nie było „złych” profesorów w gimnazjum kołomyjskim. Mój osąd wynika z 25-letniego doświadczenia zawodowego w średnich szkołach w

Anglii kołomyjanie z tego gimnazjum wybili się w W. Brytanii w różnych dziedzinach (Z. Błażyński, Z. Scholtz, M. Pollak, B. Sanojca, K. Hejda i in.)

z albumu



Przedstawiamy pamiątkową fotografię klasy Ia Państwowego Gimnazjum Żeńskiego w Kołomyi, wykonane 23.06.1938 roku w dawnym budynku szkoły urszulańskiej. Pochodzi ze zbiorów p. Alicji Gustaw-Wiśniewskiej z Inowrocławia. Kto z Czytelników rozpozna te wspaniałe dziewczyny?

W pierwszym rzędzie siedzą profesorowie. Idąc od lewej:

1. Dr Jan Rychlicki, profesor biologii i geografii
2. Szczerbatiuk, profesorka matematyki
3. Kubicka-Biesiadowa
4. Ks. Leopold Dallinger, katecheta
5. Zofia Rozwadowska, profesor gimnastyki
6. Wojtiszek
7. Niczajewski
8. Komarska

kołomyjana



Na polowaniu w Oskrześnińcach w 1937 roku. Od lewej stoją: 1.Mieczysław Dobrzyniecki, 2.Tadeusz Dobrzyniecki. Siedzi Mieczysław Stefański, syn ogrodnika miejskiego. Fotografia pochodzi ze zbioru p. Alicji Gustaw-Wiśniewskiej z Inowrocławia.

bałak

BAMBETEL – drewniany rozkładany mebel w formie kanapy, w nocy do spania, w dzień jako ława do siedzenia; także pościel

BURG – sprzedaż towarów w sklepie na kredyt bezprocentowy

FAJERMAN - strażak

GRAJCARY – pieniądze

SIARNICZKA – ZAPAŁKA

SZTAMA – zgoda, przyjaźń

(Kazimierz Seniuk; Zbigniew Skotarczak)

cymes

Placuszki hreczane z serem

1 litr kaszy hreczanej zgotowanej

¼ litra mamałygi

2 łyżki mąki pszennej

¼ kg sera

5 jaj
sól

Kaszę i mamałygę na młynku przekręcić (przez drobne sitko), wbić do tego 3 jaj, osolić, a wymieszawszy porobić gałki wielkości orzecha włoskiego. Łyżką utyłtaną w mące bierze się potrosze ciasta, robi placuszki i daje do środka gałkę z sera, dokładnie ją zawijając. Następnie kładzie się na stolnicę mąką wysypaną, uklepuje nożem na okrągłe zraziki i smaży na patelni na maśle. Do tego podać podśmietanie lub sos pomidorowy.

Literatura: R. Tarnawska, *Kosowska kuchnia jarska*, Warszawa 1929, s. 190.

literatura kołomyjska

105. oprac. Wojciech Grzybowski, SPRAWY DO ZAPAMIĘTANIA LIBER MEMORABILIIUM KSIĘDZA BIAŁOWĄSA, Nowa Ruda 2000. Kalendarium z działalności duszpasterskiej w Nowej Rudzie ostatniego proboszcza kołomyjskiego - ks. dr. Michała Białowąsa, przeplatane jego pamiętnikiem z lat 1957-65. Niezwykle cenna pozycja zwłaszcza dla Kołomyjan.

106. Jerzy Węgierski, OBSADA OSOBOWA LWOWSKIEGO OBSZARU SZP-ZWZ-AK-NIE W LATACH 1939-1945, Kraków 2000. Dużo danych osobowych z okresu okupacji niemieckiej w Inspektoracie Kołomyja, który obejmował Kołomyję, Nadworną, Kosów i Horodenkę. Dane z okupacji sowieckiej pozostają dla historyków wciąż tajemnicą.

107. Zbigniew Hauser, PODRÓŻE PO CMĘNTARZACH UKRAINY-DAWNEJ MAŁOPOLSKI WSCHODNIEJ, TOM I WOJEWÓDZTWO STANISŁAWOWSKIE, Warszawa 1998. Wielkie dzieło jednego Autora, opis 46 cmentarzy w tym 26 z Pokucia (Stanisławów, Tyśmienica, Tłumacz, Łysiec, Bohorodczany, Ottynia, Sołotwina, Mołotków, Nadworna, Pasieczna, Zielona, Rafajłowa, Delatyn, Jaremcze, Mikuliczyn, Tatarów, Worochta, Kuty, Kosów, Śniatyn, Zabłotów, Peczeniżyn, Kołomyja, Gwoździec, Horodenka i Obertyn). Choć nie znajdziemy tam wszystkich zachowanych inskrypcji nagrobnych, nie zaznaczono także czy cytowane inskrypcje są w całości, czy we fragmencie, zdarzają się błędy w odczycie lub interpretacji tekstów, zważywszy katastrofalny stan naszych cmentarzy kresowych i duże niebezpieczeństwo niespodziewanych wypadków podczas inwentaryzowania, jest to książka zasługująca na uznanie. Z cmentarza kołomyjskiego opisano około 200 pomników, myląc pomnik Ofiar Kosaczowa z pomnikiem Żołnierzy C.K. Armii. Wielka szkoda, że Autor nie znalazł w Peczeniżynie polskiego cmentarza ze wspaniałymi pomnikami rodu Vincenzów i bohaterów narodowych powstań. Należy zadać sobie pytanie, dlaczego w Polsce możliwe jest inwentaryzowanie i ratowanie ocalałych cmentarzy niemieckich i żydowskich przez młodzież Niemiec, Izraela i Polski a na Ukrainie jest to niemożliwe.

108. Stanisław Wołoszczuk, POKUCIE LEGENDA I RZECZYWISTOŚĆ, Wrocław 2000. Wspomnienia Kosowianina obejmujące, wbrew tytułowi, jedynie południową część Pokucia. Najcenniejszy fragment dotyczy Kosowa, ziemi ojczystej Autora. Wartościowe fotografie zostały niestety bardzo źle

wydrukowane. Nie uczmy się jednak historii Polski z tej książki, bowiem poglądy Autora mocno mijają się z prawdą. Przykłady: Słowianie przyszli na Pokucie z zachodu, na Przełęczy Pantyrskiej pod słynnym pomnikiem Legionów znajduje się grób legionistów, najstarsza nazwa Kołomyi to Stary Dwór itp.

sprostowania

Sprostowania i uzupełnienia do nr 1(29)2000-09-10

Strona	wiersz	jest	powinno być
43	6 od dołu	Turski	Turski (Turzański)
46	9 od góry	Mariana	Apolinarego
48	13 od góry	Marii	Zofii
88	5 od góry	opis osób na zdjęciu: stoją od prawej	
		1. Mychajło, pracownik elektrowni	
		2. Tadeusz Dobrzyniecki, kierownik elektrowni	
		3. Pikor	
		4. Adam Hirnle	
		siedzą od prawej:	
		1. Mieczysław Stefański, syn ogrodnika (opis Alicja Gustaw-Wiśniewska)	

listy do redakcji

Pan Eugeniusz Neuberg z Wielkiej Brytanii - mjr 49 HPS, po przeczytaniu numeru 2(28) GsP napisał:

Kpt.-ppłk. Wiesława Cygańskiego znałem bardzo dobrze, nawet więcej bo byliśmy przyjaciółmi. W pierwszym roku mojej służby w 49 HPS z braku oficerów w tym czasie zostałem obdarzony funkcją dcy kompanii rekruckiej w zastępstwie. Około trzech miesięcy potem przybył do pułku por. Cygański. Był starszy ode mnie więc przekazałem mu dtwo kompanii, i pozostałem pod jego dtwem. Od tego czasu staliśmy się prawdziwymi przyjaciółmi. Wojnę w Polsce odbyłem w drugim batalionie alarmowym a Wiesław został przydzielony do dtwa pułku, gdzie się bardzo dzielnie spisywał. Po wojnie w Polsce innymi drogami dotarliśmy do Francji i spotkaliśmy się w Paryżu. Dostaliśmy przydział do 2 Dywizji Strzelców Piesznych, ja do 5 pułku a on do innego (nie pamiętam nr). Jednego dnia odwiedził mnie w moim miejscu postoju na parę godzin i mam nawet fotografię z tego zdarzenia przed moją kancelarią 5 kompanii. Niestety to był ostatni czas, gdy widzieliśmy się. Od tego czasu nie miałem żadnej wiadomości o nim. A więc ze szczególnym zainteresowaniem czytałem jego krótki życiorys i mocno żałuję, że parę miesięcy temu odszedł na wieczną wartę. Byłem w Polsce po wojnie 4 razy i mógłbym go odwiedzić, ale jest obecnie historia.

Natomiast p. Kazimierz Białoskórski z Jeleniej Góry przypomniał nam ulicę Kościuszki:

Na tytułowej stronie GsP nr 2/28/1999 ilustracja ul. Kościuszki. To jakby środkowa część ulicy, której początek zaczyna się od Pl. Piłsudskiego ze sklepem obuwniczym „Delka” a kończy się przylegając do ulicy Kraszewskiego vis-à-vis Seminarium Nauczycielskiego dla dziewcząt. Pokazany budynek to Narodny Dom, taką nazwę miał w Kołomyi. Róg tego gmachu był okrągły jako narożnik ulic Kościuszki i Szewczenki. Na parterze tego gmachu znajdował się salon fryzjerski J. Gregorowicza, sklep z książkami ukraińskimi a w przeciwległym rogu restauracja. Widoczny na dalszym planie, przegrodzony ulicą Teatralną (krótka ulica), stoi gmach Miejskiej Kasy Oszczędności, popularnie zwany Kasą Oszczędności. Wejście do holu było z ulicy Teatralnej. Duża sala teatralna z balkonem (miejsca stojące), duża scena. Bale Sylwestrowe dla śmietanki kołomyjskiej to tylko Kasa Oszczędności. Na scenie jasełka bożonarodzeniowe, chór Dana z Foggiem, Teatr Tobiłewycza ze Stanisławowa, Teatr Stadnyka ze Lwowa ze sztukami: „Natałka Połtawka”, „Baron Cygański” i wiele innych zespołów i solistów.

Pani Elżbieta Łozińska Mc Laughlin z Florydy pisze:

W tutejszym biuletynie kościelnym (polonijnym) ukazało się, na prośbę Ojca, podziękowanie dla osób, które wsparły kościół kołomyjski. Została dołączona również wzmianka, że są zbierane pieniądze na cmentarz wojskowy, który jest obecnie w bardzo złym stanie. Na ten apel odpowiedziała jedna pani, która się w Kołomyi urodziła i wychowała. Była bardzo wzruszona, że ktoś pamięta o przeszłości. Pojechaliśmy do niej, gdyż ona już nie chodzi. Cały czas płakała jak bóbr. Powiedziała nam, że tak już płacze dwa dni, jak tylko przypomni sobie Kołomyję. Wiele ludzi starszych wraca wspomnieniami do młodości. Z reguły są to dobre wspomnienia. Wiele osób w Pompano Beach i okolicy przyjechało z Wilna, też kultywują wspomnienia i utrzymują kontakt jaki potrafią. Tak, że Pani Danuto i Bożeno, jesteście takim pomostem i inspiracją dla innych ludzi, a ludzie potrzebują tego. Tylko niewielka grupa miała okazję powrotu do miejsc swego urodzenia. Większość ludzi tęskni, chociaż już się zadomowili w innych miejscach. Ja to widzę u innych, sama na starość też to czuję, tylko dla mnie jest to Wrocław.

Z Londynu p. Mieczysław Pollak wspomina syna profesora gimnazjum - Jarosława Czekałowskiego, wybitnego naukowca z zakresu bakteriologii na Uniwersytecie w Edynburgu:

Będąc kiedyś w Stanach Zjednoczonych i pracując w uniwersyteckim laboratorium dość późno wieczorem [Jarek Czekałowski] poczuł głód. Wyszedł na ulicę i wstał do najbliższego *snack baru* aby coś zjeść. Rozmawiając z usługującym, zorientował się że jest to niewątpliwie Żyd z Europy. Z dalszej rozmowy wynikało, że jest z Polski. Ostatecznie dogadali się, że jest – jak sam powiedział – *Pan pewno nie wie, takie miasto „Kołomaj”*, i że wyjechał z rodzicami jak miał 12 lat. Dalej powiedział, że ojciec miał tam sklep przy ulicy *Sienkiewicz Gasse*. W sklepie tym można było wszystko kupić – *szwarc, midło, powidło*. Tak

się złożyło, że Jarek, urodzony w Kołomyi, mieszkał właśnie z rodzicami przy ulicy Sienkiewicza. Zapytał go – czy pamięta Kołomyję? Odpowiedział, że tak, a czy pamięta gdzie był kościół? Tak pamięta. Wtedy Jarek zaczął mówić – *idąc w dół od kościoła w kierunku młyna Goldberga i Prutu, mijał Pan rzeczkę, która nazywała się „Młynówka”. Po przejściu w prawo przez mostek wchodził Pan na ulicę Sienkiewicza. Idąc prawą stroną, na rogu przy pierwszym skrawie w prawo, był właśnie ten, chyba jedyny sklep.* W czasie, kiedy to opowiadał, obserwując swego rozmówcę, widział zachodzącą zmianę na jego twarzy. Ten już nie wytrzymał i zawołał – *Mama, mama, ten Pan zna Kolomaj! Wówczas wyszła z głębi mieszkania starsza Pani i po polsku powiedziała – Pan Polak, bo ja tyż „Polaczka”.* Oczywiście został zaproszony do mieszkania i długo jeszcze rozmawiali o Kołomyi.

ci, co odeszli

Leopold OSTROWSKI. Kołomyjanin, zamieszkały w Oleśnicy.

Stanisław BARCZYK. Lekarz, Kołomyjanin, zamieszkały we Wrocławiu. **Michał LINK** (26.09.1910-04.03.2000). Kołomyjanin urodzony w Korolówce, zamieszkały w Brzegu.

Robert Zbigniew Władysław PLEZIA (19.11.1917-19.06.2000). Zbyszek mój drogi wuj i nasz przyjaciel wypłynął w swój ostatni rejs, w Conradowską Smugę Cienia. Teraz w innej czaso-przestrzeni będzie cieszył się witalnością, humorem i zaraźliwą radością. Pochodząc z dalekich kresów II Rzeczypospolitej niespodziewanie wybrał karierę marynarską. Z odległego Pokucia do nadwiślańskiego Torunia, do koszar racławickich-siedziby SPMW. Chociaż urodził się w 1917r. w Ottyni to jednak dzieciństwo i młodość spędził w rodzinnym Hołoskowie i stołecznej dla Pokucia – Kołomyi. Czyż nie był więc klasycznym Anglikiem z Kołomyi, nie z tytułu osobliwego ubioru, ale pochodzenia. Pierwszy szczebel w karierze marynarskiej, oficerskiej uzyskał w 1938r. kończąc szkołę podchorążych w nowej bydgoskiej siedzibie. Lata wojny spędził jako oficer artylerii wielu okrętów RP. Najpierw na weteranie atlantyckich szlaków *ORP Burza*, następnie na sławnym rajdem pod Dieppe *ORP Ślęzak*, oraz niemniej głośnym bojem z *Bismarckiem ORP Piorun*. Kampania norweska, eskortowe szlaki Atlantyku, konwoje islandzkie i gibraltarskie, rajd pod Dieppe, desant na Sycylię znaczyły Jego jedno z najdłuższych pływów bojowych w czasie II Wojny Światowej. Zwieńczeniem tej długiej, pełnej trudu, ale i chwały drogi wojennej stały się liczne odznaczenia. Szczególnie cenione wśród marynarzy Krzyż Walecznych z trzema okuciami, Medal Morski z trzema okuciami, Złoty Krzyż Zasługi i wiele innych. Okres powojenny dla komandora podporucznika Marynarki Zbigniewa Plezi przyniósł wiele niełatwych wyzwań. W nowej Ojczyźnie uzyskał jako pierwszy po Conradzie Korzeniowskim, w maju 1952r. Certyficate Master of Forein going Steamship, a także polski dyplom Kpt. ż.w. Chociaż przez wiele lat przemierzał wielkie wody w brytyjskiej marynarce handlowej, to prawdziwe spełnienie znalazł w handlu. Myślę że był człowiekiem szczęśliwym, pogodnym i szczerze lubianym przez starszych i młodszych.[...]. (*red.: tymi słowami pożegnał przy grobie dr Grzegorz Wesółowski z Gdańska; zob. GSP 1/29/2000 s. 64*).

Adam Julian KRÓL (26.04.1923-08.07.2000). Syn sędziego z Kołomyi, sybirak, żołnierz 2 Korpusu, zmarł w Torquay w Wielkiej Brytanii. (red.: zob. GSP 1/29/2000 s.47).

Ryszard KORYZMA (02.10.2000). Adwokat, Kołomyjanin zamieszkały we Wrocławiu.

informacje

- **WARSZAWA.** Na mocy ustaleń rządów Rzeczypospolitej i Niemiec poszkodowani w czasie II wojny przez III Rzeszę (więźniowie obozów koncentracyjnych, wywiezieni na przymusowe roboty do Niemiec) mają prawo otrzymać zapomogę. Zapomoga należy się żyjącym poszkodowanym i rodzinom tych, którzy zmarli po 16.02.1999. Zainteresowani Rodacy, mieszkający na Kresach, powinni zgłosić się w odpowiednich konsulatach RP. Dla przypomnienia: w latach 50. rząd Niemiec chciał wypłacić wszystkim poszkodowanym obywatelom RP odszkodowania, jednak rząd warszawski zrezygnował z nich – jak się okazało - na zawsze.

- **NYSA.** W dniach 5-7 kwietnia w Urzędzie Miasta i Gminy w Nysie odbyły się wstępne rozmowy z przedstawicielami władz miasta Kołomyi na temat współpracy gospodarczej między dwoma miastami. Z delegacją ukraińską spotkali się także polscy przedsiębiorcy i rolnicy. Do dzisiaj do podpisania umowy partnerskiej nie doszło.

- **WROCLAW.** 6 maja na tradycyjne „jajko” przybyło do Domu Parafialnego przy kościele Św. Bonifacego 70 Kołomyjan i Pokucian, wśród nich byli mieszkańcy Śniatyna i Ottynii. Reprezentowane były następujące miasta: Brzeg, Brzeg Dolny, Bystrzyca Kłodzka, Gliwice, Jelenia Góra, Katowice, Kluczbork, Kłodzko, Kraków, Kunice, Lewin Brzeski, Lubin, Oleśnica, Oława, Olbrachcice, Poznań, Stoszowice, Szczawno Zdrój, Wałbrzych i Wrocław. Najnowsze informacje kołomyjskie przekazała zebranym prezes oddziału p. Danuta Krupska. Następnie podzieliliśmy się jajkiem, składając sobie życzenia - obyśmy jak najdłużej mogli spotykać się w naszej kołomyjskiej wspólnotcie i obejrzelśmy videofilm z naszych wycieczek do Kołomyi i na Kresy. Wysłuchaliśmy wierszy, recytowanych przez autora p. Tadeusza Olejnika z Ottynii i Bitkowa a teraz z Kunic, przenosząc się myślami do naszej małej ojczyzny – hen na Pokucie. Na zakończenie tęsknie i gromko popłynęła pieśń, nasz pokucki hymn, *Czerwony pas*, zaintonowany przez p. Zbigniewa Ringa. Członkowie zarządu, jak zwykle, pełnili swoje dyżury. W wyniku zbiórki ofiar podczas zebrania 6.05.2000 na pomoc charytatywną zebrano 306 zł, a na kościół 249 zł.

- **WROCLAW.** Zarząd Oddziału Towarzystwa Miłośników Kołomyi „Pokucie” we Wrocławiu przesłał do Kołomyi w imieniu swych członków i ofiarodawców pomoc charytatywną na Boże Narodzenie 2000 roku – 1200 zł, na odbudowę cmentarza w Kołomyi – 1000 zł, na kościół w Kołomyi – 1200 zł i na kościół w Obertynie – 100 zł.

- **WROCLAW.** 23 maja Zakład Narodowy im. Ossolińskich otrzymał w darze od Pani Teresy Błażyńskiej z Londynu niezwykle cenne archiwum historyczne

zmarłego dziennikarza i absolwenta kołomyjskiego Państwowego Gimnazjum im. Króla Kazimierza Jagiellończyka – Zbigniewa Błażyńskiego.

● **KLUCZBORK.** 9 lipca w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa przy ul. Jana Pawła II gościł proboszcz kołomyjski - ks. Alek Górowski, który wygłosił podczas Mszy św. kazanie a następnie spotkał się z przyjaciółmi Kresów.

● **WROCLAW.** 20 września na Placu Strzeleckim, staraniem Wrocławskiego Oddziału Związku Sybiraków, odsłonięto pomnik Zesłańców Sybiru. Na uroczystość przybył premier Jerzy Buzek, który swym wystąpieniem poruszył wszystkich sybiraków, wrocławian i gości. Autorem monumentalnego krzyża, przebijającego potężny mur jest białostocki artysta Jarosław Perszko. Dwa dni później 22 września w Parku Słowackiego, dzięki Stowarzyszeniu Dolnośląskiej Rodziny Katyńskiej, Wrocław wzbogacił się o pomnik - Ofiar Katynia . Odsłonięcia pomnika dokonał minister Andrzej Przewoźnik, który zapewnił że *polski rząd nie spocznie, póki nie odkryje wszystkich tajemnic sprzed lat*. Oba pomniki poświęcił kardynał Henryk Gulbinowicz. Autorem przejmującego Anioła Śmierci i Piety jest Tadeusz Tchórzewski. Walka o oba pomniki trwała kilka lat. Obie podniosłe, patriotyczne uroczystości zorganizowano perfekcyjnie. Wszyscy obecni przeżyli je głęboko. Nie doświadczyli tego Dolnoślązacy, skazani na *Fakty* w telewizji regionalnej, dla której ważniejsi w tym dniu byli narkomani.

● **KOŁOMYJA.** W dniach 22-24 września odbył się w Kołomyi 10 Międzynarodowy Zjazd Huculów. Miasto przygotowywało się do tego święta od pół roku, przeprowadzono gruntowny remont śródmieścia. Wśród zaproszonych gości był prezydent Ukrainy a z Polski wojewodowie sąsiadujących z Ukrainą województw.

● **WROCLAW.** Przypominamy nazwę i numer konta oddziałowego i bardzo prosimy o dokładne wypełnianie druków.

Nazwa: TML i KPW Oddział Miłośników Kołomyi „Pokucie”, ul. Ruska 32/33, 50-079 Wrocław

Bank: PKO BP IV O/Wrocław

Numer: 10205255-420390-270-1-111.

Egzemplarze archiwalne „Gdzie szum Prutu” można zamawiać wpłacając na nasze konto i podając zamawiane pozycje. Posiadamy numery: 2-3(22-23)1997, 1(25)1998, 2(26)1998 w cenie 5,50zł (za egzemplarz z przesyłką) oraz numery: 1(27)1999 i 2(28)1999 w cenie 6,50zł. Od roku 2000 GsP dostępny jest wyłącznie w prenumeracie.

Na nasze konto można wpłacać na następujące cele:

- wpisowe do Oddziału Miłośników Kołomyi „Pokucie” – 2,00zł
- roczne składki: 18,00zł (emeryci i renciści), 36,00zł (osoby pracujące)
- pomoc charytatywna dla Kołomyi i Pokucia
- odbudowa kościołów na Pokuciu (z zaznaczeniem: Ceniawa, Kołomyja, Kosów, Kuty, Obertyn, Zabłotów)
- odbudowa cmentarza w Kołomyi
- prenumerata „Gdzie szum Prutu” – 12,00 zł za I półrocze 2001r.
24,00 zł za cały rok 2001r.

lista ofiarodawców

Wykaz osób, które przesyłały lub przekazały (kwiecień-wrzesień 2000) wpłaty na kościół w Kołomyi i Obertynie, odbudowę cmentarza w Kołomyi, pomoc charytatywną oraz fundusz wydawniczy „Gdzie szum Prutu”.

W wykazie zamieszczamy naszych Rodaków z Pompano na Florydzie, którzy przekazali do Kołomyi fundusz na remont kaplicy i polskiego cmentarza wojskowego w Kołomy. Zbiórki tej dokonali p. Stanisław Łoziński wraz z córką p. Elżbietą Łozińską-Mc Laughlin.

Dziękujemy.

Kościół w Kołomyi

Jan Andrusiewicz, Szczawno Zdrój
Zofia Barczyk, Wrocław
Bronisława Białoskórska, Toruń
Łucja Chmielewska, Oława
Florian Ciuruś, Stoszowice
Władysław Czarnecki, Wałbrzych
Wanda Kocjan, Olbrachcice
Ryszard Koryzma, Wrocław
Eleonora Łukosz, Oława
Waldemar Małkowski, Brzeg
Bogumiła Orłowska, Wrocław
Ryszard Petryk, Kraków
Bronisław Piskozub, Jelenia Góra
Katarzyna Sadowska, Brzeg Dolny
Helena Skopińska, Wrocław
Jan Sudak, Wrocław
Maria Suska

Kościół w Obertynie

Kazimierz Czarnecki, Dzieńmorowice-Wałbrzych
Władysław Czarnecki, Wałbrzych

Odbudowa cmentarza w Kołomyi

Bronisława Białoskórska, Toruń
Maria Chudzikiewicz, Warszawa
Roman Lewicki, Londyn (GB)
(dochód ze sprzedaży 32 książek „Album wspomnień”)

Odbudowa kaplicy i polskiego cmentarza wojskowego w Kołomyi

Stefan Belz, Pompano (USA)
Adam Bujak, Pompano (USA)
Jan Dąbrowski, Pompano (USA)
Aleksander Doroba, Pompano (USA)
Richard Drongoski, Pompano (USA)
Ks. Jan Fiedurek, Pompano (USA)

Michał Flisak, Pompano (USA)
Michael Gastom, Pompano (USA)
Józef Górski, Pompano (USA)
Kazimierz Horzawski, Pompano (USA)
Krystyna Jazłowicz, Pompano (USA)
Barbara Justin, Pompano (USA)
Stefan Juszczak, Pompano (USA)
Anna Kempa-Steczko, Pompano (USA)
Józef Lukaszewicz, Pompano (USA)
Andrzej Łoziński, Pompano (USA)
Elżbieta Łozińska-Mc Laughlin, Pompano (USA)
Janusz Marzec, Pompano (USA)
Ryszard Misiurek, Pompano (USA)
K. Nowicki, Pompano (USA)
Helena Olszewska, Pompano (USA)
Andrew Olszewski, Pompano (USA)
Irena Rytel, Pompano (USA)
Anna Skiba-Piadowski, Pompano (USA)
Maria Skonieczny, Pompano (USA)
Lucyna Solecka, Pompano (USA)
Edward Sosnowka, Pompano (USA)
Olgierd Staniewicz, Pompano (USA)
T. i E. Szymbura, Pompano (USA)
Edmund Szymura, Pompano (USA)
Jacek Wanczura, Pompano (USA)
Krystyna Wiśniewska, Pompano (USA)
Maria Zajac, Pompano (USA)
Jagoda Zych, Pompano (USA)

Pomoc charytatywna

Łucja Chmielewska, Oława
Anna Dobrucka, Wrocław
Florian Ciuruś, Stoszowice
Maria Cyran, Sosnowiec
Władysław Czarnecki, Wałbrzych
Otto Hargesheimer, Katowice
Maria Jamrosz, Wrocław
Stanisław Jamrosz, Baltimore (USA)
Elżbieta Kliś, Wrocław
Mira Kruszelnicka, Wrocław
Eleonora Łukosz, Oława
Barbara Marszałek, Wrocław
Waldemar Matkowski, Brzeg
Mieczysław Mulowski, Oleśnica
Lesław Niemiec, Zielona Góra
Ryszard Patkowski, Wrocław
Bronisław Piskozub, Jelenia Góra

Lucyna Piskozub-O'reilly, Toronto (CA)
Rudolf Piskozub, Wrocław
Ryszard Petryk, Kraków
Helena Skopińska, Wrocław
Zbigniewa Stefanik, Wrocław
Rudolf Tymoczko, Lewin Brzeski
Czesław Żurkowski, Wrocław

Fundusz wydawniczy „Gdzie szum Prutu”

Zofia Als-Iwańska, Kętrzyn
Edward Beck, Wrocław
Krystyna Biskupska-Iglikowska, Londyn (GB)
Tadeusz Błażyński, Wetherby (GB)
Tadeusz Chudzikiewicz, Kraków
Władysław Czarnecki, Wałbrzych
Feliks Dołgań, Lublin
Otto Hargesheimer, Katowice
Stanisław Grabowski, Londyn (GB)
Florian Gronowski, Gorzów Wielkopolski
Jadwiga Kopczyńska, Łódź
Adam Król, Leeds (GB)
Alicja Lewanderska-Quednau, Haag (D)
Roman Lewicki, Londyn (GB)
Tadeusz Olejnik, Kunice
Lucyna Piskozub-O'reilly, Toronto (CA)
Wincenty Pyka, Mysłowice
Jadwiga Solarska, Kraków
Zbigniewa Stefanik, Wrocław
Janina Tymoczko, Brzeg
Andrzej Wandurski, Szamocin
Zbigniew Winiarski, Katowice
Alicja Gustaw-Wiśniewska, Inowrocław